

To nie jest kolejna lukrowana historyjka! To prawdziwa opowieść o dojrzeniu kobiety, która stawiając czoła przeciwnościom losu, odnajduje siebie. Zapraszam do lektury!

Katarzyna Bonda

Porzytywka



Agnieszka LIS



Przytywka

Agnieszka LIS

Porzytywka



Jedynemu

1

Kościół miał wyglądać jak podczas ślubu Diany Spencer: wszędzie kwiaty i wstążki, tony ozdób. Status rodziny podkreślały misterne girlandy sprowadzone od najdroższych kwiaciarek, w tym od prawdziwej florystki. Biały tiul zdobił skraj każdej ławki, nawet Chrystusowi w ołtarzu widać było tylko głowę nad pokładów szeleszczącej bieli. Matka myślała w duchu, że to grzech tak pozwolić Mu łypać ukradkiem, ale nic nie mówiła. Drażnił ją też czerwony dywan, rozciągnięty wzdłuż nawy jak zafarbowana skóra węża – miał postrzępione boki i kaleczył wytartą kamienną posadzkę niestarannym splotem.

Kwiaty zostały wykupione w całej okolicy, więc goście musieli zamawiać bukiety w sąsiedniej gminie. Część kwiecica przykrywała białą limuzynę, kierowca prowadził dostojnie także dlatego, że niewiele widział. Wewnątrz auta Monika usiłowała znaleźć wygodną pozycję. Fiszbiny gorsetu wbijały jej się w bok, stelaż spódnicy niezgrabnie podnosił się i zaczepiał o siedzenie, a tren plątał się między nogami.

Jestem wybranką losu – powtarzała w myślach. – Żeby tylko nie ten zapach. Weź się w garść, muszę wziąć się w garść, nie mogę zwymiotować na suknię ślubną! Dlaczego te kwiaty tak pachną? – Starła się oddychać głęboko. *– Zapach jak na pogrzebie babci. Tak pachniało, zanim wynieśli babcię z domu.*

– Coś taka blada? – warknął Ojciec. – Bierz się w garść. Żadna dziewczyna z okolicy nie miała takiego ślubu. Ani takiego narzeczonego. Przystojny i z rodziny dobrej, jak jaki książę. Bogu dziękuj, że ci się tak udało.

Limuzyna podjechała pod kościół, zgromadzony tłum zafalował.

– Nie wysiadaj sama. Otworzę ci drzwi, dopiero wtedy wystawisz nogę – mówił Ojciec. – Żebyś mi się nie przewróciła.

Już za chwilę przestaniesz mnie pouczać – pomyślała Monika. – Zaczynam dorosłe życie, prawdziwe, a Robert jest moim księciem.

Skupiła się. Łatwo wyplątała jedną nogę z falban, do drugiej musiała się schylić. Na domiar złego poczuła strużkę potu pod pachą. Ojciec w końcu nagłym szarpnięciem wyciągnął ją z samochodu.

– Uśmiech – przypomniał, szczerząc poźółkłe siekacze.

Monika nie odpowiedziała. Rozdawała uśmiechy z błyskiem wybielanych przez wiele tygodni zębów. „Gwarancja sukcesu. Piąty zabieg gratis” – slogan usługi przeleciał jej przez myśl. Uśmiechnęła się szerzej. Zęby były śnieżnobiałe i błyszczące, to przez nie było jej teraz niedobrze.

Była głodna. Poprzedniego dnia, po ostatnim zabiegu, lekarz doradził:

– Teraz najlepiej nic nie jeść. Żeby nic nie osiadło na takich ślicznych ząbkach.

– Och, och – roześmiała się Matka. – Pan Doktor taki dowcipny.

Po powrocie do domu zabroniła Monice nawet wchodzić do kuchni czy stołowego.

– Tyle pieniędzy – mówiła – tyle pieniędzy! – Wysokość kwoty poparła trzykrotnym uderzeniem pięścią w blat stołu. – Niech chociaż przez ten jeden dzień będzie efekt. Potem to już niech się Robert martwi – zakończyła wzruszeniem ramion.

Monice żołądek ścisnął się w ciasny węzeł, skurczył do rozmiaru pestki. Łyk wody i czuła się objedzona, jak zasznurowana. Pełna. Strachu, lęku. Głód, który jej dokuczał, był nie do zaspokojenia.

Idąc w stronę kościoła, nie odklejała uśmiechu z twarzy i martwiła się o suknię.

Nie pogniotła się aby? Tren dobrze się układa? Żeby w tych lakierkach przyciasnych się nie przewrócić. I perły, żeby perły się nie poodpruwały, potem nie będzie jak sukni sprzedać – rozmyślała. – I żeby nie było czuć potu. Nie powinno, dezodorant za prawie dwadzieścia złotych, nie powinno być czuć.

Uśmiechała się i uśmiechała. Widziała twarze, do kogo należały? *Nie potknąć się. Spoglądać po równo na prawo i lewo. Gdzie jest Robert? Uśmiechać się. Schody, uwaga, schody. Ostrożnie.* Na szczycie przystanęli, Ojciec chwycił ją boleśnie za ramię, odwrócił w stronę tłumu. Wciąż się uśmiechała. Pomachała jak księżna, wyprostowana, piękna. Pogoda na szczęście dopisała, w słońcu lśniły setki koralu na gorsecie i kilkadziesiąt wyczyszczonych na tę okazję, eleganckich aut. Pod kościołem z czerwonego kamienia każde wyglądało jak limuzyna. Niektórzy z gości mieli nawet szoferów, którzy starannie zaparkowali wzdłuż jezdni i dalej aż za zakrętem, z braku miejsca. Miejscowi przyszli piechotą, i dobrze. Ich samochody nie pasowałyby do tych tutaj, drogich i modnych, błyszczących na jej cześć i na jej piękność, na jej ślubność, uroczystość. Goście stali wszędzie, niektórzy trzymali wielkie bukiety kwiatów, takich tutaj nie robią. *Z Warszawy przywieźli, gdzie ja je wsadzę potem? – rozmyślała Monika. – Nie ma tylu wazonów w naszej wsi.*

Ojciec znów dotkliwie ścisnął jej ramię, pociągnął w głąb, w cień kościoła. Szła jak po linie, prowadzona przez czerwony kolor dywanu, wokół falował biały tiul. Daleko, na końcu głównej nawy, rozmywało się, rozpierzchało w półmroku wnętrza światło. Kurz unosił się przy każdym kroku i tańczył w kolorowych promieniach rzucanych przez niewielkie witraże. Na końcu drogi oznaczonej białymi bukietami postać w smokingu czekała na nią, na wybrankę. Robert stał tyłem, patrzył na ołtarz. Niewielkiego malowidła w złoczonej ramie i tak dzisiaj prawie nie było widać.

– Bóg jest Bóg, taki sam w małym i dużym ołtarzu – mawiała Matka, a Monika przypomniawszy sobie to zdanie, bo teraz Bóg miał uświęcić jej miłość, jej nowe życie. – *Wolałabym większego Boga, żeby chociaż było go widać, żeby na mnie popatrzył – przemknęło jej przez głowę. Aż drgnęła, przestraszona własną bezbożnością.*

Jeszcze trzy kroki. Lekki obrót. Uśmiech cały czas.

Żeby tylko nie zaczęła śmierdzieć potem – myślała Monika, kiedy Ojciec oddawał ją narzeczonemu. Była jak balast, którego pozbywał się po dwudziestu jeden latach.

– Szczęście, że taki się Monice przytrafił – oznajmiał po wielekroć Matce w kuchni.

– Szczęście – przytakiwała Matka.

– Monika maturę ma, nawet i na studia chciała pójść, ale skąd to wziąć na studia? – Matka zatrzymywała się czasami na pyłacej drodze, rozmawiała z sąsiadkami przez płot. – Kosztuje to przecie krocie, nikt tyle nie ma. Ślub to co innego, ślub musi być na miarę. Narzeczony z Warszawy, to i ślub musi być światowy.

– Światowy, to i owszem – kiwały głowami sąsiadki.

Monika poczuła rękę Roberta w swojej dłoni. Wraz z nią pewność, że teraz będzie dobrze, lepiej, że teraz – teraz! – zaczyna się prawdziwe życie. – *Nareszcie będę szczęśliwa.*

To był piękny ślub. Nie zawahali się składając przysięgę, to na szczęście. Monika mówiła pewnie, Robert nie był bardzo przejęty. O Monice marzył od dawna, była z innego świata, możliwie najdalsza od wielkomiejskiego zamieszania. Była dobrem, wakacjami pachnącymi słomą, ale Robert nigdy nie zastanawiał się, co zrobić ze słomą, gdy pod stopami pojawi się asfalt zamiast bitej ziemi.

Monika była dobrem już zdobytym. Tylko matka uchroniła Roberta przed dosłownym pójściem w ślady

Karola, oblubieńca Diany Spencer. Robert zamierzał spędzić przedślubną noc z inną kobietą, jednak matka nie pozwoliła mu się oddalić. Wieczór spędzili na wspomnianiu lat spędzonych razem z Moniką i jej rodziną, na wyszukiwaniu wspólnych spraw. Trzeba było podrażnić, żeby tych spraw znalazło się więcej niż trochę. Pomogło kilka kieliszków, wychylonych przez ojca Roberta za zdrowie młodych, pomógł także srebrny śmiech Teresy, matki. Robert się nie zastanawiał. Jutro ślub, a pojutrze nowe życie i nowe zdobycze.

W kościele przysięgę składał rozproszony. Zapach wiekowego kościoła, kurz wymieszany ze starością, podbity dymem, wieloletnim zimnem kamienia i duchotą kręcił go w nosie. Wnętrze śmierdziało czerwonym dywanem. Teresa się uparła, ślub miał być królewski, nie poskąpiła na kobierzec, ale w tej ilości i kolorze dostępna była wyłącznie plastikowa wykładzina trąca pleśnią. Robert skupił się bardziej na powstrzymywaniu kichnięć niż na powtarzaniu słów, które przecież prędzej czy później wymawiają wszyscy. – *A potem i tak robią swoje* – myślał.

Ksiądz był lekko stremowany, takiej liczby wiernych dawno nie widział, może na procesji, ale i to w mieście, gdy biskup prowadził uroczystości Bożego Ciała. Proboszcz jąkał się trochę, co denerwowało go jeszcze bardziej.

– Ależ oni piękni – chlupała wzruszona Matka.

Organy zagrzmiały kilka razy, ale na koniec było najpiękniej, zagrały skrzypce z fletem, *Ave Maria* i marsz weselny, aż się gościom łza zakręciła w oku. I Monice też.

Uśmiechała się blado, inaczej niż przed kościołem. Tam szczerzyła białe zęby, tutaj była po prostu szczęśliwa, chociaż nie bardzo jeszcze wierzyła w szczęście, które stało się jej udziałem. Przechodzili wzdłuż ławek przystrojonych kwieciami i woalem, Monika zatrzymywała się co chwilę, zbierając gratulacje i odpowiadając automatycznie:

– Dziękuję, tak, dziękuję – na wszystko, bo nic nie słyszała. Zajęta była wyciąganiem obcasów z plastikowej tkaniny.

Jak to możliwe, że mi nie przeszkadzała, gdy szłam do ołtarza?

Nowożeńcy wychodzili z kościoła dostojnie, celebrując każdy krok, zatrzymując się i rozdając pozdrowienia jak królewska para. *Ave Maria* wibrowało w ciele Moniki, poruszało też skrzydła duszy. Próg kościoła skąpany był w południowym słońcu, zbliżali się do tej jasności powoli, jakby z obawą przed wejściem w nowe życie. – *Wspólne życie, szczęśliwe* – powtarzała sobie Monika. – *Żeby tylko na sukience plam od potu nie było.*

Wyszli w światło, krok za krokiem zeszli pięć kościelnych stopni; na dole przycaił się, czekający odpowiedniej chwili ryż i grad miedziaków. Gdzieniedzie nawet złotówka leciała.

Suknię pobrudzę – martwiła się Monika. – *Nie mogę tak trenem po ziemi szurać, nie dopiero się potem.*

Śmiali się jednak. Monika znów pokazywała śnieżnobiałe zęby, zbierali razem pieniądze, przyjmowali gratulacje. Bez końca, kolejka jak w mięsny w '82. I zdrowia, i szczęścia, i pomyślności, i zdrowia. Kwiaty nie mieściły się w samochodach, koperty wypełniły dwie wielkie torby.

Jeszcze w limuzynie machali gościom, i dziękowali, i uśmiechali się. Robert przytulił żonę dopiero za zakrętem.

– Jesteśmy teraz dla siebie. – Objął jej twarz i pocałował usta.

Wtuliła się w niego. – *Już wszystko dobrze* – myślała. – *Żeby tylko nie było plam na sukience, i makijaż żeby się nie rozmazał.*

Ojciec Moniki na wesele zastawił dom i ziemię, i jeszcze dopożyczył od rodziny. Wynajął największą remizę w okolicy, na trzysta osób, i ośmioosobową orkiestrę. Wybrał najlepszą wódkę z hurtowni, a jedzenie przygotowało sześć kucharek i trzy pomocnice. Matka dopilnowała wszystkiego. Ślub

organizowali rodzice Roberta, wesele rodzice panny młodej. Miało być tak samo świątowo, jak ślub z warszawskimi gośćmi.

Świadek wygłosił piękny toast. A wygadany był – takiej mowy tu jeszcze nie słyszano. Jak polityk z telewizora gadał. I śmiali się wszyscy, i płakali, a ona, Monika, razem z nimi. Potem Ojciec chciał mówić i Monika złękła się ostrych słów, ale na szczęście powiedział tylko, demonstracyjnie ocierając oko, że cieszy się z tego dnia i wierzy, że córkę w dobre ręce daje, i za zdrowie państwa młodych ten toast wznosi. Było „gorzko, gorzko”, w tym czasie po królewsku wlewano szampana do pustych jeszcze kieliszków, a Monika szarpała się, żeby jej Robert szminki nie zlizął, bo jak to: panna młoda rozmazana? I tak musiała ścierać kolor z policzka Roberta, w czym chętnie wyręczyła ją świadkowa. Potem przyszedł czas na pierwszy taniec. Ćwiczyli go przez parę tygodni w sali gimnastycznej, instruktor bardzo się denerwował, ale ostatecznie ładnie wyszło. Wszyscy klaskali i chcieli tańczyć z Moniką. Nawet Robert był trochę zazdrosny, że tak mu żonę podkradają, ale przecież to normalne na weselach.

– My już teraz będziemy razem i na zawsze, szczęśliwi – tłumaczyła mu Monika.

Z każdym rozlaniem toastów było więcej, trwały też coraz dłużej, w końcu przemówił i Robert. Rodzina to ostoja. Świat to zagrożenia. Związki się rozpadają, bo ludzie nie szanują siebie wzajemnie. A przecież wiadomo, że ognisko domowe jest najważniejsze. Dzieci, obiad na stole, msza święta co tydzień.

– Długo szukałem takiej dziewczyny jak Monika – mówił, a ona się czerwieniła. – Nie wierzyłem w spotkanie ideału, dopóki jej nie zobaczyłem. – Goście klaskali. Nie wszyscy wiedzieli, że po raz pierwszy doszło do tego jeszcze w przedszkolu. – Rodzice i ja żyjemy w mieście. Daleko od prawdziwego życia, daleko od uczciwości, jakiej wy tutaj doświadczacie na co dzień. Chcę, aby moja rodzina, ta, którą dzisiaj zakładam, była oparta na takich fundamentach, tak chcę żyć i wychowywać swoje dzieci. Kiedy uświadomiłem sobie, jak dobra jest Monika, jak czysta i szlachetna, nie miałem wątpliwości. To moja przyszła żona, myślałem. – Zapadła cisza, pełna szlachetnego uniesienia. – No dobrze, nie będę ukrywał, jej uroda też nie była bez znaczenia. – Goście znów klaskali. – Dzisiaj jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Mam wspaniałych, cudownych rodziców, którzy dali mi wykształcenie, miłość i podstawy do tego, aby stać się pełnowartościowym człowiekiem. Właśnie powiększyłem swoją rodzinę, krąg najbliższych ludzi, o teściów – uczciwych, honorowych, kochających prawdę. No i przede wszystkim o Monikę, moją żonę, wymarzoną kobietę mojego życia, matkę moich przyszłych dzieci. Rodzina to podwalina! Skała! Wszystko to jest najlepsze. – Zachwiał się odrobinę. – Nikt nie jest tak szczęśliwy jak ja, a jak ktoś śmie twierdzić inaczej, to niech się ze mną zmierzy! – Robert podniósł rękę, drugą macając wąż muskuły. Goście śmiali się i klaskali, a pan młody porwał Monikę do tańca. Szarpnął przy tym welon, który odpiął się z jednej strony i powiewał niesymetrycznie. Tylko jej to przeszkadzało.

– *Dobrze, że odpięłam tren* – pomyślała. – *I żeby tylko nie było śladów pod pachami.* Małe dziewczynki w różowych sukienkach, wszystkie z okolicy, przeszkadzały im w namiętym tańcu.

Monika była szczęśliwa – tak jak Ojciec i pewnie jak Matka, i pewnie trochę inaczej niż Robert. Ale nie wygłaszała toastu. Nic nie mówiła, bo też nikt tego nie oczekiwał. – *Cóż zresztą miałabym do powiedzenia?* – myślała.

Teść też przemawiał. Oznajmił, że jest dumny z syna i jego nowej rodziny, i wierzy w młodych. Za to wznosił toast. O szczęściu nie było mowy. Orkiestra, z dużym wyczuciem chwili, zagrała przebój każdego prawdziwego, także królewskiego, wesela *Cudownych rodziców mam* i Monika uświadomiła sobie, że po raz pierwszy dotyka ramienia teściowej, innej części ciała niż dłoń. Ucieszyła się, że dzięki temu nawiąże ze swoją drugą matką dobry, prawdziwy kontakt.

– *To jest potrzebne* – myślała. – *Przecież będziemy razem mieszkać.*

Gdy po raz pierwszy zobaczyła dom przyszłych teściów, nie była pewna, jak się zachować. Takie domy widziała tylko w filmach. Salon jak podwórze u rodziców; jako dziecko mniej miała miejsca do jeżdżenia na rowerze, niż tutaj drogi z kanapy do kuchni. Skórzane fotele, kryształ w witrynach, wielkie obrazy. Te ostatnie bardzo jej się podobały – miały szerokie, złoczone ramy. I kuchnia była piękna, błyszcząca, ale teściowa nie gotowała. To należało do obowiązków gosposi, poza tym zatrudniano jeszcze sprzątaczkę i ogrodnika.

Młodzi mieli przygotowane dwa pokoje na piętrze: wspólną sypialnię i pracownię dla Roberta.

– Kuchnia nie jest wam potrzebna – tłumaczyła teściowa. – Wszystko macie u nas, po co wyrzucać pieniądze na dodatkową kuchnię w domu.

Monika kiwała głową, chociaż lubiła gotować, ale nie można przecież zaczynać wspólnego życia od kłótni. Teraz przytulała ramię teściowej i czuła ciekący pod pachą strumyk potu.

Odetchnęła, gdy mogła w końcu zdjąć suknię haftowaną setkami koralami i założyć lżejszą. Przebierała się na tyłach remizy, gdzie stały dwa wypłowiałe fotele, niska ława zastawiona popielniczkami i meblościanka wypełniona śmieciami: zdechłe piłki, trochę papierów, dwa połamane kaski strażackie. Zamierzała usiąść w fotelu, ale przypomniała sobie opowieści z dzieciństwa o pchłach skaczących wyżej oparcia i o tym, co na tych fotelach robiły różne pary, i gdzie potem były pogryzione. Oparła o ławę stopę w przyciasnym lakierku i odpięła zamek wysadzany kryształkami. Haftki sukni odpinała świadkowa, razem zdjęły z Moniki spiętrzone falbany.

– Jak ja to udźwignęłam? – Panna młoda spojrzała na leżącą przed nią suknię i razem ze świadkową parsknęły śmiechem. Kreacja była monstrualna: wielkie bufy na rękawach, potężne marszczenie w pasie, na dole szeroka, trzykrotnie drapowana falbana. Dekolt wykończony falbanką, dół sukni wykończony falbanką, rękawy wykończone falbanką. Na falbanie doszyte koronki. Gorset obsypany kryształkami i sztucznymi perełkami, koraliki układały się w gęste sploty ni to kwiatów, ni girland. Monika właściwie nie potrafiła powiedzieć, kto wybrał tę kieckę. Matka? Teściowa? Ona upatrzyła sobie inną, właśnie tę, którą świadkowa delikatnie wyjmowała teraz z pokrowca. Kremowy jedwab matowo odbijał światło. Suknia była pozbawiona ozdób, miała długie proste rękawy i niewielki dekolt. Łagodnie spływała wzdłuż figury Moniki, która wreszcie wyglądała na siebie – znów była drobna i filigranowa. Dlatego Robert wiele razy w ciągu nocy prznosił ją przez próg, za każdym razem krzycząc, że wnosi ją w nowe życie, chociaż chodził w różnych kierunkach. Monika zastanawiała się, czy to ma znaczenie. Wniesienie i wyniesienie panny młodej? Nie protestowała jednak, jej mąż bawił się tak dobrze.

Następnego dnia Monika założyła blad różową suknię z welurowymi kwiatami na gorsecie i spódnicą spływającą do kolan miękką kaskadą. Kręciła się po remizie, podsuwając znużonym gościom pełne półmiski. Świętowanie miało trwać trzy dni.

– W prezentach się nie zwróciło. – Kręciła potem głową Matka.

– Ale żadna dziewczucha w okolicy nie miała takiego wesela – podsumował Ojciec.

2

Monika mieszkała w pałacu, gdzie miała do sprzątnięcia dwa pokoje. Pościel na wielkim łóżku czekała codziennie na Roberta wygładzona, bez żadnego zagniecenia. Idealna, tak jak perfekcyjne było życie Moniki. Codziennie odkurzała podłogi, zbierała miękką ściereczką kurz z marmurowych parapetów i raz w miesiącu pucowała szyby w oknach. W drugim pokoju też sprzątała, ale ostrożniej. Musiała uważać, żeby na biurku Roberta niczego nie poprzestawiać. Nie mógłby potem niczego znaleźć, a przecież tak ciężko pracował, bałagan mu niepotrzebny.

Monika sprzątała, nabłyszcziała, odkurzała. Nudziła się.

Robert pracował, awansował, zarabiał bardzo dużo, ale dziewczyna nie była przyzwyczajona do wydawania pieniędzy. Nie nawykła do kupowania ubrań; nowe sukienki pięknie leżały tylko na kolorowych jak kwiaty dziewczynach, które chodziły po ulicach i machały skrzydłami spódnic aż pod niebo. Odślaniały nogi, pokazywały opalone ramiona; Monika była za skromna. A Robert zbyt zazdrosny – po co miała kupować ciuchy? Jemu podobała się w tym, co miała. *Przecież nie będę stroić się dla innych* – myślała. Kosmetyków nie używała, wystarczyło mydło i ładnie pachnący szampon.

Nie, nie potrzebowała pieniędzy. Nie miała na co ich wydawać.

Monika czytała, czasami oglądała telewizję. Rzadko rozmawiała z teściową. Z teściem wcale, zawsze gdy schodziła siedział w głębokim fotelu i z uwagą analizował gazetę. Jadła mało, bo to i kosztuje, i kłopot dla teściowej. *Kuchnia taka ładna, po co ma się brudzić.*

Kiedyś Monika niechęć – jak zawsze cicho, szeptem schodziła po schodach, bo cała była szeptem i ciszą – usłyszała:

– Co ona tam robi? – męski głos zatrzymał ją na półpiętrze. – Całymi dniami siedzi w tych dwóch pokojach, ani zejdzie, nie porozmawia, do ogrodu nie pójdzie.

– Błada jak płótno bielone, fakt – przytaknął głos teściowej. – Sprząta chyba? Robusia zapytam, jak wróci.

– Co ty, z moimi rodzicami nie rozmawiasz? – Wieczorem Robert był wyraźnie zdenerwowany.

– Nie chcę im przeszkadzać – odparła cicho, bo przecież była ciszą.

– Nie wygłupiaj się, porozmawiaj z nimi, bo mi głowę zawracają – rzucił Robert znad progu i wrócił do gabinetu. Tam był komputer z szybkim łączem, przepustka do ciekawszego świata.

Następnego dnia Monika zeszła do teściów.

– Dzień dobry, mam – powiedziała, z trudem rezygnując z szeptu.

– Witaj, Moniko. – Teściowa spojrzała na synową, bladolicą i wiotką. – Zjesz coś?

Dziewczyna nagle poczuła się głodna. Pokiwała głową.

Jedzenie rozlało się po brzuchu łagodnym ciepłem, to było miłe i dobre.

– Dziecko, czemu ty tak sama tam siedzisz? – powiedziała teściowa, wykonując nieokreślony gest nad głową.

– Nie chcę przeszkadzać, mammo.

– Przychodź do nas. Przychodź, bo ja już myślę, że znać nas nie chcesz.

Od tego dnia, po wygładzeniu pościeli na łóżku, starciu marmurowych parapetów i odkurzeniu wszystkich kątów najnowszym modelem odkurzacza, Monika schodziła do teściowej. Kobiety wychodziły na taras, młodsza czytała książkę, starsza przeglądała gazety, czasem sięgnęła po książkę synowej. Dobrze im się tak siedziało, razem, czasem w ciszy, czasem w deszczu, czasem w rozmowie.

– Dobra ta książka? – zaczynała teściowa unosząc brwi.

– Mammo, ona jest fantastyczna – ożywiała się Monika. – Ten bohater to mówi mało, ale jak już coś powie to tak, jakby inny trzy zdania powiedział! A kiedyś czytałam jeszcze, że...

Rozmawiały coraz więcej.

Parę tygodni minęło, kiedy teściowa powiedziała do teścia: – Ta Monika to nawet wcale nie taka głupia – mówiła „gupia”, tak jej brzmiało ładniej. – Może i ze wsi, ale ocytana i myśli. Dobra dziewczyna. A cicha, małomówna, bo skromna. Lubię ją – zawyrokowała wbrew sobie, bo wcale nie zamierzała polubić tej, która zabrała jej syna.

– Monika, mogłabyś się kiedyś ubrać ładniej – rzekł Robert pewnego wieczoru. – Idziemy na imieniny kolegi, a ty nie masz co na siebie włożyć. Mama! – krzyknął. – Zabierz Monikę jutro na zakupy, co?

Jego młoda żona uśmiechała się. – *Zakupy? Czemu nie? Mogą być i zakupy. Coś nowego zobaczę, a że nie będę sama, to nie ma się czego bać.*

Teresa zabrała synową do galerii handlowej. Oszałamiające miejsce, chociaż wtorkowego przedpołudnia było w niej stosunkowo mało ludzi. Dla Moniki i tak oznaczało to jednak nadmiar wrażeń. Teściowa wybrała sklep i po kolei zdejmowała z wieszaków ubrania.

– Dziewczyno, ty jesteś naprawdę atrakcyjna – zawyrokowała w końcu, każda sukienka w rozmiarze 36 leżała na niej bowiem idealnie. – No musimy o ciebie zadbać, tak dłużej nie może być. Robert w pracy, a ty gaśniesz.

Monika nie była w stanie podjąć żadnej decyzji, więc ciuchy wybrała za nią teściowa. Zapłaciła i pomaszerowała do gabinetu kosmetycznego.

– Masaż nawilżający – zaordynowała. – Potem pełny makijaż.

To kosztowało tak dużo, ale Monika nie śmiała protestować.

Rodzicom bym coś wysłała, a nie tak na mazidła wydawać! – myślała. Jednak płaciła teściowa.

– Czekam tam, w kawiarni. – Machnęła w stronę okrągłych stolików.

Kiedy Monika wyszła, popatrzyła na nią z uznaniem. – To jest to – mruknęła, oblizując zęby z resztek kawy. – Zrobimy jeszcze z ciebie światową dziewczynę. Siadaj, napij się.

– Dziękuję, mammo. – Monika dygnęła. Siadła na brzegu krzesła, poprawiła spódnicę. Starsza kobieta przełknęła kawałek ciasta.

– Nie mów do mnie mammo, mam na imię Teresa.

Jak to tak? Po imieniu do świekry? – Monika zadławiła się kawą. Nie była już gorąca, Teresa zamówiła ją za wcześnie.

– Tak, tak, będę czuła się młodsza – dokończyła teściowa, gdy już opanowały kaszel Moniki. – Jestem dla ciebie Teresa, od dzisiaj nie mów do mnie mammo. – Słowa podkreśliła, trzykrotnie wbijając palec w marmurowy blat.

– Dobrze, mammo. – Monika spojrzała na teściową i obydwie roześmiały się ciut za głośno.

– Masz ładny śmiech... tak... Nie mogę pozwolić, żebyś się marnowała na tym poddaszu – mówiła Teresa, bawiąc się dolną wargą i patrząc na Monikę jak na eksponat.

Tego wieczora Robert przyszedł wściekły. Długo dyskutował z matką, potem nie miał już ochoty rozmawiać z żoną. Rano rzucił tylko w przelocie:

– Idziesz do pracy. Do ludzi musisz wyjść, dzikusie.

Do ludzi? Owszem, chciałabym nawet. Studiować bym chciała, uczyć dzieci, to taki dobry zawód. Ale iść do pracy? Właściwie też mogę, dlaczego nie. Bylebym zdążyła pościelić łóżko, zetrzeć parapety i odkurzyć.

Po codziennym rytuale sprzątanania zeszła do Teresy.

– Mówił ci Robert? Pytałam znajomego, może dać ci pracę. Chcesz?

Monika nie wiedziała, czy chce.

– No to chociaż spróbuj. Robuś to się czasami nie potrafi zachować. – Teresa pokręciła głową. – Nic ci nie powiedział, prawda?

– Tylko tyle, że mam wyjść do ludzi, bo będę dzikusiem. – Monika splatała palce i patrzyła w podłogę.

Teresa wywróciła oczami.

– Sama go wychowałam. Siadaj. – Popchnęła dziewczynę w stronę kanapy. Fotel należał do teścia nawet pod jego nieobecność. – Słuchaj, ta praca to nic szczególnego. Znajomy prowadzi firmę, potrzebuje nowej sekretarki, bo dotychczasowa wyjechała do Anglii. Ty głupia nie jesteś, nauczysz się. Przez pierwsze dni pewnie będziesz parzyć kawę, ale potem... Nie spróbujesz, nie przekonasz się – zawyrokowała.

Kiedyś prowadziliśmy razem interesy. To znaczy Mąż prowadził. Wiesz, czasy były trudne, on sam nie mógł, firma była na wspólnika. Wiadomo, że bez Męża wspólnikowi nic by się nie udało, prywatna inicjatywa wtedy nie była mile widziana – Teresa mówiła bardziej do siebie. – A to szklarnia pod Łomiankami była, wiesz za jakie pieniądze? – Zamyśliła się w końcu i Monika uznała, że może coś powiedzieć.

– Teresa, ale w co ja się ubiorę? – zapytała, patrząc na swoje dłonie, złożone na podołku.

Popołudnie spędziły w garderobie. Monika nie miała wiele ubrań, ale większość była skromna, stonowana – nadawała się do biura. Wybrały trzy zestawy.

– Niedługo znów wybierzemy się na zakupy – powiedziała teściowa, stojąc na skraju schodów.

To groźba czy obietnica? – zastanawiała się Monika jeszcze długo po zamknięciu drzwi do swojej sypialni.

Pracę miała zacząć za dwa dni. Litery uciekały, kiedy próbowała czytać. Telewizja nudziła, sprzątanie było już trzykrotnie powtórzone. Zeszła na dół.

– Boję się – powiedziała cicho.

– Nie masz powodu – odparła rzeczowo Teresa. – To nasz znajomy, potraktuje cię porządnie. Nauczysz się, czego trzeba, wreszcie przestaniesz się nudzić w domu. Będziesz bardziej interesująca, dla Roberta też. – Podniosła palec. Skierowała go w stronę sufitu, Monika wyobraziła sobie niebo, które ten palec przekłubał. – Pomożesz mi przy obiedzie? Nie ma dzisiaj gosposi.

Po raz pierwszy zobaczyła gotującą synową. Obiad był znakomity, nawet teść uniósł głowę nad talerza. Może i chciał pochwalić, ale nie był pewien kogo. Bezpieczniej było nie mówić nic.

Teresa czasami nudziła się w domu, na siłę znajdowała zajęcia zabijające czas. Nie wypadało o tym mówić – ile to kobiet chciałoby mieć takie życie! Mąż, przez lata członek partii, zawsze przynosił dość pieniędzy. Nawet jak nic w sklepach nie było – u nich nie brakowało. A to kolega z placówki szyneczkę przywiózł, i to nie krakusa z puszki, a prawdziwą, różowitką i pachnącą; a to kilo proszku do prania, niemieckiego, od którego cały dom pachniał kwiatowo; a to ktoś wyraził wdzięczność kuponem mięsistej żółtej bawełny, idealnie pasującej na zasłony do salonu. Kawę piło się u nich prawdziwą, kenijską, a i herbaty tylko smakowe.

Mąż Teresy – czasem zapominała, jak ma na imię, był po prostu Mężem, zaradnym, przedsiębiorczym nikim szczególnym. Kupił tanio ziemię, tanio postawił na niej dom, drogo go sprzedał i przeprowadzili

się do dużej, przedwojennej willi na Żoliborzu. Ze starym ogrodem tak dużym, że mimo gęstego zadrzewienia słonecznym. Znowu się Mąż zakręcił, kupił kolejny kawałek ziemi, tym razem pod Warszawą, w Łomiankach. Tam postawił szklarnię – jako cichy udziałowiec. Oficjalnie nie mógł, prywatna inicjatywa w partii nie była mile widziana. Właśnie z tym znajomym, który przez lata spłacał dług, a teraz miał zatrudnić Monikę. W Łomiankach za pieniądze Męża i na jego zysk pracowali ludzie, uprawiając pieczarki, kalafiory i buraki. Mąż odkładał pieniądze na różne konta zagraniczne, nie pokazywał bogactwa – oficjalnie miał tyle, co inni. Sam nie lubił pracować, wolał być panem, skupić się na zapewnieniu żonie i synowi odpowiednich warunków. Potem poszedł na rentę (na kręgosłup) i całe szczęście, bo obciążliby mu emeryturę. A tak siedział w domu, odpoczywał. Ziemię w Łomiankach dawno spieniężył, ze szwagrem otworzył następną firmę, import-eksport, którą prowadziły dzieci wspólnika, bo starym się już nie chciało.

– I na koniec zostałem rentierem – rechotał Mąż.

I jego żona też się śmiała. Skoro Mąż się śmieje, to i jej wypada. Chociaż nie do końca rozumiała, co w tym śmiesznego.

Po obiedzie Teresa zaparzyła kawę, mocną, w profesjonalnym ekspresie, a Monika sprzątnęła kuchnię. Teściowa spoglądała z zadowoleniem na dziewczynę, której naczynia wyfruwały spod rąk czyste, nawet bez pomocy zmywarki. Porządek w kuchni skłaniał do refleksji. Usiąść, przeglądać się w lśniących frontach szafek, rozmyślać. Rozmawiać też można.

– A gdzież ja mam głowę. – Gwałtownie podniosła się z krzesła Teresa. – Zawsze gospoia dba o to. – Uniosła drzwi szafki, wyciągnęła paterę z ciastkami, a z lodówki talerz z kawałkami tortu. – Do kawy jak znalazł. – Monika chwyciła talerzyki i we dwie usiadły przy stole nakrytym koronkową serwetą. Mąż udał się na poobiednią drzemkę.

– Monika, tobie tak nie nudno tam na górze? – zaczęła Teresa, skubiąc widelczykiem tort.

– Przywykłam, mam. To znaczy... przepraszam.

– Dziewczyno, nie możesz tak ciągle przepraszać. Inaczej życie cię zje. Idziesz do pracy za dwa dni, musisz się szanować.

Monika gryzła kruche ciastko w ciszy.

– Ten tort to z jakiejś okazji? – spytała.

Teściowa spojrzała na nią, jakby wróciła właśnie z odległej planety.

– Co? Tort? A tak. To znaczy nie. Gospoia lubi i gotować, i piec, więc piecze, na co tylko ma ochotę. Może się wyżyć kulinarnie, i czasem do domu coś zabierze, ja na to pozwalam i zawsze kupuję wszystko, o co prosi. A czasami ma świetne pomysły, oj ma. Ale nic to, Monika, muszę cię o coś zapytać.

– Tak?

– Co ty dalej zamierzasz?

– Jak to, idę do pracy. Pojutrze.

– Przecież nie będziesz chyba całe życie pracować jako sekretarka?

– Pewnie niedługo pojawią się dzieci, to i pracować nie będę mogła. Nie chcę, żeby wychowywały je nianie.

– Nianie nie są złe. Dziewczyno, czy ty chcesz się dalej uczyć?

– Chciałam, ale nie wyszło. – Spuściła wzrok na serwetę. – Czy to ręczna robota?

– Nie zmieniaj tematu. Tak, dzieło gospoia. Dlaczego nie wyszło?

– Matka i Ojciec nie mieli pieniędzy, tylko maturę zdałam, wprawdzie na piątkach, ale nigdzie dalej nie mogłam pójść.

– A ciągle chcesz?

– Już o tym nie myślę. Teraz chcę rodziny i żeby Robert był szczęśliwy, i żeby ja była szczęśliwa.

Teresa mieszała energicznie kawę, chociaż piła gorzką.

– Kiedy byłam w twoim wieku, może trochę młodsza, skończyłam studium pedagogiczne. Marzyłam o takich prawdziwych studiach. Trafiłam do miasta z wiejskiej rodziny i ciągle tęskniłam. Nie tylko za matką i ojcem, ale też za zielenią i powietrzem. Skierowali mnie do pracy, nauczyciele byli wtedy potrzebni, marzenia o studiach diabli wzięli.

– Nie cieszyła cię ta praca?

– Ależ nawet bardzo. Lubiłam dzieci i chciałam je uczyć, ale najpierw sama siebie chciałam nauczyć. Nigdy nie wróciłam już do myśli o studiach.

Monika przyglądała się koronkowemu splotom.

– Przecież to nieprawda.

– Słucham? Zarzucasz mi kłamstwo?

– Nie, przepraszam, to nie to... Po prostu myślę... wracałaś myślą do studiów, tylko nic z tym nie zrobiłaś. I dalej o tym myślisz. I chyba żałujesz...

Teresa potwierdziła skinieniem, ale nie skomentowała.

– Spotkałam Męża, albo on spotkał mnie, przez przypadek. Podczas wizytacji zabłądził w część przeznaczoną dla nauczania początkowego. Na korytarzu prowadziłam WF. Wiesz, takie tam: pajacyk, podskakujemy, Tomuś nie szarp Malwinki, teraz skłony, Maciek, nie wiesz, jak się robi skłony?, kto szybciej do ściany! Nie widziałam go, stałam tyłem. A Mąż nie tylko zatrzymał się, ale stał tam długo, aż dzieci zaczęły pokazywać go palcami. Dopiero wtedy go zauważyłam.

– Od razu ci się spodobał?

– A skąd! W ogóle mi się nie podobał. Byłam młoda i nie obchodziły mnie układy i możliwość załatwienia kawy spod lady. – Teściowa zamilkła. – Pójdę odpocząć, jeśli pozwolisz. – Monika automatycznie sięgnęła po puste filiżanki, zaniósła wszystkie naczynia do kuchni. Teresa wchodząc do sypialni, rozmyślała: – *Po co jej to wszystko mówiłam?*

3

Robert zawsze lubił kobiety.

– Lepiej baby niż facetów, no nie? – Rechotał czasami z kolegami.

Potrafił zmieniać się wedle potrzeb. Swoich oczywiście. Dla Moniki był delikatnym młodzieńcem z dalekiego, wielkiego miasta. Marzyciel przyłoczony tęsknotą za spokojem. Taki był wtedy, gdy ją uwodził i gdy prosił o jej rękę. Zresztą może naprawdę był, gdy przyjeżdżał z matką na wakacje, jako letnik, a potem taki już pozostał w oczach Moniki, chociaż czas go zmienił, niepostrzeżenie i nieodwracalnie.

Sam Robert nawet nie zauważył, kiedy stał się innym Robertem. Mężczyzną, dla którego nie chabry wśród zbóż, tylko fury wśród wieżowców zaczęły mieć znaczenie.

W pracy – dbał bardzo o pozory. Wymuskany, w śnieżnobiałej koszuli, odprasowanej w kant, w nieskazitelnej garniturze, wyglansowanych butach. Zawsze rozplływający się w uśmiechach, ale jednak czujny. Cudze błędy szybko wyłapywał i zapamiętywał, a że sprawiał wrażenie sympatycznego – takiego do tańca i do rózańca – ludzie często mu się zwierzali. A to ktoś ponarzekał na szefa, co przecież kiedyś Robertowi mogło się przydać, a to ktoś opowiedział o swojej wpadce, albo jeszcze lepiej o cudzej. Wtedy informację można było wykorzystać bez skrępowań, skoro nie pochodziła z pierwszej ręki, a ryzyko towarzyskiego ostracyzmu było niewielkie.

Z kolegami pił. Według własnej oceny w normie, to znaczy niezbyt wiele. Koledzy postrzegali go jednak jako ochlejusa, który wprawdzie niezbyt często do butelki zaglądał, ale jeśli już, to nie sposób go było powstrzymać. Dlatego też zapraszali go na wspólne picie rzadko i tylko do sprawdzonych miejsc, gdzie zaprzyjaźnieni barmani wiedzieli już, co zrobić w razie kłopotów. A te sprawiał zawsze.

Nigdy jednak koledzy nie zachęcali go do wypicia jednego piwka w barze pod biurem, spontanicznie, po pracy. Z nim nigdy nie kończyło się na jednym. A koledzy mieli rodziny, piwko było przez żony akceptowane, ale tylko jedno, bez bełkotu i zbyt późnych powrotów do domu.

Brak umiaru Roberta jednak nie przysparzał mu wrogów, a wręcz przeciwnie – ludzie zwierzali mu się chętnie, a on – w swoim pijackim widzie – wszystko zapamiętywał. I pamiętał też, żeby nigdy nie pić przy szefie. I na służbowych wyjazdach też trzymał fason. A przynajmniej się starał.

Prywatnie Robert lubił kobiety i ciągle bardzo lubił Monikę. I chciał dalej być dla niej tym od chabrów – ale się wstydził.

– Co to tam, babskie historie – mawiał do siebie po jednej z ciężkich nocy. Czyli wtedy, gdy śnił o seksie z żoną i przytulaniu jej, i o tym, jak jechali razem na rowerach przez pyłące pola. Te rowery były najgorsze. Tak za nimi tęsknił, że budził się gwałtownie, z dziwnym uczuciem niemożności zaczerpnięcia powietrza, jakby tonięcia.

Przecież nie śniłem o wodzie – myślał wtedy.

Ręce mu drżały, kiedy w nocy stawał przed lustrem, przy bocznym świetle rzucającym głębokie cienie.

Przekształcało jego twarz w wampirzą maskę.

– Może pojechalibyśmy na rowery? – zaproponował kiedyś Monice.

– Pewnie – zgodziła się, uradowana.

– Gdzie będziecie jeździć, po ulicach? – wtrąciła Teresa.

– Nad Wisłę pojedziemy – odpowiedziała cicho Monika.

– Co to tam, pomysły takie, nad Wisłę. W krzakach w łeb wam dadzą, rowery ukradną, obyście tylko cali wrócili.

Robertowi rowery zostały więc tylko we śnie. Stały się synonimem złego czasu, nieprzespanej nocy, drżących rąk. – Znowu stresy ze mnie wyłazą – mawiał do siebie w ulubionym miejscu, przed lustrem.

Przyszło mu do głowy, by któregoś dnia zaproponować żonie wyjazd nad morze, do jej rodziców.

– Właściwie czemu nie? – ucieszyła się Monika.

Zaplanowali letnią wyprawę, Monika kupiła bawełnianą sukienkę na bazarze, tanią, za to w kolorowe, kwitnące kwiaty.

4

– Robert, nie możesz tak często zmieniać pracy! – usłyszała Monika wieczorem. Podniesiony głos Teresy dobiegał z salonu.

Zmienił pracę? Dlaczego Robert nie rozmawia o takich rzeczach ze mną, ze swoją żoną? – zastanawiała się dziewczyna. Po raz pierwszy uświadomiła sobie wewnętrzny bunt, który do tej pory nigdy nie został wyartykułowany. – *To poniżające* – myślała.

– Mamo, co tam nie mogę. Zarobię więcej.

– Nie musisz zarabiać więcej, niczego nam nie brakuje. Więcej to ciebie w domu nie będzie. Nie widuję cię, Monika też zresztą nie. *À propos*, wiesz, że idzie do pracy?

– Do pracy? Tak szybko? – Brzęk łyżki o talerz.

No cóż, ani on ze mną, ani ja z nim – pomyślała Monika, przysłuchując się rozmowie ze szczytu schodów.

– Mówiliśmy o tym – kontynuowała Teresa. – Załatwiłam jej pracę u Eugeniusza, to dobry człowiek. A ona nudzi się w domu, niech porobi wreszcie coś pożytecznego.

– No tak, nawet pracę trzeba jej załatwiać. – Monika wyobraziła sobie, jak Robert pokręcił głową nad talerzem, zanim spokojnie powrócił do zupy. Bunt w niej narastał. – Nie nudziłaby się, gdyby wreszcie zaszła w ciążę i bawiła dzieci. Od tego jest żona! – powiedział pogardliwie, gdy głośno przełknął kolejną łyżkę zupy.

Teresa nie odpowiedziała, a Monika cofnęła się znad schodów.

Na co ja im tam – pomyślała, zamykając drzwi sypialni. Położyła się, przykryła szczelnie kołdrą i zgasła światło. – *Jutro mam ciężki dzień. Idę do pracy. To dobrze czy źle? I jak ja sobie poradzę?*

Rano przy śniadaniu Robert nie zapytał Moniki o pracę ani o nową sukienkę. Wyszedł, zanim zdołał ją zauważyć. Ją, swoją żonę, Monikę.

Monika też wyszła, ale bez skrzydeł u ramion. Skąd miałyby je wziąć?

Boję się – myślała.

Po południu Teresa przeegzaminowała synową.

– Co robiłaś? Poradziłaś sobie? Jak się do ciebie zwracali?

Dopiero na koniec padło: jak się czujesz?

A Monika czuła się dziwnie – jak w innym świecie. W pracy było głośno, ludzie śmiali się bez skrępowania, biegali, robili bałagan. Przenosiła papiery z biura w sekretariacie na biurko szefa, poznała układ segregatorów, parzyła kawę i herbatę.

– Jestem zmęczona – opowiadała Teresie. – Ale czuję się dobrze, chociaż taka... rozdwojona. To zupełnie nowy świat, inny od domowego spokoju. Tutaj już przywykłam, a tam muszę dopiero wejść w zespół. Nie wiem, czy mnie polubią, czy przyjmą jak swoją.

– Pewnie, że cię polubią, nie gadaj głupot – prychnęła teściowa.

– Ale ja nie wiem, czy chcę być tam przyjęta, jeszcze nie wiem.

Teresa podeszła do niej, znów usiadły za stołem. Gospośia podała kawę i ciasto.

– Znamy Eugeniusza ze znacznie lepszych czasów. Szklarnię w Łomiankach za nasze pieniądze stawiali razem z Mężem. Interes zapisali na Eugeniusza; martwiłam się, i to wcale nie czasami, że pieniądze komuś obcemu powierzamy.

– Ale przecież nic się nie stało?

– Mąż nie martwił się o lojalność Eugeniusza. Kiedyś go do nas zaprosił. Kazał mi przygotować kolacyjkę, wyjąć najlepszą szynkę i ogóreczki, wódkę sam zmroził. Niby takie sympatyczne spotkanie miało być. – Monika usłyszała w głosie Teresy złość. – Ale Mąż przyniósł wtedy teczkę. Tylko pokazał ją Eugeniuszowi, nawet za bardzo jej nie otwierali, trochę tylko, żeby gość mógł sprawdzić, czy wszystko gra jak należy. To znaczy, czy jest prawdziwe – było, na dodatek całkiem sporo. Wtedy przestałam się martwić o jego lojalność wobec nas. Eugeniusz oczywiście układ przyjął, co miał do stracenia? Za jednym zamachem dostawał pracę z gwarantowanym zarobkiem i kapitał do rozkręcenia firmy. Pieniędźmi zarządzał uczciwie przez wszystkie te lata. Nie bez znaczenia była też dyskretna opieka, przecież wiadomo było, że Mąż nie dopuści do kłopotów z systemem.

– To się nazywa wzajemność.

Teresa wzruszyła ramionami. – Układ działał aż do momentu, gdy szklarnie przestały przynosić zysk. Eugeniusz wraz z Mężem sprzedali interes, podzielili się pieniędźmi i tyle. Mąż dostał większą część, w końcu to był nasz kapitał. A jego ekswspólnik otworzył własną działalność.

– Z tego co mówisz, układ dalej działa.

– Eugeniusz niechętnie przypomina sobie o dawnej sztamie z Mężem.

– To dlaczego mnie zatrudnia?

– Bo ja wiem, jak na niego wpłynąć. – Teresa uśmiechnęła się. – I trochę z przyzwyczajenia.

Zamilkła.

– Swojej teczki nigdy nie odzyskał – kontynuowała po chwili. – Zawierała dowody na nieposłuszeństwo wobec systemu, który się skończył, co teraz jest dobrze widziane. Więc Eugeniusz nie ma już skrupułów, ale sentyment pozostał, więc bez gadania jest skłonny wyświadczyć jakąś drobną przysługę.

Monika dalej nie wiedziała, czy chce być częścią biznesu Eugeniusza, jednak następnego dnia wstała wcześniej, wygładziła kołdrę i pojechała do pracy. Codziennie wstawiała, wygładzała kołdrę i wychodziła do biura. Parapety ścierała co dwa dni, trzy razy w tygodniu odkurzała. Nie zauważyła nawet, że spędza w pracy coraz więcej czasu. Robertowi to nie przeszkadzało i tak prawie go nie było. Teść nie zauważał ani jej obecności, ani tym bardziej braku. Tylko Teresa wzdychała.

– Z tą Moniką to już zaczynało się całkiem dobrze rozmawiać – mówiła do gosposi, nie oczekując odpowiedzi. – Znowu robi się pusto popołudniami w domu. Na szczęście w weekend Robert wyjeżdża, będziemy mogły z synową spędzić trochę czasu, pogadać.

Rozmowa przekształciła się w wyjście na zakupy. Zaraz po śniadaniu, przy którym Mąż swoim zwyczajem tylko czytał gazetę, pojechały do galerii handlowej. Monika kupiła spódnice i bluzkę, Teresa torbę kosmetyków; w końcu przysiadły odpocząć w kawiarni. Przy okrągłym stoliku, w słońcu falującym na zielonym blacie piły mocną kawę, Monika odpowiadała Teresie na serię pytań, która przeciągnęła się do drugiej filiżanki. W końcu dziewczyna odważyła się sama o coś zapytać:

– Jak to jest, jako mężatka nigdy nie pracowałaś, prawda? Dlaczego mnie wypychasz do pracy?

Teresa wpatrywała się w jasnozielone plamy. Wydęła usta, milczała długo. Nagle podniosła głowę i jak karabin zaczęła wyrzucać z siebie szybkie, rwane zdania, głosem pełnym rozpaczy, jakiej nikt by się po niej nie spodziewał:

– Mam wszystko. Dom, pieniądze, rodzinę. Wakacje, ciuchy i kosmetyki. Jestem nikim. Nikt się ze mną nie liczy. Mąż ze mną nie rozmawia, syn rzadko rzuci czasem coś na odczepnego, siorbiąc zupę. Patrzę na ciebie i wiem, że zaraz znikniesz. Albo staniesz na własnych nogach, albo za kilka miesięcy będziesz cieniem. Nie powtarzaj moich błędów. – Teresa przełknęła ślinę, opuściła ręce na kolana. Podniosła wzrok i obojętnie powiedziała: – Zobacz, na tamtej wystawie – wskazała palcem – stoją piękne kozaki. Kończ kawę, pójdziemy zobaczyć.

Kilka dni później Monika obejrzała w biurze półkę z książkami. Tytuły były z Marsa. *Marketing i zarządzanie w praktyce, Szkoła finansów dla niefinansistów, Zarządzanie przedsiębiorstwem...* Wybrała jedną na chybił trafił. Wieczorem z trudem przebrnęła przez pierwszy rozdział. Co chwila sprawdzała jakieś słowo w internetowym słowniku – aż do powrotu Roberta. Czytała codziennie: w drodze do pracy, w autobusie, podczas lunchu, wieczorem w łóżku. Czytanie jednej książki zajęło jej trzy tygodnie.

W czwartym Eugeniusz zaprosił ją na rozmowę.

– Moniko – zaczął patetycznie, a ona bała się, że zrobiła coś źle, że nawaliła, jak we wszystkim. – Widzę, że interesujesz się książkami – powiedział. – Poczytaj sobie. – Przesunął do niej po blacie kilka broszur i machnął ręką w stronę drzwi. – Teraz zrób mi kawy.

Zgarnęła papiery i podreptała do kuchni jak gejsza.

W autobusie obejrzała uniwersyteckie ulotki. Myślała o tym wieczorem. W nocy też nie mogła przestać. *Studia? Ja? A dzieci?*

Druki zostawiła w torebce, rano z pośpiechu wysypała je na podłogę, nie zgarnęła z powrotem wszystkich. Wieczorem Teresa weszła na górę.

– Chcesz studiować? – zapytała.

– Neeee... tak tylko czytałam. Eugeniusz dał mi te ulotki, ale to nie dla mnie. – Monika wzruszyła ramionami.

– Dziewczyno! Albo chcesz być kimś, albo... – Teściowa zacisnęła dłonie w pięści i zeszła szybko po schodach.

Robert następnego dnia rano na hasło „studia” wykrzyknął „Nie ma mowy!” i trzasnął drzwiami.

Wieczorem Monika zeszła do Teresy. Gospodyni zaparzyła herbatę i siedziały nad drożdżówką, oglądając czasopisma o modzie. Synowa chciała porozmawiać, głupio jej jednak było zacząć, więc tylko komentowała do wtóru nowe trendy.

– Wtedy, w szkole... – zaczęła Teresa. Przerwała, udając zakrztuszenie. Skarciła się w myślach, że chce opowiadać o sobie smarkuli, ale chęć do zwierzeń była silniejsza. – Wtedy w szkole Mąż nie dotarł do dyrektora. Powiedział mi potem, że zapragnął mnie nawet bardziej od nowej syrenki z lakierem écru.

– Syrenki? Tej z pomnika?

– Syrenka to był taki samochód.

– I chciał cię bardziej od samochodu?

– Nic nie rozumiesz, za młoda jesteś. Wtedy syrenka to był szczyt... wszystkiego, szczyt luksusu. Była tylko dla wybrańców.

– Miło było być ważniejszą od syrenki?

Teresa pokręciła głową, zdegustowana. – Skąd u ciebie nagle szyderstwo? A właśnie ci powiem, że miło było. Mąż się zakochał, tylko nie znał tego słowa.

Monika pokiwała głową. Zagryzła usta.

– Byłam kilkanaście lat młodsza od niego – kontynuowała Teresa. – Moi rodzice zostali przesiedleni z Buga i nie potrafili odnaleźć się na Śląsku. Matka mówiła, że jej korzenie zostały tam daleko, w zielonej i wolnej krainie. Usychała. Dla mnie i mojego brata rodzice nie chcieli życia w cieniu szybów

kopalnianych i kominów koksowni. Mnie wysłali do Warszawy, żebym na ludzi wyszła. Tak mówiła matka. – Kobieta westchnęła, ugryzła kolejny kawałek ciasta, pograżona we wspomnieniach. – Miałam się wykształcić i znaleźć dobre miejsce do życia. A jak wyszłam za męża, to matka tyle się martwiła, że taki stary, i czy będzie mnie kochał... A potem umarła szybko, jakby uznała, że już jestem bezpieczna, nie będę samotna na świecie, a ona nie jest mi już potrzebna. Ale matka zawsze jest potrzebna, wiesz już o tym, prawda?

Monice stanęła przed oczami Matka krzątająca się po kuchni. Wyszorowane garnki wiszące na ścianie, ciepło bijące od pieca, wielkie ręce rodzicielki pachnące jedzeniem, cebulą, ciastem. Ręce czasem surowe, ze skórą popękaną latem od pracy w polu.

– Moja Matka nie bardzo mnie kocha – powiedziała na głos wbrew sobie.

Teresa drgnęła. – Jak ty tak możesz mówić?

– Nie to chciałam powiedzieć... tylko że nie bardzo okazuje miłość.

– A Ojciec?

Monika wzruszyła ramionami, więc teściowa sama odpowiedziała na pytanie.

– Bo mój ojciec szybko za matką poszedł, wódką sobie drogę wymościł. Wracał w nocy do domu, ale nie doszedł, zasnął w zaspie. Nakrył się śniegiem jak kołdrą i obudził przy matce. Więc nie opowiadaj takich głupot. Masz matkę i ojca, to szanuj ich, kochaj i nie wypominaj. Pamiętasz wesele, jakie ci wyprawili? Bez miłości w życiu by się tak nie wykosztowali! Zresztą co ty tam wiesz! – Teresa wstała gwałtownie i poszła do łazienki. Gdy wróciła, dziewczyna siedziała w tym samym miejscu.

– Chyba źle mnie zrozumiałaś – zaczęła mówić, jeszcze zanim teściowa podeszła do stołu. – I Matka, i Ojciec kochają mnie, wiem to na pewno. Wesele to mi akurat wyprawili na odejście i dla ludzi bardziej, nie dla mnie. Nie, nie, nie przerywaj. Tak było, na pokaz, ja tak nie chciałam. Oni kochają, tylko nie umieją tego okazać, nigdy mnie nie przytulali, nie głaskali. Nie miałam lekko, chociaż wiem, że się starali. Jak czasem patrzę na mamy przytulające swoje maluchy, to im zazdroszczę. Ja tak nie miałam.

– To się postaraj, żeby twoje dzieci tak miały. Bądź dla nich. Zresztą – Teresa machnęła ręką, siadając – żeby je dobrze wychować, musisz być kimś. Mieć swoje zdanie, coś do powiedzenia. Najpierw będziesz im opowiadać o sposobach czyszczenia okien, ale jak pójdą do szkoły, to kim się dla nich staniesz?

– Uważasz... – ostrożnie zaczęła Monika.

– Tak. Tak uważam – odrzekła.

Następnego dnia z samego rana, zanim jeszcze Eugeniusz pojawił się w pracy, Monika wysłała faksem aplikację na studia.

Na chesne wystarczy mi zarobków. Nic nie odłożę, mówi się trudno. Będę studiować – myślała w nocy.

W domu rozpętało się piekło.

– Jakie studia? Co ty wygadujesz? – awanturował się Robert. – Najpierw praca, teraz studia, za chwilę samochodem będziesz chciała jeździć! Widzi mama, do czego prowadzi ta emancypacja?! Lepiej byś się za rodzenie dzieci wzięła!

Monika słuchała ze spuszczoną głową. Właśnie skończyli obiad, gosposia zносиła naczynia, Robert ze wzburzenia rozlał trochę sosu na biały obrus. Jednak z każdym jego słowem Monika upewniała się w swojej decyzji. Nie zrezygnuje. Spoconymi palcami miętoliła w kieszeni potwierdzenie zapłaty za pierwszy semestr. Pożyczyła od Eugeniusza *a conto*.

– To są weekendowe studia, zaoczne – wyszeptała. – Zaczynają się w pierwszym tygodniu października.

Robert trzasnął drzwiami.

Następnego wieczora zadzwonił Ojciec.

– Córko... – zaczął niepewnie. Jego głos zniekształcał dystans większy niż odległość; wydłużony o kilometry drutu i oschłości wcale nie przypominał jej Ojca. – Córko, nie możesz robić rodzinie takiego zawodu. Nie możesz wstydu rodzinie przynosić!

– Wstydu?

– Wstydu, wstydu. Tyle miesięcy po ślubie! Brzuch powinnaś nosić! A ty wyskakujesz z jakimiś... pomysłami! – ostatnie słowo brzmiało jak przekleństwo.

Monika słuchała grzecznie, potulnie, jak należy słuchać Ojca, i zaciskała dłoń na kwitku w kieszeni.

Znowu się pocę – pomyślała ze smutkiem.

– Robert, mieliśmy pojechać na wakacje do moich Rodziców. Lato zaraz minie, kiedy pojedziemy?

– Na wakacje? Zmieniłem pracę, jeszcze nie mam urlopu. Poza tym jakie wakacje? Studentka się znalazła, co to na wakacje chce wyjeżdżać!

– Urlop masz przecież jeszcze z poprzedniej pracy... – powiedziała Monika już sama do siebie. Mężczyzna wyszedł do łazienki.

Stał tam w swoim ulubionym miejscu, wcześniej dokładnie zamknąwszy drzwi. Spoglądał w lustro i odczuwał panikę.

Monika pracuje, Monika studiuje – myślał. – *A miała być tylko moja, zawsze obecna, ciepła, do przytulenia. Gdzie ją nosi?*

Było mu zimno. Zdał sobie sprawę, że mimowolnie zdjął koszulę, nawet nie wiadomo kiedy.

Monika nie będzie już potulna. Jej też będę musiał coś udowodniać – jak w pracy. Nie mam ochoty już więcej nic nikomu udowodniać! Chcę, żeby ktoś mnie bezwarunkowo podziwiał, tylko za to, że jestem. Był mi oddany i już. Dlatego wziąłem sobie tę wiochę! – Uderzył w umywalkę kantem dłoni, syknął z bólu. – *Nie, nie dlatego ją sobie wziąłem – oddychał głęboko. – Pokochałem ją, chciałem być z nią zwyczajnie szczęśliwy. I wszystko się pokomplikowało.*

5

Monika odkryła znaczenie słowa „determinacja”.

To zupełnie to samo co „przyjemność” i „zakazana” – uśmiechała się.

Uczelnia to był nowy świat. Jak otwarte drzwi, których istnienia nie podejrzewała. Odkryła, że chce poznawać nowych ludzi i uczyć się nowych słów. Pewnego dnia nawet rzekła do siebie: *Tak, chcę jeździć samochodem!* Na razie nic to nie zmieniło.

Po pierwszym dniu na uczelni była bardzo zmęczona. Trudne słowa i nieznanne książki peszyły ją. Z biblioteki uniwersyteckiej wypożyczyła trzy tytuły ze szczerym zamiarem przeczytania ich w ciągu tygodnia. Miała dużo czasu. Roberta nie było, Teresa wyjechała, na teściu można było polegać – nie odzywał się, jak zawsze. Dziewczyna zapamiętała wertowała słowniki i przeglądała Internet. Przez cały tydzień przeczytała tylko jedną książkę. Kolejne wykłady były jeszcze trudniejsze. Cieszyła się, że do następnego zjazdu ma dwa tygodnie.

Monika wygładzała łóżko, ale parapety odkurzała już tylko raz w tygodniu, pracowała, czytała książki i studiowała. Nastąpiła jesień, potem zima. W pierwszej sesji musiała powtarzać jeden egzamin, pozostałe zdała na trójki, jeden na czwórkę. W domu nikt nie pytał o oceny, a ona nie zamierzała się ani chwalić, ani wstydzić. Odłożyła pieniądze na kolejny semestr. Nie kupowała sukienek ani kosmetyków, nie chodziła do kawiarni. Ciągłe czytała, rozumiała coraz więcej słów. Dwa razy odpowiedziała na pytanie zadane przez wykładowcę. Nikt inny nie potrafił, tylko ona. Odpowiedziała cicho, ale poprawnie. W kolejnej sesji nie miała powtórek, czwórki zapełniły indeks niczym kanciaste powody do dumy, której nikt z nią nie dzielił.

Eugeniusz był zadowolony z sekretarki. Wiedział o jej studiach i powtarzał, że „pomógł się dziewczynie rozwijać”, chociaż podetknął tylko pod nos ulotki. Studiowała w weekendy, więc mu to nie przeszkadzało. W tygodniu parzyła dobrą kawę, utrzymywała porządek w dokumentacji, półki z segregatorami były czyste, a jego biurko odkurzone. Eugeniusz czuł się dobrze, zapracował sobie na to uczucie.

W wakacje Monika chciała spędzać więcej czasu z Robertem.

– Może pojechalibyśmy gdzieś w weekend – zagadnęła męża, stając w jego pracowni w seksownej koszulce. Zaoszczędziła na kolejny semestr i postanowiła nagrodzić się kawałkiem jedwabiu.

– Wyjeżdżam – odburknął.

– Może w następnym tygodniu? – Nie ustępowała.

– Hm... – podniósł wzrok. Popatrzył łakomie, dopiero teraz zauważył żonę w koronkach – właściwie po co mamy wyjeżdżać? – Odgarnął jej ciemne włosy z ramion, chwycił w pasie i zaniósł do sypialni. Tam rzucił na łóżko i kochał – szybko, żarłocznie. Tak bardzo, że Monika nie zdążyła tego poczuć.

– Cudownie było – mruknęła z przyzwyczajenia. – Pomyśl, może obejrzelibyśmy Sandomierz? Podobno jest piękny, moglibyśmy pospacerować razem...

Robert odwrócił głowę w jej stronę. – Pospacerować? Od kiedy to ja lubię spacerować? – powiedział ze wstrętem.

– Kiedyś lubieś... To może usiądziemy nad Wisłą i spędzimy miło czas? Na rozmowie?

– Przecież rozmawiamy. – Robert drapał się po kroczu.

– Trochę mało. Dużo pracujesz, rzadko jesteś w domu, nie mamy kiedy porozmawiać. Pamiętasz nasze listy?

– Listy? Aaaa, listy. No pamiętam. I co?

– Byliśmy daleko, a dużo o sobie wiedzieliśmy, może więcej niż teraz.

– Co ty wymyślasz? Mieszkamy w jednym domu, śpimy razem. Żona jesteś, to jak masz o mnie nic nie wiedzieć? Idę się umyć – odpowiedział Robert, przeciągając się.

Wakacje Monika spędziła w pracy i w domu, czasami siadając po południu z Teresą w ogrodzie. Synowa robiła jej kawę o egzotycznym smaku, razem skubały ciasta pieczone przez gospozię.

– Dawno nie spędzałam tak miło czasu – powiedziała któregoś dnia Teresa.

Dziewczyna zaśmiała się. – Ja nigdy nie wiedziałam, że tak w ogóle można!

– Ale wszystko ma swój koniec, wiesz o tym? Co zamierzasz dalej?

Monika przełknęła powoli kawałek ciasta. – Chcę skończyć studia.

– A dalej? – nie ustępowała Teresa.

– Nie wiem. – Spuściła głowę.

– Pamiętaj, że masz męża. Czas na dzieci.

– Pamiętam – odparła Monika szeptem.

Tego tygodnia nie piły więcej kawy.

Ogród, dom, parapety, praca. Zadowolony Eugeniusz. Nieobecny Robert.

Drugi rok minął jak pierwszy. Monika czytała kilka książek tygodniowo, coraz częściej odpowiadała na pytania wykładowców. W pracy parzyła kawę, układała dokumenty i pilnowała grafiku spotkań. Roberta nie było – od czasu do czasu kochał się z nią, w swoim rozumieniu szaleńczo, po latynosku, z uniesieniem. Sam się unosił i sam opadał na drugi bok, od razu pochrapując z cicha. Często, coraz częściej, Robert, Teresa i Ojciec przez telefon – pytali o brzuch. Był ciągle jędrny i wklęsły. Pięknie leżały na nim nawet stare, niemodne już spódnice i sukienki.

Wolne dni urozmaicała kawa z teściową, nieśpieszne rozmowy, w których Monika uczestniczyła, głównie słuchając.

– Chciałam studiować, a potem uczyć dzieci. – Pewnego dnia Teresa zaczęła zwierzenia bez żadnego wstępu. – Miało to być spokojne, czyli szczęśliwe życie. Nie wszystko się udało. „Moja żona nie będzie pracować” – powiedziała, tak komicznie naśladując głos i gesty Męża, że Monika zachłysnęła się kawą. Teresa westchnęła. – Przestałam rysować z dziećmi zielone drzewa i chodzić na spacerów do parków. Po ślubie mogłam się ładnie ubierać i nie musiałam oddawać pończoch do repasacji, ale tęskniłam do wypijanej w pośpiechu herbaty Yunnan. Śpieszyłam się, żeby zdążyć na przerwę, potem językiem wydłubywałam spomiędzy zębów drobiny fusów. Wypluwałam je na rękę i dzieci śmiały się ze mnie. Potem w eleganckich sukienkach i bucikach na obcasach tęskniłam za tym. – Wzruszyła ramionami i wykrzywiła usta. – Kiedyś przyszłam do szkoły, dzieci jeszcze mnie pamiętały, obsiadły mnie jak muchy, dotykały, głaskały i mówiły: jaka pani śliczna! A koleżanki zazdrościły jawnie, jedna powiedziała: „I jak tam, warto było się sprzedawać?” Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam do niej paczkę pończoch, każdej taką przyniosłam. Nie wzięła.

– Co to jest repasacja? – w przerwie odważyła się zapytać Monika.

– No tak, nie wiesz. – Teresa pokręciła głową. – Naprawianie rajstop. Takie artystyczne cerowanie. Niczego wtedy nie było w sklepach, wszystko się zdobywało spod lady, a rajstopy i pończochy były na

wagę złota. Każde oczko się podciągało, dobra repasaczka tak umiała to zrobić, żeby prawie śladu nie było. Jak mówię, że niczego nie było w sklepach, to traktuj to dosłownie. Ale załatwić można było praktycznie wszystko, Mąż do domu ciągle przynosił piękne i drogie rzeczy. Kryształły kolorowe, figurki fajansowe, mnóstwo dobra.

– Przecież nie lubisz takich bibelotów – weszła jej w słowo Monika.

– Nieważne. Ważne było, że wszyscy ich nam zazdrościli. Stoją jeszcze w pudłach w piwnicy, może kiedyś oddam je do muzeum.

– Czyli co, dobrze ci się chyba żyło?

– Dobrze, nie dobrze. Wszyscy nam zazdrościli, ale ja nie za bardzo lubiłam przebywać z Mężem. Opowiadał sprośne dowcipy, po tyłku mnie klepał, szczególnie w towarzystwie, no i często wódką cuchnął. Tyle dobrego, że jak się napił, to amatorów chciał, ale... nie mógł. Cała przykrość kończyła się na śmierzącym oddechu.

Monika słuchała średnio zainteresowana, dokładnie tak wyobrażała sobie życie teściowej.

– Ja jednak chciałam mieć dzieci, a z Mężem nie bardzo dawało się porozmawiać. Zajęty był kolegami, interesami, które robił, chociaż nie było wolno.

– Nie wolno było? – Dziewczyna nie kryła niedowierzania.

– A co ty tam wiesz. – Teresa machnęła ręką. – Wtedy nic nie wolno było. A on należał do partii, dzięki temu wszystko mógł, więc nie mógł nie należeć. Rozumiesz?

– Nie wszystko, interesów nie mógł robić.

– Ależ ty dziecko jesteś. – Kobieta spojrzała na nią z politowaniem. – Zabrałam Męża do Sopotu, dał się przekonać, że jest strasznie zmęczony. Dokładnie wyliczyłam co trzeba i tam poczęliśmy Roberta. No i wtedy to dopiero Mąż zwariował. Już po tyłku mnie nie klepał, za to jeszcze więcej kryształów do domu przynosił. I zawsze była szynka, nawet pomarańcze czasami. Ty to nic nie wiesz o życiu, dziecko. Pomarańcze to był rarytas. Na Boże Narodzenie niektórzy je miewali, kubańskie, takie blade i kwaśne. A u nas w domu były i pomarańcze, i banany, i czekolada. Mąż mi powiedział, że nie wierzył w możliwość posiadania potomstwa. Twierdził, że już za stary jest, ale co on tam wiedział. Jak kobieta chce, to żaden nie jest za stary.

Monika pokiwała głową. – *Pewnie tak* – myślała. – *Czego ja w takim razie chcę?* Głośno natomiast powiedziała: – Byłaś szczęśliwa, prawda?

– Wszystko dla Robusia odłożyłam. Niczego mu nie odmawiałam, o wszystko zadbałam.

– Masz powody do dumy.

– Tak... – Teresa zagryzła wargi. – Tak, mam. Tylko czasami czegoś mi brakowało. Tęskniłam do czegoś, tylko nie umiałam tego nazwać, nawet nie śmiałam nazywać. Robert był najważniejszy. Dlatego ty studia skończ, ale pomyśl o tym, żeby na absolutorium pierwszy poród mieć już za sobą.

– Pierwszy? Zaplanowałaś nam dużą rodzinę, prawda? – Sarkazm synowej nie był zamierzony.

– Chciałabym mieć dużo wnuków. To coś złego? Wszystko im zapewnimy, ty tylko masz urodzić.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała Monika już do pleców Teresy.

Trzeci rok miał się niczym nie różnić od poprzednich. W grudniu, dwa tygodnie przed świętami, Monika nagle uświadomiła sobie, że spóźnia się jej miesięczka. Test pokazał dwie grube, niebieskie kreski. Zwlekała z przekazaniem nowin aż do rodzinnej uroczystości.

Przyjechali rodzice, gosposia pięć dni szykowała wigilijną kolację.

Ojciec miał na sobie ten sam garnitur, w którym odprowadzał Monikę do ołtarza. Matka założyła bordową bluzkę z wielką falbaną, w której wyglądała jak zakrwawiona beza. Nogi wcisnęła w błyszczące legginsy.

– To teraz szczyt mody – wyszeptwała do córki, gdy przeglądała się w lustrze.

Monika niewiele mówiła, jak zawsze. Grzeczenie podawała półmiski, odpowiadała układowo i skromnie, jak należy córce i synowej przy okazji świąt, w obecności starszych. Ukradkiem włożyła pod choinkę pakunek z kokardą większą od prezentu. Na błękitnym papierze w bałwanki napisała czarnym mazakiem: ROBERT.

– A cóż to może być?! – zaświergotała Matka, która odgrywała rolę Mikołaja. Bolał ją kręgosłup i pojękiwała, wyciągając prezenty spod choinki, ale nie dała sobie odebrać zabawy. Taką liczbę prezentów w jednym miejscu widziała wyłącznie w amerykańskich filmach o bogaczach. Chciała ich podotykać, zasmakować w tak niebywałej obfitości.

Robert od niechcenia wziął drobną paczkę, rozerwał papier. W milczeniu wpatrywał się w zawartość pudełka. Potem podał je matce i spojrzął na żonę.

– Nareszcie! – wykrzyknęła Teresa. – Nareszcie!

Zaczął się taniec uścisków, gratulacji, radości skrępowanej zasadami. Matka miała łzy w oczach, Ojciec od razu zaproponował uczcić zdrowie wnuka, teść skwapliwie wyciągnął kieliszki. Gospościa chwyciła rękę Moniki ciepłym uściskiem spracowanej dłoni, który zapamiętała bardziej niż misie Teresy i Rodziców. Robert poklepał ją po plecach i nastawił się na przyjmowanie gratulacji. Będzie ojcem, to zobowiązuje.

Monice nie pozwolono nic robić. – Musisz teraz odetchnąć, dużo odpoczywać – słyszała wokół. – Musisz o siebie dbać. Musisz... – Ale ona nie chciała musieć. Chciała się po prostu zwyczajnie cieszyć.

– Może zrezygnujesz z tych studiów? – zapytała Teresa zaraz po Nowym Roku. – To duży wysiłek, ślisko na ulicach, musisz teraz uważać.

– Sama nie wierzysz w to, co mówisz. Została mi przedostatnia sesja i ostatni semestr do licencjatu. Nawet pracę mam już w większości napisaną. Teraz rezygnować?

– Może masz rację. To chociaż niech ojciec cię wozi.

Teść, nieoczekiwanie wywołany, podniósł głowę znad gazety.

– Tak, tak, oczywiście, będę woził – zabrał głos nie do końca pewny, co powinien powiedzieć.

– Dziękuję, chętnie skorzystam, jeśli jest taka możliwość, ale studiów teraz nie zostawię.

Teść wywiązywał się ze swego nowego obowiązku nienagannie, ale czasami nie osobiście. Bywało, że wołał dać Monice pieniądze na taksówkę; wtedy ona jechała autobusem, a potem kupowała nową książkę.

W pracy przyznała się do ciąży w połowie lutego.

– Ciąży? To będziesz na zwolnieniu? – Eugeniusz był zaniepokojony.

– Nie, skądże, czuję się dobrze, nawet doskonale, nie zamierzam...

– Tak, tak. – Eugeniusz już jej nie słuchał – tak...

Monika nie rozumiała. Przychodziła do pracy jak zawsze, nic nie było po niej widać, robiła to, co zwykle. A jednak coś się zmieniło.

– Monika, gorzka ta kawa – wołał Eugeniusz do zdziwionej sekretarki, która od dwóch lat parzyła mu taką samą. Zawsze mu smakowała.

– Gdzie te papiery? – denerwował się szef. Leżały na jego biurku, po prawej stronie, tam, gdzie zawsze układała jego korespondencję.

– Ależ tu brudno! – mówił Eugeniusz przeciągając palcem po skraju szafki z segregatorami. Monika odkurzała tam co dwa tygodnie, chociaż powinna to robić sprzątaczką, a on nigdy wcześniej się tym nie interesował.

Boi się, że odejdę – myślała. Starła się więc robić jeszcze więcej, jeszcze lepiej i nie okazywać niezadowolenia. Przychodziła do pracy przed wszystkimi, zostawała czasami po godzinach. Bywało, że otwierała biuro, a wieczorem zamykała je, wychodząc ostatnia. Dobra Monika.

6

– Praca? Jaka praca? Co ona z tej pracy przynosi? W domu tylko ciągle jej nie ma. Latawica! Albo w pracy, albo na tych studiach! Na co jej te studia? Źle jej tu? Wszystko ma, czego jej jeszcze brakuje?! – Robert wściekał się, bo nie mógł znaleźć białej koszuli. Jednej, konkretnej, którą zaplanował sobie założyć dzisiaj. W szafie wisiało czternaście innych. – Niczego nie potrafi dopilnować!

Słuchała tego Teresa, Monika była w pracy. Robert wpadł na chwilę, żeby się przebrać przed ważnym spotkaniem. Miał ich bez liku, do domu wracał bardzo późno. W weekendy wyjeżdżał, twierdził, że służbowo. Żona w ciąży, trzeba ją oszczędzać – rechotał przy wódce, ściskając jakąś panienkę. Czasem w pasie, czasem za już obnażone cycki. Monika wszystkiego się domyślała. Prała przybrudzone szminką kołnierzyki, wietrzyła zapach słodkich perfum, ale nic nie mówiła. Nie musiała znosić małżeńskich uścisków, które sprawiały jej szybki ból. Była w ciąży, była nietykalna, szczęśliwa.

Robert wracał z takich wyjazdów spokojniejszy. Nie chodziło tylko o seks – czasem szybki, czasem wyuzdany. Fizyczna odległość od domu dawała mu mentalny dystans, czas spędzony na lenistwie sprzyjał myśleniu. Przypominał sobie wtedy szczenięce lata, wolność, którą czuł w potarganych włosach i zapachu zwożonego siana. Pamiętał nieśmiałość i szybko bijące serce, gdy ukradkiem ścisnął dłoń Moniki. Czasami na jego kolanach siedziała koleżanka z zadartą spódnicą, pijana jak wszyscy wokół, a on widział letnie piegi na nosie Moniki. Wtedy wypijał duszkiem dwa kieliszki, to trochę pomagało. Towarzystwo bawiło się łapczywie, odreagowując korporacyjny wyścig, psychopatycznych szefów i własne zagubienie. We wspólnej zabawie łatwiej było zapomnieć, że histeryczne łapanie oddechu nie przywróci spokoju. Że drogie buty i szybki samochód to tarcze, a garnitur szyty na miarę to tylko zbroja, które nie zmieniają tchórzliwego serca.

Robert po takich wyjazdach wracał spokojniejszy. Czasami nawet rozmawiał z Moniką. Było im wtedy lepiej, prawie dobrze. Zdarzyło się, że razem usiedli przed telewizorem, oglądając komedię. Obejmował żonę i przez chwilę stanowili rodzinę.

– Czas zrobić zakupy dla dzidziusia – powiedziała późną wiosną Teresa, kiedy wraz z synową usiadła jak zwykle na tarasie. Monika nosiła przed sobą nieduży, chociaż wyraźnie już zarysowany brzuch. Nosiła też w oczach światło, właściwe wyłącznie matkom, które kochają swoje jeszcze nienarodzone dzieci. – Masz w przyszły weekend zajęcia? – Teresa od razu przechodziła do konkretów.

– Dobry pomysł – uznała Monika. – Zajęć nie mam, a kilka rzeczy można już kupić.

Wróciły z wózkiem, laktatorem i czterema parami śpioszków.

– Teresa, nie przesadzajmy, jeszcze cztery miesiące! Zdążymy wszystko kupić! – powstrzymywała świekrę.

– Zdążymy, nie zdążymy. Zobacz, jakie to ładne! – Teresa zwykła ulegać swoim zachciankom. W końcu to pierwszy wnuk, od jedyne go syna, musi mieć wszystko!

Wózek był piękny. Granatowy, w niebieskie kropczki, miał głęboki kosz na spodzie, w komplecie

spacerówkę i fotelik samochodowy. Nowoczesność na czterech dziecięcych kółkach.

– Monika, w końcu mi nie powiedziałaś – synek czy córka?

– A musisz to wiedzieć? – przekomarzała się dziewczyna wśród wieszaków z dziecięcymi body.

– To przecież zasadnicza sprawa – zżymała się Teresa. – Ubranka niebieskie lub pastelowe!

– Wybieraj raczej granatowe.

– Wnuk! Syn! – Teresa zatańczyła i znikła. Pojawiła się po kwadransie z naręczem ubranek.

– O nie, nie, nie – zaprotestowała czynnie i słownie Monika. – Możemy trochę kupić, ale nie aż tyle!

W końcu wybrały atramentowe body z pluszowym misiem wyszytym na brzuszku, dżinsowe spodniki, białą koszulkę w niebieskie, duże kropki i granatową czapkę z czerwoną lamówką.

– Współczesny przemysł tekstylny – cmoknęła Monika przy kasie. Teresa płaciła, i powtarzała, że chętnie wyłożyłaby więcej pieniędzy, gdyby tylko jej pozwolono. Udane zakupy uczciły kawą dla teściowej i sokiem marchwiowym dla synowej.

– Musisz się teraz zdrowo odżywiać – powtarzała Teresa przy każdej okazji.

Wszystko teraz muszę – pomyślała Monika. Nie odważyła się tego powiedzieć.

Była ciepła wiosna. Dziewczyny zakładały krótkie spódnice i kuse bluzki, Monika osłaniała ciało, wstydząc się krągłości. Nosila światło, ale zakrywała je zazdrośnie, w obawie, by nikt go nie zabrał. Jak pierścionka z czerwonym oczkiem, który w dzieciństwie koleżanki ściągnęły jej z palca. Ojciec kupił go na odpuszcie aż w Lęborku, takich nie było w ich wsi. Koleżanki podeптаły go, aż oczko wypadło z blaszki, potem odeszły. Monika przykucnęła wtedy nad zdeptanym kwiatem pierścionka, zabrała go do domu. Po tylu latach czuła jeszcze chropowatość czerwonego oczka z plastiku i lekką wypukłość we wnętrzu dłoni. Ojciec kupił za duży pierścionek – żeby nie spadał, zgmiotła go lekko. Nie chciała zapomnieć tego dotyku, jego wyjątkowości, jedyności. Nigdy nie nosiła biżuterii, wyjątkiem była obrączka, chociaż i ta uwierała w palec, jak zgnieciony pierścionek z czerwonym oczkiem.

– Zobacz, jakie piękne kolczyki – powiedziała Teresa. – Może coś wybierzesz?

– Dziurki mi zarosły. – Monika bez przekonania dotknęła płatków uszu.

Kobieta popatrzyła na nią z niedowierzaniem. – Zawsze można przekłuć jeszcze raz. Albo wiesz co – aż klasnęła w dłonie – kupimy ci pierścionek! Tak, to jest świetny pomysł! – Nie oglądając się na nic, ruszyła do sklepu jubilerskiego.

– Nie chcę pierścionka – powiedziała zdyszana Monika, gdy dogoniła teściową.

– Bzdura, nie mów tak. Może teraz puchną ci palce i dlatego nie masz ochoty nic nosić, ale przyjdzie czas, że ten pierścionek będzie ci się wyłącznie dobrze kojarzył. Może ten? – Skinęła na sprzedawczynię. Po chwili miały przed sobą szufladę z aksamitnym wnętrzem, na którym pojawiały się kolejne złote kółka. – Chciałabym, żeby to było efektowne. – Teresa mówiła do siebie. Monika od dłuższej chwili siedziała już na krześle, rezygnując z prób sprzeciwu.

Tego się nie da zrobić. Ta kobieta jest jak taran – pomyślała dziewczyna i zakiełkowała w niej zazdrość. – *Też bym chciała tak walczyć o swoje zdanie.*

– Monika, musisz przymierzyć. Ten proponuję. – Teresa podała synowej pierścionek z dużym rubinem, otoczony wianuszkami cyrkonii. Gruba żółta obrączka nie pozostawiała wątpliwości, że było to drogie cacko.

– A czy... wolałabym ten, czy jest dużo droższy? – zapytała Monika sprzedawczynię, wskazując niewielki brylant oprawiony w białe złoto.

– Skromny trochę – cmoknęła teściowa.

– Kosztuje 30 procent mniej – odrzekła sprzedawczyni.

– I taki byś chciała? – upewniała się Teresa. – Skoro tak, zakładaj. To prezent dla przyszłej mamy. Proszę przygotować rachunek.

Monika znów usiadła. Błysk w pierścionku fascynował ją, odbijał, zwielokrotniał światło padające z witryny. Na szczupłym palcu kamień wyglądał wytwornie. Spojrzała na płaczącą świekę.

I wywalczyła swoje – pomyślała.

Teresa nie była zadowolona. Kupiła wprawdzie synowej pierścionek, ale nieodpowiedni. Rubin był dostojniejszy i wyglądał okazalej. Monika nie zdawała sobie sprawy, ile razy Teresa musiała z czegoś zrezygnować, żeby od czasu do czasu pokazać, że walczy. Teraz walczyła, ale nie wygrała tego, co sobie upatrzyła.

Monika czuła się znakomicie. Brzuch rósł, w cieplejsze dni trochę puchły nogi, ale miała mnóstwo energii i pomysłów. Przenoszenie gór to byłby drobiazg, gdyby były jakieś w okolicy. Miała wielką chęć pracować w ogrodzie – Teresa jej oczywiście nie pozwalała, nawet teść raczył się odezwać w tej sprawie.

– Głupia wiocha będzie życie mojego pierworodnego wnuka narażać.

Ściana prysznicowego deszczu oszczędziła Monice usłyszenia tego.

Chęci wielkie, góry zbyt wysokie. Więcej niż dwóch segregatorów naraz nie mogła przenieść, a Eugeniusz denerwował się, gdy chodziła po jego gabinecie kilka razy. Zrobiła się odrobinę niezgrabna, raz rozlała trochę kawy na spodek, nie zauważyła, i tak podała gościowi szefa, a raz przewróciła się na schodach, wdzięcznie lądując na prawym półdupku, który długo jeszcze piekł ją wstydem, bo przy upadku spódnica podwinęła jej się aż do różowych majtek.

Eugeniusz nie krył niezadowolenia. – Ledwo to przyszło, nauczyło się czegoś, ciąża od razu. Współczesna młodzież! Tylko bzdury w głowie zamiast poważnej pracy. I niby polecona przez znajomych, do kitu z tym. Przysyłają takie nieopierzone, byle co zupełnie, niczego nie umie, nawet wysłować się porządnie nie potrafi. Po dwóch latach wielka pani. Rodzić będzie, pod ochroną jest! Moja babka w polu ojca urodziła, dzieciaka w spódnice zawinęła i poszła staremu obiad robić! Nie co to... takie... byle jakie. – Eugeniusz nie oszczędzał sekretarki ani w towarzystwie, ani w samotności. Jak tylko sobie o niej przypomniał, a pamiętał niemal cały czas, od razu zaczynał mamrotać. Monika słyszała przez otwarte drzwi gabinetu, jak szef na nią wyrzeka. Było jej przykro. Spuszczała głowę na piersi, które piekły i ciągnęły, patrzyła na brzuch, który przestawał się mieścić między krzesłem a biurkiem. Pracowała cicho, w skupieniu, starała się nie popełniać błędów i spełniać oczekiwania Eugeniusza, zanim zdołał je wypowiedzieć.

Eugeniusz lubił popatrzeć sobie na dziewczynę, pomarzyć o świństwach, poobrać ją w myślach, ale tylko dopóki była drobnej postury. Teraz była nie tylko większa, ale i skażona. Radioaktywna, zainfekowana przez innego samca. Piętno na męskości. Piękna kobieta w pobliżu Eugeniusza powinna być jego kobietą. Obcy potomek oznaczał rywala, który wdarł się na jego terytorium i zrabował tę własność.

Monika nie rozumiała Eugeniusza. Zależało jej na pracy, starała się. Doszła jednak do wniosku, że studia musi przerwać zaraz po licencjacie. *Magisterka poczeka* – przekonywała siebie.

Licencjat zrobiła w strasznym upale. Na korytarzu wśród bladych studentów panował zaduch. Zlitował się chudy chłopak i powiedział – przepuśćmy ją, w ciąży dziewczyna się męczy, niech ma to już za sobą. Studenci apatycznie wpatrzeni w wytarte linoleum skinęli głowami. Nie spieszyło im się do pokoju zwierzeń, w którym dwóch profesorów kpiło z onieśmielonych żaków. Młodych ludzi uważali, bez wyjątku, za imbecyli i wcale się z tym nie kryli. Monika weszła pierwsza. Profesorom pociły się wyłysiałe głowy, a ona czuła wilgoć na ramionach i strużkę potu płynącą po napuchniętym prawym udzie.

Młodszy z wykładowców ją pamiętał. To na jego zajęciach odpowiadała jako jedyna na trudne pytania. Popatrzył na jej brzuch i wzruszył ramionami: – A co tam będziemy panią męczyć. Tadek, masz pytania?

Tadeusz zamyślił się.

– Jedno mam. Jak pani sądzi – popatrzył na nią znad okularów – czy teorie zarządzania mają prawo sprawdzić się w praktyce? – mówił, przeciągając lekko samogłoski. Cuchnęło od niego rzadko pranym ubraniem i dymem papierosowym.

– Panie profesorze, one wywodzą się z praktyki! – wykrzyknęła. Wzięła oddech, odwracając lekko twarz od papierosowego profesora. Jej odpowiedź powinna być zawila i najeżona trudnymi słowami, jak skraj lasu śmieciami.

– Dziękujemy pani. To co, czwórkę proponuję.

Drugi skinął głową, pochylił rękę z długopisem, potem podsunął indeks Tadekowi. Było po wszystkim.

Monika zeszła po kamiennych schodach, usiadła na twardej ławce. Chłód ściany wnikał w kości, pot obsychał. Chciało jej się pić, ale nie miała siły podejść do baru w drugim korytarzu. Straciła poczucie czasu. Grupa uradowanych studentów schodziła po schodach, wibrowało powietrze i kamienna posadzka. Umawiali się na wieczorne picie. Chłopak, który ją wcześniej przepuścił, podszedł i zapytał: – Nic ci nie jest? Potrzebujesz czegoś?

– Pić. – Chciała powiedzieć, ale nie zdołała. – Pić – postarała się mocniej i wyszedł szept jak tchnienie, ledwo, trochę tylko słyszalny. Chłopak przyniósł jej butelkę wody i posiedział chwilę obok. Potem odprowadził na przystanek.

– Na pewno dojedziesz?

– Tak, dziękuję, już mi lepiej. To przez ten upał.

– Moja siostra była w ciąży. Przewróciła się kiedyś na ulicy i nikt jej nie pomógł. Dziecko urodziło się wcześniej, niewidome... Tobie to już niedużo zostało, co?

– Jeszcze ponad trzy miesiące. – Wiatr przyjemnie chłodził i Monika zebrała siły na uśmiech.

– To duży będzie facet – powiedział chłopak, patrząc na jej brzuch. Skąd wiedział, że to syn? – Jestem Damian.

– Monika. Jedzie mój autobus, jeszcze raz dziękuję.

– Nie ma sprawy. Zaprosiłbym na oblewanie dyplomu, ale chyba nie jesteś w formie... – puścił do niej oko. – Zadzwoń, jeśli będę mógł w czymś pomóc.

Monika już wchodziła do autobusu, gdy wetknął jej w rękę świstek z nagryzmołonym ciągiem cyfr. Nie zdążyła podziękować, odjechała.

– Gdzieś ty była? Co tak długo?! Denerwowałam się. – Teresa wyrzucała nerwowy potok słów jak czajnik parę.

– Trochę słabo się poczułam, musiałam odpocząć...

– Słabo? Jak to słabo? Co ci jest?

– Nic mi nie jest. – Monika uspokajała teściową, która oddychała szybko jak po biegu. – Już wszystko dobrze. Nie zapytasz nawet, jak mi poszło?

– Co? Jak ci poszło? – odruchowo zapytała Teresa, zanim przyłożyła dłoń do ust teatralnym gestem. – I tak wiem, że dobrze – wzruszyła ramionami i odeszła.

Dziewczynie zrobiło się tak przykro, że od razu chciała iść do łóżka.

– Monika! – krzyknęła z kuchni Teresa. – Chodź tu!

Idę, idę – odpowiedziała w myślach. Po drodze musiała przejść przez pokój stołowy. Stała w przejściu, oślepiona jedyną świecą.

– Jakaś okazja? – zapytała, odwracając się do świekry.

– Oczywiście, że okazja. Obroniłaś licencjat. Nie sadzę, żeby któryś z naszych mężczyzn potrafił to

docenić – skrzywiła się. – Świeczkę trzeba będzie wyjąć, a tort jakoś wytłumaczymy. Ciężowa zachcianka. Tymczasem siadaj i zajadaj. A może masz ochotę na coś innego? – Zatroaskała się, wnosząc mrożoną herbatę.

– Nie, nie jestem głodna... ale tortu chętnie spróbuję. Pamiętałaś...

– Oj, dziecko, nie wierzysz ty w ludzi.

– Nie miałam kiedy uwierzyć.

Milczały nad tortem trochę smętnie, trochę świątecznie, i właściwie to było im z tą ciszą dobrze. W końcu Monika odezwała się:

– Myślę, że nie mogę teraz kontynuować studiów. Przerwę chyba na rok, bo z małym dzieckiem nie dam rady. I wykłady, i trzeba jednak się uczyć... będę zmęczona.

– Nie wygłupiaj się. – Teresa spowaźniała. – Jeśli to zrobisz, będzie ci trudno wrócić, a ja ci przy dziecku przecież pomogę.

Dziewczyna zadumała się. *Teresa mi pomoże? Serce u niej jest na miejscu, ale do roboty ma ludzi. Gosposię, sprzątaczkę i ogrodnika. A przy dziecku roboty huk. Nie chcę niańki – myślała Monika – a przy Teresie może być niezbędna.*

– Wiesz, chyba jednak nie...

Tydzień później Monika znalazła na swojej torebce kopertę, a w środku potwierdzenie zapłaty za kolejny semestr i kartkę skreśloną ręką teściowej: „Ja zmarnowałam swoje marzenia; nie oddawaj życia walkowerem”.

Nie mogły o tym porozmawiać, bo Teresy nie było w domu, a Monika właśnie wychodziła do pracy. Odłożyła rozmowę na później, które miało nigdy nie nastąpić.

8

Eugeniusz cały czas mówił do siebie, narzekając na sekretarkę.

– Po co ją zatrudniłem? Przybędą jedna. Teraz zaczną się zwolnienia, potem macierzyński. – Wyjął z kieszeni chusteczkę i smarknął donośnie. Katar dokuczał mu od dwóch dni. – I co z taką zrobić, zwolnić nie mogę. Po co mi to było?

– Monika! – krzyknął po południu wzburzony. – Co ty sobie myślisz, sikso jedna! To badziewie jakieś! Ty po polsku pisać nie umiesz! Idź do domu! Do domu! Już cię tu nie chcę.

Dziewczyna przyglądała się listowi do klienta – przygotowała go rano, zwyczajny list, jakich pisała wiele.

– Marginesy za małe, akapitów nie ma, podpis nie z tej strony! Wynocha! – darł się Eugeniusz. Za plecami Moniki gromadzili się współpracownicy. Wystarczyło jej siły na uniesienie głowy; zabrakło odwagi na protest. Wyszła, zabierając torebkę i kwiatka w doniczce. Dostała go od kolegów, na żółtej doniczce przyklejona była kartka: „Prosimy o więcej, z okazji i bez”. Znalazła go po tym, jak przyniosła do pracy własnoręcznie upieczone ciasto – w domu nie miał kto go zjeść. Od tego czasu Monika często piekła i przynosiła ciasta. Z kwiatkiem codziennie rozmawiała, raz w tygodniu go nawoziła.

Z nikim się nie pożegnała.

Tego dnia i tak zamierzała wyjść wcześniej, miała umówioną wizytę u lekarza. – Śpieszę się – wyjaśniła, przepychając się przez milczącą grupę kolegów. – Przepraszam.

Tak jakbym to ja powinna przeproszać – pomyślała.

Do gabinetu miała niedaleko, poszła piechotą. Sierpniowy dzień był piękny, ciepły, ale już nie upalny. Powietrze pachniało spalinami, ale Monika wyobraziła sobie babie lato i nawet poczuła na policzku muśnięcie pajęczyny. Uśmiechnęła się.

Trudno, posiedzę w domu. Wezmę zwolnienie i posiedzę w domu. Dziecku dobrze to robi – rozmyślała po drodze.

Lekarz przywitał ją uśmiechem, jak zawsze. Krótki wywiad, nic szczególnego, bo też co mogłoby się wydarzyć? Cięża zdrowa, matka zdrowa, młoda, wszystko w porządku. Podczas przeprowadzania USG lekarz powtórzył pytania.

– Nie, nic się nie wydarzyło. Cały czas tak samo. Tak, bez zmian. Dobrze się czuję – odpowiadała Monika.

– Eeee... Musimy zrobić dodatkowe badania – zająknął się lekarz.

– Jakie badania? Wszystkie zrobiłam, jak pan doktor zalecał.

– Musimy zrobić dodatkowe. Dzisiaj.

– Dzisiaj? – powtórzyła bezwiednie. – Dlaczego dzisiaj?

– Bo każdy dzień się liczy. Proszę poczekać.

Lekarz zostawił ją z odkrytym brzuchem, wilgotna od żelu skóra marzła. Dziewczyna leżała, mrugając

oczami, lekarz stał przy biurku i rozmawiał przez telefon jak o nieobecnej. Czuła się jak rzecz, jak mebel na wystawie; a doktor dzwonił, rozmawiał: przypadek, dzisiaj, pilnie. Edwards, może... tak... dobrze, przyjedzie... dziękuję, tak.

– Pani Helena zamówi taksówkę – zwrócił się do Moniki, odkładając słuchawkę. – Zawiezie panią pod ten adres. Obowiązkowo dzisiaj i proszę nie zadawać pytań.

W taksówce szarpał ją niepokój. Głowa nie nadążała za myślami.

Jak ten lekarz, Edward? Dlaczego podał mi imię lekarza? I dlaczego koniecznie dzisiaj? – Pytania grały w berka, odpowiedzi nie było żadnych.

W niewielkiej przychodni już na nią czekano, recepcjonistka od razu odprowadziła pacjentkę do gabinetu. Był pomalowany na zimny, jasnofioletowy kolor. Lekarz wstał na jej widok.

– Przeprowadzimy badanie amniopunkcji. W pani wieku to rzadkie, ale lekarz prowadzący podejrzewa zespół Edwardsa, musimy to sprawdzić. To badanie jest obarczone pewnym ryzykiem, proszę tutaj podpisać. Czy pani mnie słyszy? Proszę tu podpisać. Tak, tu. Dziękuję.

– Edward? Jaki Edward? Nożycoręki? – Monika roześmiała się głośno.

– Proszę się nie denerwować, wszystko będzie dobrze. Który to miesiąc?

– Ósmy – odparła Monika radośnie. – Już ósmy. Jeszcze miesiąc i będę miała synka przy piersi.

Żaden Eugeniusz nie będzie krzyczał, a doktor Edward straszył. I będzie przy niej Robert, Teresa i teść, i nawet przyjedzie Matka z Ojcem i wszyscy będą się cieszyć – myślała, kładąc się na fotel.

– Teraz spokojnie, bardzo spokojnie – usłyszała głos i zasyczała przy ukłuciu. Poczuła gęsią skórę na całym ciele.

– Proszę się ubrać, wyniki będą za trzy dni. Zadzwoimy do pani.

Monika cały czas się uśmiechała. Recepcjonistka odprowadziła ją pod same drzwi, taksówka już czekała. Chwilę potem zadzwoniła pani Helena od jej lekarza prowadzącego.

– Tak, skąd pani wiedziała, Pani Heleno? Potrzebuję zwolnienia z pracy. Tak, proszę wysłać bezpośrednio do pracodawcy.

Jaka ta pani Helena mądra.

W domu Monika poszła prosto do łóżka. W nocy obudził ją silny ból brzucha. Pogłaskała Roberta po policzku. Chrapnął. Odsunęła dłoń, ułożyła się na wznak, brzuch ciągnął mocno.

– Kochanie, przepraszam – szepnęła, Robert tylko stęknął. – Kochanie. – Potrząsnęła nim. – Rooobeeert! – wrzasnęła, zaraz na powrót zaciskając szczęki z bólu.

– Co, co? Czemu mnie budzisz? Mam jutro ciężki...

– Wież mnie do szpitala! – zawyła.

Wrzucił na siebie przeпоcony dres, zniósł na rękach tak jak wnosił cztery lata temu, w białej sukni z koralikami. – *Ciekawe, czy Matce udało się ją sprzedać* – przemknęło Monice przez myśl.

Izba przyjęć, KTG, skurcze. Za wcześnie, kroplówka, szepty pielęgniarek. Niespokojny sen nad ranem. Robert nieogolony przy niej, trzymający za rękę.

– Moja ty, moja, zapomniałem o tobie, moja ty... – Monika zamglona, w środku ma mgłę i tylko mgłę widzi wokół siebie. – Pamiętam każde lato i żniwa, i zsiadłe mleko. A listy, czy ty pamiętasz nasze listy, Monika? Pamiętasz, prawda?

– Listy? Leżą w mojej szufladzie, w sypialni. Te w niebieskich kopertach. – Miała spieczone usta. – Chce mi się pić.

– Tak, tak, te w niebieskich kopertach. – Robert całował dłonie żony. Pojawiła się czyjaś ręka i podała mu szklanę wody, którą przekazał Monice.

Dziewczyna cały czas widziała wokół siebie mgłę, w gęstym dymie poruszały się jakieś postaci, Teresa i Robert, i... Matka?

Skąd Matka tutaj? Przecież nie umieram, najpierw muszę urodzić synka, skąd tu Matka?

Zasypiała, budziła się; ktoś coś mówił, ktoś milczał.

– Wszystko dobrze, to tylko parę skurczów – mówiła Teresa.

– Tak, to tylko ciężki dzień – wyszeptała Monika. – Zdenerwowałam się trochę.

– Czym się zdenerwowałaś?

– To nic. To nic. – Monika się uśmiechała. Oczy w jej bladej twarzy wyglądały na ogromne. – Tylko

Eugeniusz... nie mogę pracować.

– Eugeniusz? Eugeniusz?! Co za cham! Nic się nie przejmuj, z nim sobie poradzimy, wódkę mu dwa razy postawimy, może trzy, i wszystko będzie dobrze. Coś ty taka wrażliwa, szkoda nerwów, dziecko kochane. – Teresa uniosła się i szybko uspokoiła.

– I te badania. Właśnie... – Monika chciała poprawić sobie włosy, ale uniosła dłoń za ledwie na kilka centymetrów – nie zapomnijcie odebrać badań, one były jakieś ważne, doktor mówił. Że ważne.

– Jakie badania, Monika, jakie badania? – odezwał się Robert.

– Od doktora, nie wiem. No badania, po prostu.

Spała cały dzień, kroplówka niemo spływała, sącząc życie dla jej dziecka, a w nią spokój.

Cisza, spać, spać. Cisza.

9

– Podobno dziecko ma większą główkę, niż powinno. Dlatego te badania. Ale doktor uspokajał. Osiem miesięcy było dobrze, to i teraz będzie. – Teresa zdawała relację Mężowi i Robertowi. – Teraz potrzebny jest Monice absolutny spokój, a z Eugeniuszem to już ja sobie pogadam, zbój jeden. Rozmawiałam już z jego żoną przez telefon – zaśmiała się piskliwie, złośliwie. – Będzie się miał z pyszna. Kobieta najlepiej zrozumie problemy z ciążą. Już ona mu wybije grymasy z głowy. I nie my jemu wódkę będziemy stawiać, tylko on Monice premię wypłaci. – Teresa uderzyła pięścią w stół. – Już ja o to zadbam. Nie popuszczę gnojowi jednemu. Chamowi niemytemu.

Przy kuchennym stole siedzieli wszyscy, miejsce Moniki zajęła jej Matka. Przyjechała bez bagażu. Gdy odebrała telefon, wytarła ręce o fartuch, potem zarzuciła na siebie płaszcz i tak wyszła z domu. Fartuch zdjęła w pociągowej toalecie, na kurtkę było zbyt ciepło, ale dawała poczucie bezpieczeństwa, otulenia; jechała osiem godzin, z myślą niepewną, ale twardą nadzieją, wiarą w Boga i w „będzie dobrze”.

– Zjem i pojedę do szpitala. – Robert nigdy nie czuł się tak bardzo mężem, prawie ojcem. To było niezwykle uczucie i chciał mieć czas na jego zrozumienie.

Zadbali o pojedynczą, luksusową salkę dla Moniki. Robert mógł leżeć wygodnie wyciągnięty na kanapie obok żony, musiał tylko zabrać własną pościel.

– Robuś, no jak to, niewyspany będziesz. – Teresa przechyliła głowę. – Zostań, synku, w domu, Monika ma opiekę, rano wszyscy pojedziemy.

Syn nie usłuchał. W wielki wór zapakował kołdrę i poduszkę, zapomniał tylko o prześcieradle, potem w nocy gryzło go obicie szpitalnej kanapy. Popijał herbatę z termosu, zdrową, owocową, przygotowaną przez gospozię na prośbę zmartwionej Teresy i poił Monikę wodą. Miała spierzchnięte wargi i rzucała się we śnie. Nad ranem przysnęła spokojniej, a Robert przegryzł domową kanapkę i też zasnął.

Matka Moniki chciała iść na mszę o ósmej.

– Pójdiesz ze mną? – zapytała cicho Teresę. – Nie znam drogi, tu tyle ulic, trochę się boję.

– Oczywiście – odrzekła Teresa, jakby to było oczywiste, chociaż ledwo pamiętała drogę do kościoła.

– Kiedy ostatni raz byłam na mszy? – zadała sobie wieczorem pytanie. Pamięć podsunęła jej wspomnienie śmierdzącego dywanu i tłumy gości. – Na ślubie Roberta. A tutaj? – Zastanawiała się długo. – Nie pamiętam. A może powinnam pamiętać? Albo nawet i chodzić do kościoła? Przydaje się w nieszczęściu.

O kościele się u nich nie rozmawiało, i doń nie chodziło. U Matki i Ojca Moniki też się o tym nie dyskutowało, po prostu regularnie pojawiali się na cotygodniowej sumie. Po co o tym mówić? Robić trza.

Matka Moniki modliła się żarliwie, ale wykonywała ruchy automatycznie. Śpiewała razem z księdzem, jak zawsze. Teresa rozglądała się ciekawie, przypomiwała sobie rytuał, który kiedyś bezrefleksyjnie wypełniała. Teraz szukała jakiegoś źródła uniesienia, ale zajmował ją haft na ornacie księdza

i niewygodna ławka. Próbowwała się modlić, ale umiała jedynie szeptać: oby wszystko było, oby wszystko było dobrze.

Tuż po dziewiątej obie kobiety weszły do szpitalnej sali. Teściowa targała wielką torbę jedzenia, Matka dźwigała wory pod oczami. Monika przyglądała się śpiącemu Robertowi. – *Kiedy był ostatnio ze mną, tak naprawdę ze mną? Kiedy kochaliśmy się ostatni raz? Podczas ślubu? Nigdy?*

– Jak się czujesz? – zapytała Teresa ciepło, równocześnie wlewając w synową dobre myśli i gorący płyn do kubka.

– Już dobrze, przepraszam. – Monika uśmiechnęła się, ignorując fakt, że znowu się za coś obwinia. – Wczoraj spotkało mnie chyba zbyt dużo emocji.

– Z Eugeniuszem sprawa będzie załatwiona – powiedziała Teresa, chociaż dziewczyny to nie interesowało. – Oczywiście do pracy teraz nie wrócisz, ale on swoje zapłaci – westchnęła. – Że też musiałaś sama przez to przechodzić. I w ogóle niepotrzebnie chyba szłaś piechotą.

– Gdzie mój kwiatek? – przypomniała sobie Monika.

– Kwiatek? – Teresa miała nietęgą minę. – Jaki kwiatek? Dobrze się czujesz?

– Dobrze, nawet bardzo dobrze, ale do doktora przyjechałam z kwiatkiem. W żółtej doniczce. Zabrałam go z pracy, to mój ulubiony. Taki nieduży, kwitnie na biało.

– Zapytam, skoro ci zależy. – Teściowa kręciła głową z niedowierzaniem. Jak można pytać o kwiatek na szpitalnym łóżku? – Napij się. Robuś trochę ci w nocy pomógł?

Monika kiwnęła głową, chowając myśli za długim łykiem soku malinowego. Robert po przyjściu do szpitala siedział koło niej pół godziny, potem włączył telewizor. W nocy uciszał ją, gdy jęknęła kilka razy. – Wyrób własny – chwaliła Teresa, chociaż własna była tylko ziemia, na której rosło kilka krzaków i kuchnia, gdzie sok przygotowała gospoia.

Matka milczała, składała tylko ręce i uśmiechała się do córki; szpital onieśmiał ją bielą i komputerami na kółkach, które przystawili do jej dziecka.

– To i dobrze – paplała dalej Teresa – teraz Robuś pojedzie do domu, a my potowarzyszimy Monisi.

Słowo tej kobiety było rozkazem. Syn pojechał wyspać się we własnym łóżku, a Monika ułożyła wygodnie i słuchała jej gdakania. To było miłe, słuchać o głupotach, sąsiadach, filmach, robić razem nic.

– Obchód już był. – Przypomniała sobie Monika.

– I co, i co? – Teresa podskoczyła, Matka podniosła oczy na córkę.

– Wszystko dobrze. Pewnie dzisiaj wyjdę do domu.

– Chwała Bogu.

– Całe szczęście!

Wczesnym popołudniem Teresa zadzwoniła po Męża, aby zabrał rodzinę do domu. Monika czuła się dobrze, zagrożenie minęło, miała tylko dużo odpoczywać.

W domu zaczął się taniec wokół ciężarnej. Gospoia zaglądała do niej co pół godziny, Matka nieustannie przykrywała Monikę kołdrą, którą ta dyskretnie odsuwała. Było jej za gorąco, pocila się.

– Dziecko, przeziębisz się, musisz dbać o siebie – mówiła Matka. Nie umiała inaczej powiedzieć „kocham cię” ani nie potrafiła wyznać, że nie kocha jej Ojca i chciałaby go zostawić, ale się boi. Co ludzie powiedzą? Wezmą na języki. A ona, Matka, nie chce rodzinie robić takiej przykrości. Matka nie może tak po prostu pójść, ułożyć sobie życia od nowa, nie uchodzi. Latawice tak robią, to tak, ale nie ona przecież. Wstyd i jak do kościoła potem pójść? Trzeba by wyprowadzić się gdzieś daleko, ale ona kocha przecież to miejsce i ziemię, i po horyzont przestrzeń niebieską wodą utkaną, morze głębokie, które zawsze jest zimne, nawet latem, a przez skute lodem można zajść kawał w głąb. Latem nie ma czasu na horyzont nad wodą, żniwa są i letnicy przyjeżdżają, i roboty huk; ale zimą spokój, trzaskająca cisza, która duszę zmraża, i niechby zamroziła już, na amen. Myśli wtedy żadne nie będą swędzieć.

Monika nic z tego nie słyszała, chociaż Matka siedziała obok, niema i zarazem krzycząca. Gładziła dłoń córki jak to robiła kiedyś, tak dawno, że Monika nie mogła tego pamiętać.

Gospodyni donosiła herbatę, rosół, kotleciki. Matka podtykała wszystko leżącej, sama tylko piła, nic nie jadła. Nie mówiły, nie umiały rozmawiać, a tyle było do powiedzenia.

Monika czuła się znakomicie. Gdy leżała, dziecko kopało mocno – wołało mamę w ruchu. Pływało wtedy uspokajane chlupotaniem, szmerem rozmów i delikatnym rytmem kroków matki.

Późnym wieczorem Monikę obudziła duszność. Coś ciążyło jej na piersiach, nie mogła oddychać. Robert leżał na skraju łóżka, w żaden sposób nie dotykał żony. Zanim go szarpnęła, zrozumiała, że to jej syn wyciągnął nóżkę, układając się wygodnie i włożył ją prosto w przeponę mamy. Poczwała radość, małe życie już rozpychało się, domagało swego miejsca, a ona zamierzała mu to ułatwić. Niech rośnie. Będzie wielki i piękny, i mądry. Ułożyła się inaczej, zsuwając stopę dziecka z przepony; płuco odzyskało swój rozmiar, serce rozkurczyło, dziecko spało. Monika długo leżała wsłuchując się w ciszę swojego brzucha. Nie mogła zasnąć – przerażenie i duszność, chociaż odeszły, zostawiły wspomnienie wariującego tętna wyprzedzającego czas; tętna, za którym żaden zegar nie był w stanie nadążyć.

Zasnęła nad ranem. Spała krótko, ale nie czuła zmęczenia. Poprzedni dzień spędziła w łóżku, milcząc z Matką, odmawiając gosposi i zapadając w drzemki, więc wystarczyło jej tych kilka godzin snu.

Teresa odwiedzała synową. Nie chciała jednak przeszkadzać Matce i córce.

Chcą pobyc same, dawno się nie widziały, na pewno tyle spraw mają do omówienia – myślała. Uznała, że Monika i jej Matka, jak wszyscy dookoła, poza nią samą, potrafią rozmawiać. Nawet w tym chciała być wyjątkowa, a tymczasem była jak inni – nie umiała się z nikim naprawdę porozumieć.

Rano Robert ucałował żonę, pogłaskał po ręce i pojechał do pracy. – *Cóż może przytrafić się jej w domu, pod tak dobrą opieką?* – myślał. Poprzedniego dnia ustalono w rodzinnej naradzie, bez wiedzy i zgody Moniki, że nie pozwolą jej wychodzić samej z domu aż do rozwiązania. Żadnych spacerów do miasta, autobusów; tylko samochód, jeśli już, i to z dwiema osobami do towarzystwa. Jedna jako kierowca, druga idzie z ciężarną wszędzie tam, gdzie jest to konieczne. Chodzenie ewentualnie wokół domu; tu rosną piękne drzewa, słońce na trawniku ostatnimi promieniami jesieni rozpieszcza ziemię, to jest dobre miejsce dla Moniki. Sama zainteresowana niczego nie słyszała, więc nie mogła protestować.

Gospodyni przyniosła obiad, mięso najdelikatniejsze, cielęce, kotlecik podsmażony na masełku.

– Zjedz dziecko, potrzebujesz teraz – mówiła z troską. – Masz tu deserek i kompocik, co jeszcze byś chciała? – Monika nie mogła patrzeć na jedzenie, była pełna, przepełniona – brzuch wielki, spęczniały miłością do dziecka, które zabrało miejsce na żołądek i inne organy, chwilowo niepotrzebne. Teraz ważne było tylko ono. Niepocieszona gospodyni wyniosła prawie pełen talerz. Matka zjadła swoją porcję, bo nie można przecież takiego dobra marnować. Na co dzień jadała inaczej, a to jej wyjątkowo smakowało.

Czas zleciał do wieczora na czytaniu, braku rozmów, oglądaniu jednym okiem telewizji; na ciszy leniwej, spokojnej, potrzebnej. I noc taka była, też bez wrażeń; sen spowił rodzinę, równając wszystkich.

10

O dziesiątej rano zadzwonił doktor. Chciał rozmawiać wyłącznie z przyszłą mamą; miała natychmiast przyjechać do gabinetu, najlepiej razem z mężem. Robert był poza miastem, tłumaczył, że na spotkaniu, nie może przełożyć, nie, nie, nie może, musi na nim być.

– Potem porozmawiamy, do usłyszenia, pa, kochanie.

Teść zawiózł Monikę do lekarza. Pojechała i Teresa, i Matka, bo nikt nie miał nic innego do roboty.

Po wejściu do gabinetu Monika przez chwilę poczuła się człowiekiem. Nie opakowaniem dla dziecka, ale kobietą. Usiadła na krześle, zrzuciła skórę potulnej synowej, skromnej córki, grzecznej żony i odważyła się być sobą, choć przez chwilę.

– Pani Moniko – zaczął ostrożnie lekarz, a jego oczy były ciemne, czarne. – *Czarniejsze niż ostatnio* – pomyślała. – Pani Moniko – powtórzył i przełknął ślinę. – Dostałem wyniki badań. Podczas ostatniego USG sprawdziłem dokładniej parametr, który mógł, chociaż nie musiał sygnalizować pewne... nieprawidłowości. – Dziewczyna patrzyła na niego z przekrzywioną głową, słuchała uważnie.

O co mu chodzi?

– Pani dziecko ma powiększoną główkę, wszystkie pozostałe parametry są w porządku, ale badanie genetyczne... Pani Moniko, pani dziecko ma zespół Edwardsa.

Żadnej reakcji, nie poruszyła nawet głową, oczami, rękami; czekała na ciąg dalszy.

Że Edward, to mówił już wcześniej, ale co to ma za znaczenie? Niech lepiej opowie o dziecku – myślała, czując, jak po plecach spływa jej strużka potu.

– Pani Moniko, medycznie mówiąc, ten zespół to wada genetyczna. Polega na tym, że w sposób nieprzewidywalny dubluje się jeden z chromosomów. Może występować w każdej komórce, a może tylko w niektórych. Nie wiemy, dlaczego tak się dzieje ani... ani jakie będą skutki. W przypadku pani dziecka najprawdopodobniej będzie to łódkogłowie, ale nie jesteśmy w stanie stwierdzić tego na pewno. Najczęściej tej przypadłości towarzyszą uszkodzenia mózgu, serca i nerek, dzieci urodzone z zespołem Edwardsa mogą nie być w stanie samodzielnie oddychać ani jeść. Większość rodzi się martwa albo umiera w ciągu miesiąca.

Monika patrzyła lekarzowi w oczy. – *Jego słowa są jak ptaki* – pomyślała. – *Gołębie, sikorki i wróble, nie ma ani jednego orła. Ale nie ma też kruków. A skoro nie ma kruków, to wszystko będzie dobrze.*

– Co to znaczy? – zapytała w końcu, po czym zsunęła się z krzesła, nabijając sobie wielkiego guza. Uderzając o krawędź, rozcięła skórę głowy i kiedy lekarz wybiegł po pielęgniarkę, Teresa zobaczyła przez uchylone drzwi tryskającą krew. Zaczęła krzyczeć, zaalarmowała pielęgniarkę, która w końcu wrzasnęła: – Uspokój się, kobieto! Histeria nic nie pomoże! – I zostawiła wrzeszczącą teściową z Matką Moniki. Która nie umiała mówić nawet do córki, a co dopiero zapanować nad Teresą, ani posadzić jej na krześle stanowczym ruchem, ani wstrząsnąć. Ta w końcu straciła oddech i sama usiadła na krześle.

Drzwi otworzyły się i blady lekarz zaprosił obie kobiety do środka. – Panie są bliskimi osobami? –

zawiesił pytanie. Monika leżała na skajowej leżance, nakryta kocem, z rękami ułożonymi wzdłuż ciała.

– Jak nieboszczyk. – Matka się wzdrygnęła, a jej córka tak właśnie się czuła.

Przytaknęły, niemo odpowiadając na pytanie lekarza, i dalej milczały, kiedy opowiadał im o badaniu.

– Teraz można tylko czekać – zakończył. – Za późno na usunięcie ciąży, dziecko musi się urodzić. Jeszcze kilka tygodni, ale rozwiązanie może być wcześniejsze. Tak często bywa w przypadku tego zespołu. – Potem dodał jeszcze: – Przykro mi.

– A mnie nie. – Monika wygrzebała się spod koca. – Mnie nie jest przykro. Nie ma słowa na noszenie dziecka po to, żeby miało umrzeć. Nie ma słowa na śmierć dziecka, które jeszcze się nie urodziło. Nie ma takiego słowa! – krzyżąc wstała i zaczęła chodzić po gabinecie. – Każe mi pan urodzić moje dziecko i patrzeć na jego śmierć? Pan nie ma serca, to nie może być prawda. To była zdrowa ciąża, prowadził pan ją od początku, jak pan mógł tego nie wykryć! To jakiś żart. Taki żart z matki? – Monika krzyczała, Teresa wstała i przytuliła ją, Matka podeszła z drugiej strony. Tworzyły trójkąt sześciu splecionych rąk i trzech pogubionych głów. Lekarz spuścił wzrok. Zostawił kobiety same, poszedł się napić. Prowadził praktykę od piętnastu lat i nie mógł nauczyć się, jak radzić sobie z aniołami, które nie docierają do celu. W takich chwilach zazdrościł onkologom – oni mówili swoim żyjącym pacjentom, że mogą mieć szansę, że ją mają. Dawali nadzieję, ułomną i bolesną, z podszewką chemioterapii, cierpienia i upokorzenia – ale nadzieję. On teraz ją odebrał, zabierał życie, chociaż chciał je dawać. Przyjmować porody, pomagać zajść w ciążę, leczyć drobne nadżerki i wprowadzać nowe pokolenie w świat seksualnej rozkoszy.

– Czy możemy odwołać dzisiejsze wizyty? – zapytał retorycznie pielęgniarkę, kiedy już Monika wraz z Teresą i Matką pojechały do szpitala. Przyjął do wiadomości ruch głowy, z prawa do lewa, i z powrotem, sięgnął po gumę do żucia, by zabić aromat koniaku, i usiadł przy biurku. Następna pacjentka też była w ciąży. Nosila w sobie światło i doktor tak samo widział w jej brzuchu anomalia osiemnastego chromosomu – chociaż ich tam nie było.

– Pojedyncza sala będzie potrzebna – powiedziała pielęgniarka. W jej głosie brzmiała – pogarda? lekceważenie? Na pewno nie współczucie.

Rozmawiała Teresa. Zdenerwowała się na siostrę, ale ta już obsługiwała następną pacjentkę, szarą na twarzy ciężarną dziewczynę w trudnym do określenia wieku. Zdeterminowana kobieta poszła do pokoju lekarskiego, skąd ją wyprosilili. Dopiero po godzinie otworzyły się drzwi, w których pojawiła się młoda lekarka. Rozpięty kitel sprawiał niechlujne wrażenie. Powiedziała bez wstępu:

– Hospitalizacja nie ma sensu. Dziecku teraz nie pomożemy, trzeba czekać na poród.

– To może chociaż pomożecie matce? – Teresa była wyczerpana, ale nie dawała za wygraną. Siła lekarskiej obojętności zaczynała ją jednak pokonywać. Ile można prosić o godność?

– Proszę pani. – Lekarka była zirytowana, spieszyła się; pewnie tam, gdzie nie było namolnych pacjentek. – Nic nie można zrobić. Nic. Nie wiemy, czy dziecko urodzi się żywe. Nie wiemy, czy będzie oddychało, jadło, ani jak poważne będzie miało wady. Pewne jest tylko to, że będzie je miało. Najlepsze, co możemy zrobić w tej chwili dla matki, to czekać. Na naturalny poród, bez ingerencji chirurgicznej i bez wspomaganie farmakologicznego. Matka jest młoda, może jeszcze mieć dzieci, nie należy przeszkadzać naturze. Przede wszystkim: nie szkodzić.

Teresa patrzyła za odchodzącą, długi korytarz wirował. Chciała zostać zamachowcem-samobójcą oplecionym węzłem plastiku. Jeden guzik i nie byłoby ani szpitala, ani cierpienia, które stało się codziennością jej rodziny.

Wróciły do domu. Taniec wokół Moniki ustał. Jak hołubić zmarłego? Sama dziewczyna zachowywała się zresztą jak martwa. Siadała tam, gdzie jej kazano. Wstawała, gdy jej kazano. Siadała przy stole, brała do ust jedną łyżkę zupy i trzymała ją tam przez cały posiłek; na koniec wypluwała do talerza. Żyła wodą, powietrzem i niespełnioną miłością do dziecka, którego nie mogła mieć. Teresa opowiadała o forach dla rodziców, o historiach dzieci, które żyły, chociaż nie powinny, o cudach, jakie zdarzały się codziennie, blisko i daleko, w każdej chwili. Monika słuchała, ale nie wierzyła w cuda. Jak mogłaby wierzyć? Jej dziecko nie będzie żyło, nie będzie mówiło „mamo”, nie będzie biegać i rozrabiać. Nie ma dziecka, nie ma jej, nie ma świata.

Dzień kończył się – dobrze; wstawał następny – po co?

Czy może być coś bardziej przejmującego niż czekanie na śmierć? Taką śmierć? Dlatego Monika umarła.

Wszyscy wokół czekali na cud. Podtrzymywali na duchu – każdy siebie, pozostałych i Monikę. Próbowali mieć nadzieję. Rozmawiali z lekarzami, z innymi rodzicami, z terapeutami; szukali pomocy i nadziei codziennie nowej, prawdziwszej. Monika nie szukała. Czekala jak wszyscy wokół. Na poród, którego do niedawna bała się najbardziej na świecie. Teraz się z tego śmiała.

Chcesz rozśmieszyć pana Boga? Opowiedz mu o swoich planach.

Monika opowiedziała Bogu o obawach i on je wyśmiał, wcale nie to miało być najstraszniejsze. Rodzić bez miłości, rodzić bez nadziei, cierpieć po to, żeby wydać na świat cierpienie – to było przeznaczenie Moniki.

Teresa, załatw cesarkę – błagała nocami we śnie, uciekając jednocześnie przed chirurgiem w ochlapanym kitlu. – *Tylko nie pozwól im mnie zarznąć, nie pozwól, proszę, trzymaj mnie za rękę.* – Sen powtarzał się co noc, wiele razy. Budziła się, gdy tasak chirurga już prawie przecinał jej tętnicę, zasypiała potem niespokojnie, by znowu uciekać. Wszystko było czerwone, krew, krew i śmierć, to był jej sen.

Robert schował się w pracy, nie umiał nic powiedzieć ani zrobić, zresztą zrobić nie dało się nic. Tylko czekać.

Czekała Monika, otoczona opieką, która była jej obojętna i której wcale nie chciała, skoro jej miłość umarła w środku.

Cóż uczyniłam takiego, co takiego złego jest we mnie, że zatrulo moje dziecko? – rozmyślała. Nikt jej nie powiedział, że nie powinna tak myśleć, bo nikt o jej rozterkach nie wiedział. Nie umiała mówić rzeczy dobrych, jak miała opowiedzieć o strasznych?

Matka cały czas była z nią, po raz pierwszy w życiu mogła odpocząć. Ojciec wprawdzie wydzwaniał – wracaj, wracaj już – ale ona twardo trzymała się córki i tego życia dobrego, które tutaj zobaczyła. Widziała takie tylko w telewizji i czasami letnicy o nim opowiadali; ale im to wierzyć nie można, co to tam, przyjadą, odjadą, głupot naopowiadają, a człowiek potem tęskni. Teraz zobaczyła. Też tak chciała żyć, dlatego nie wracała na wieś.

Robert miał chęć uciec. Gdzieś daleko, najlepiej w czasie. Przestał jeździć na weekendowe spotkania, na których firmowi single co miesiąc rozpoczynali kolejny romans. Nikt nie miał pretensji o nagły koniec, mówili sobie „cześć” i szli dalej. Któregoś dnia kolega skarżył się Robertowi, że po pijaku romansował drugi raz z tą samą koleżanką. Ona też nie pamiętała, że wcześniej bzykali się na korytarzu hotelu, za ogromną donicą z rozrośniętym fikusem. Od strony holu osłaniał ich kwiat, oparci o okienną szybę stanowili jednak świetną atrakcję dla towarzystwa, które spędzało wieczór przy rozpalonym nad mazurskim jeziorem ogniskiem.

Robert pomyślał wtedy, że tak nie chce. Że ma żonę i dziecko. Teraz przechodzą ciężki okres i nie tyle powinien, co chce poświęcić własnej rodzinie czas i uwagę. Uświadomił sobie, że dawno już nie myślał o spędzaniu czasu z Moniką.

Nie powiedział o tym koledze, który wciąż wylewał swój żal, narzekając na ograniczoną liczbę koleżanek do przelecenia. Robert poklepał go po plecach, pokrzepił kilkoma banałami i wrócił do swojego biurka z kubkiem kawy.

– Monika mnie potrzebuje – powiedział do siebie, uderzając pięścią w blat. Odrobina kawy wylała się na dokumenty. Chciał zetrzeć ją dłonią, ale ostatecznie tylko powiększył niechlujną plamę. Chwycił za słuchawkę telefonu, wykręcił wewnętrzny numer.

– Andrzej? Stary, wybacz, nie pojedę w ten weekend na integrację... Tak, wiem, zawsze jeżdżę... Tak... Nie tym razem. Muszę trochę spasować, wiesz, coś tam rodzinnie mam.

Koledzy nie przyjęli tego wyjaśnienia. Po firmie rozeszła się plotka, że lekarz zabronił Robertowi pić.

Robert wracał do domu wcześniej. Nie potrafił z Moniką rozmawiać, za to po prostu często do niej zaglądał. Zamykał strony porno, które uwielbiał odwiedzać, i przychodził do sypialni, gładził Monikę po ręce. Czasem przyniósł z kuchni kubek rosółu i namawiał Monikę do wypicia. Była mu wdzięczna, wypijała kilka łyków, chociaż od nikogo innego nie chciała nic wziąć do ust. Siedział u niej co najwyżej przez kwadrans, a potem wracał do komputera i swoich spraw.

Monika czekała na wyrok, chociaż już go usłyszała. Czekala na nieszczęście, chociaż już go

doświadcziała. Czekwała na pierwszy skurcz, żeby zacząć wyc.

Czekwała czternaście dni. Dwa tygodnie rozpaczy, żalości, lamentu, płaczu, smutku. Skarg do nikogo, żaloby przed śmiercią, szlochu i zawodzenia – do poduszki, do ciszy, do krzyku; do wszystkich i do nikogo.

Po dwunastu godzinach porodu Monika urodziła chłopca. Ważył 2200 gramów.

– Zuch chłopak – powiedział lekarz. – Od razu krzyknął. Brawo.

Położna oddała Monice dziecko zawinięte w szpitalny koc. Czerwona buzia, zaklejone oczka, nierówny oddech. – Osiem w skali Apgar, to dla niego bardzo dobry wynik. Jak ma na imię? – próbowała rozmawiać z Moniką. – To ważne, żeby miał imię... gdyby coś się stało. Lepiej, żeby je miał. Może go od razu ochrzczimy?

Monika pokiwała głową. – Adaś – wyszeptwała wspomnienie swojej pierwszej szkolnej miłości. Nie było w rodzinie Adama, ani u niej, ani u Roberta, ale co to kogo obchodzi, jak ona nazwie swoje dopiero narodzone, umierające dziecko. – Tak, Adaś.

Położna wzięła plastikową miseczkę, nalała do niej wody z kranu i wypowiedziała jedyne słowa, które Monika zapamiętała ze szpitala: „Ja ciebie chrzczę, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.”

„Amen” – powiedziały obydwie. Był zmierzch, poród rozpoczął się o czwartej rano; teraz świat kończył dzienną aktywność, a Monika nie chciała do niego dołączyć.

– Niech się pani nie martwi. – Położna pogłaskała Monikę po rękę, szepcząc. – Synek jest w świetnej formie. Samodzielnie oddycha, urodził się duży, to dobrze rokuje. Spróbujmy go przystawić, niech je, jest głodny.

Odkryły prawą pierś matki i przystawiły dziecko. Adaś łapczywie chwycił brodawkę, zakrztusił się. Zaniepokojona położna odstawiła go, Monika przytuliła malca, dziecko szybko złapało oddech. Przystawiony drugi raz chłopiec spokojniej złapał pierś, zassał, kilka razy przełknął.

– Ale ciamka. – Położna uśmiechnęła się. Monika też.

Adaś przełknął jeszcze raz i znów się zakrztusił. Siniał. Położna oderwała dziecko i wybiegła z nim. Monika siedziała z obnażoną piersią, zaciskała pięści, jakby ugniatała ciasto.

Czym ja zawiniłam, czym zawiniłam? – myślała. Gdy położna wróciła, powiedziała do Moniki: – Adaś nie może sam jeść... musimy odżywiać go sondą.

– Sondą? Dlaczego sondą? – Dziewczyna płakała. Nie przestała nawet wtedy, gdy położna pomogła jej podnieść się z łóżka i nałożyć szlafrok. Płakała, stojąc przed szybą, za którą leżało jej dziecko. Adaś krzywił się, przeszkadzała mu rura w buzi. Piersi Moniki spuchły, piekły i ciekły.

– Trzeba ściągnąć pokarm – powiedziała położna – bo zapalenia pani dostanie.

Monika już nic więcej nie zapamiętała. Robert przyjechał do szpitala wraz z Teresą i Matką, czekali na korytarzu. Pozwolono im wejść na chwilę, kiedy Adaś się urodził, ale szybko wyproszono całą rodzinę. Monika była sama.

W nocy zabierano Adasia na karmienie cztery razy, w przerwach spał obok matki. Monika patrzyła na niego i bała się zamknąć oczy, bojąc się go stracić. Całowała małe palce, było ich pięć, ale nachodziły na siebie tak dziwnie, wskazujący przykrywał środkowy i serdeczny, Monika całowała je po kolei, odchylając delikatnie, żeby ich nie uszkodzić, żeby go nie obudzić. Robert przyszedł rano, nie przyniósł kwiatów, a tylko ciężki worek zgrzytot. Chciał się nim podzielić, zbyt trudno mu było samemu.

– Jak się masz?

– Śpiewam mu kołysanki – odpowiedziała. – Potem mogę nie zdążyć.

Robert posiedział pół godziny, po wyjściu ze szpitala poszedł się upić. Samotnie. Bez panienek i bez kolegów pił do wieczora, aż taksówka przywiozła go pod żoliborską willę. Rzygał długo w chłodnej łazience.

Monika czuwała. Adaś jadł i spał, nawet spojrzął na mamę dwa razy.

– Ma pani szczęście – powiedziała położna, jedyna osoba z personelu, która rozmawiała z Moniką. –

Większość dzieci z zespołem Edwardsa trafia do inkubatora, nawet nie można ich przytulić.

– Tak. Mam szczęście.

Monika tuliła swoje szczęście jeszcze przez cały jeden dzień, aż do następnego ranka. Wtedy to przysnęła na chwilę, a kiedy obudziła się, dziecko leżało koło niej spokojne, spało snem, którego nie podnosi oddech ani ziemskie zmartwienie. Kwiliła cicho, nieprzerwanie, nie chciała oddać syna. – *Adasiu, Adasiu* – szeptała – *co ja ci zrobiłam, Adasiu, kropło szczęścia ty moja, zostań, Adasiu...*

Teresa wpadła do szpitala po telefonie od położnej, najszybciej jak mogła, w niedopiętej spódnicy. Teść, Matka, Robert, który jeszcze nie doszedł do siebie po ciężkiej nocy, wszyscy przyjechali. Razem płakali, ale Monikę obejmowała tylko Teresa.

Dobrze jest mieć wsparcie w żałobie – kołatało w głowie Monice, ale nie chciała słyszeć tej myśli. Niczego nie chciała.

Pochowali Adasia wśród mogił wielkości teczki na dokumenty.

Zamknęś mnie w sobie jak w kufierku, Adasiu – myślała Monika, nie płacząc nad grobem. – Zabrałeś mnie ze sobą, dziecińco. Gdzie jestem, skoro nie tutaj?

Pogrzeb miał być skromny, ale taki nie był. Przyszło mnóstwo ludzi, większości Monika nigdy wcześniej nie widziała – znajomych Roberta, Teresy i teścia; pojawiło się także kilka osób z jej pracy, z którymi śmiała się kiedyś, a teraz nie miała ochoty płakać. Nie chciała przyjmować kondolencji.

One niczego nie zmienią – myślała. – Nie przywrócą mi życia, przecież nie ma już życia. Co jest po życiu?

O wszystko zatroszczyła się Teresa. Ksiądz, kwiaty, biała trumienka, stypa, żałobne stroje. Nie wystarczyło jej tylko myśli ani uwagi na to, aby Monikę zawrócić z drogi śmierci. Podali dziewczynie kilka żółtych tabletek. Miały przynieść równowagę i spokój, a tymczasem otepiły Monikę, spowolniły jej ruchy, choć nie myśli biegnące poza horyzont, szukające Adasia. Tego dnia wszystkim patrzyła w oczy; dobrze zapamiętała ten czas. Nie pamiętała składania trumny do grobu ani mokrego piasku, który przykleił się do wnętrza dłoni. Zapamiętała odkrycie, że ludzie nic dobrego nie niosą w swoich oczach.

Rodzina była teraz razem przez kilka dni, nawet Robert wziął urlop. Niewiele mówili.

O czym tu rozmawiać? – myślała Monika.

Matka wróciła w końcu do domu, Robert do pracy, Teresa została z Moniką. Pilnowała jej. Dbała o nią i martwiła się, bo nie jadła, ledwo co piła, nie chciała nawet oddychać. Chudsza od modelki, pociła się w nocy i w dzień; nie chciała wstawać z łóżka, myć się ani drapać. Teresa trzy razy dziennie prowadziła ją do toalety, bo o tym synowa też mogła zapomnieć. Posadzona – siedziała, położona – leżała, stać tylko nie chciała; przewracała się.

– Depresja, musi przeżyć żałobę – powiedział jeden lekarz.

– Przygnębienie jest normalną reakcją – mówił drugi.

– Apatia i melancholia muszą mieć swój czas, żeby odejść, nie odpędzimy ich na siłę. Dajmy jej czas na opłakiwanie – doradzał kolejny.

Teresa jednak czuła, że czas nic nie zmienia na lepsze. Monika wchodziła coraz głębiej w stupor, nie zamierzała się z niego wydostać ani nie pozwolić nikomu sobie w tym pomóc.

– Ona powoli umiera – mówiła do siebie teściowa, nie mając odwagi powiedzieć tego głośno. – Ona może naprawdę umrzeć – trapiła się. Wprawdzie nie była to wymarzona synowa, ale z biegiem czasu nawet ją – trochę wbrew sobie – polubiła, więc niepokoiła się. Próbowwała rozmawiać z Robertem, ale ten nie miał czasu. Wrócił szybko do rzeczywistości, praca wciągnęła go, wir codzienności wciągnął syna, którego nie poznał i nie zamierzał pokochać, bo się go przestraszył.

I po co mi to było – myślał. – Planowałem kopanie dmuchanej piłki we wzór z Kaczorem Donaldem. Marzyłem o takiej kiedy sam byłem dzieckiem. I wybrałem model ogrodowej piaskownicy.

Robert w tajemnicy, nawet przed matką, kupił konia na biegunach i trzykołowy rowerek.

Co z tego, że będą musiały poczekać – myślał. – Kiedyś na pewno będą potrzebne, a ja zdążę się nacieszyć już teraz.

To jednak było jeszcze przed diagnozą i porodem. Teraz Robert schował głęboko w piwnicy wózek, szczelnie zawinięty w folię. Oklejał go jak najcenniejszy skarb, razem z rowerkiem i koniem, wszystko przykrył grubym kartonem. – *Musi się jeszcze nam przydać* – zaciskał zęby.

Często popołudniami siadał na łóżku obok Moniki. Trzymał ją za rękę, chociaż nie przynosił już rosołu. Żona nie przyjmowała picia nawet od niego. W nocy często ją przytulał, czego nie robił od bardzo dawna. W czasie ciąży nie dotykał Moniki w ogóle, a wcześniej, przez wiele miesięcy, używał jej ciała wyłącznie do zaspokojenia własnych potrzeb. Na głaskanie szkoda mu było energii. Teraz, układając się wieczorem w łóżku, przygarniał ją do siebie zdecydowanym ruchem, układał na łyżeczkę, zasypiał wtulony w jej włosy.

Gdy zaczynał pochrapywać, Monika odsuwała się na skraj łóżka.

– Kochanie, pojedźmy do Kazimierza – zaproponował któregoś wtorkowego wieczoru. – W najbliższy weekend.

– Przecież nie lubisz spacerować – odparła, nie okazując żadnych emocji.

– Ale chciałbym z tobą spędzić więcej czasu.

Wzruszyła ramionami.

Robert zarezerwował pokój dla nowożeńców w niewielkim hotelu w centrum Kazimierza. Z balkonu mieli piękny widok na Wisłę i ruiny zamku. Chociaż było chłodno, pierwszego wieczoru Monika, opatulona kocem, chętnie usiadła na balkonowym krześle i przyglądała się życiu na rynku. Kolacji nie chciała jeść. Hotelowa restauracja była elegancka, krzesła okryte kremową tkaniną, związaną strojną bordową kokardą, adamaszkowe serwetki, porcelana ze złotym szlaczkiem. Robert zjadł pstrąga w sosie cytrynowym, Monika poprosiła o penne z suszonymi pomidorami, z którego skubnęła tylko kilka rurek makaronu. Robert próbował zabawiać żonę, opowiadał dowcipy, zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie mówił jej tak dużo o swojej pracy.

Monika słuchała, uśmiechała się, ale prawie nic nie mówiła.

Musiąco umrzeć nasze dziecko, żebyś mnie zauważył? – myślała.

Robert nie tylko starał się poprawić humor Monice, ale też sam całkiem dobrze się bawił. Patrzył na żonę, chudą jak modelka, ubraną w piękną suknię, którą przed samym wyjazdem kupiła jej Teresa. Była blada i miała cienie pod oczami, ale Roberta kręciło to, jak inni mężczyźni na nią patrzyli.

Rozkręci się – myślał.

Następnego dnia rano, przy śniadaniu, Monika podeszła do szklanej ściany restauracji. W blasku słońca patrzyła na pustą zjeżdżalnię i trampolinę. Stała jak żona Lota, gdy ta obejrzała obraz nieprzeznaczony dla jej oczu. Robert odciągnął dziewczynę od szyby, posadził na krześle. Głowa Moniki wciąż była obrócona w tamtą stronę, wyraz twarzy niewiele mówił o emocjach wewnątrz. Po śniadaniu wyszli na spacer, była to jedna z ostatnich słonecznych niedziel jesieni. Wszędzie biegały dzieci. Monika szła przed siebie, popychana przez Roberta. Kupił drożdżowego kogucika, trzymała go w rękę, skubiąc odrobinę ogon, rozsypywała okruszki ptakom. Mówił Robert. Wrócili do domu, sprawiając wrażenie zadowolonych. On promieniał, ona nabrała trochę kolorów. Teresa była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

– Synku, wyciągaj ją tak częściej, to ma na nią dobry wpływ.

Robert pokiwał głową, dumny z siebie. Miło spędził czas.

Dwa tygodnie później znów zaproponował wyjazd.

– Mogą być Mikołajki – apatycznie zgodziła się Monika.

Wielki hotel z basenami był pełen ludzi. Odbywały się równocześnie trzy imprezy firmowe. Obsługa

uwijała się wokół gości, Robert z Moniką ginęli w tłumie. Jej to odpowiadało, a on po raz pierwszy patrzył na korporacyjne imprezy z boku. Wyglądały smętnie jak wymięte po całym dniu garnitury i lekko rozmazane makijaże. Z każdą kolejną godziną robiło się głośniejsze, marynarki wisały na oparciach krzeseł, krawaty były przekrzywione lub zmięte w kieszeniach.

Na Monice nie robiło to najmniejszego wrażenia.

– Chodźmy popływać – powiedziała do męża.

Kompleks basenów, przepełniony za dnia, wieczorem był prawie pusty. Monika wyglądała oszałamiająco, jak mroczna piękność. Wysoka, chuda, w kłapkach na obcasie. O nowy kostium kąpielowy zadbała Teresa. Robert znów przyglądał się żonie z podziwem.

Pływała powoli, jednostajnie. Wszystko, co ostatnio robiła sprowadzało się do powolnych, jednostajnych ruchów. Jakby oszczędzała energię. Tylko na co?

W pokoju Robert przytulił żonę. – Pokochaj się ze mną – wyszeptał.

Spojrzała na niego chłodno, jakby ta prośba dotyczyła kogoś innego. Kiwnęła głową, wyszła do łazienki.

Wróciła rozebrana, okryta tylko szlafrokiem położyła się na łóżku.

– Wolałbym ciut więcej emocji. – Robert poczuł się skrepowany. Miał prosić własną żonę o namiętność? Panienci, z którymi spędzał wcześniej czas, były chętne i pełne zapału. Udostępniały każdy otwór ciała z flirciarskim chichotem, rozchylając to pośladki, to usta. A Monika była zimną piękną, wyniosłą.

– *Przyjdzie jeszcze czas* – myślał. Próbował rozgrzać ją, jej ciało, ale w efekcie tylko on popadał w gorączkę. Była nieobecna, rozchyłała nogi, odwracała się – jak sobie życzył.

W ciągu zimy wyjeżdżali jeszcze cztery razy. Teresa za każdym razem dbała o nowy ciuch dla Moniki, Robert kupił jej śliczny łańcuszek z wisiorkiem. Wszystko przyjmowała kiwnięciem głowy, bez uśmiechu, ale i bez grymasu. Jechała, gdzie Robert chciał. Robiła, co Robert chciał. Pływała i nawet czasami piła, głównie wodę, układała swoje ciało – ale nic nie mówiła.

Myślała tylko: – *I po co to? I tak nie ma Adasia. Umarłam razem z nim.*

Nic innego nie chodziło jej po głowie.

A o Adasiu mieszkańcy żoliborskiej willi nie rozmawiali. Ani w domu, ani poza nim.

– Ty, Robert, coś taki nietowarzystki się zrobił? – zapytał go któregoś razu kolega, manager równorzędny stanowiskiem, z którym Robert od dłuższego czasu już konkurował. – Problemy jakieś?

– Problemy? U mnie? – Robert uśmiechnął się z wyższością. Wiadomo było, że ich wspólny przełożony odchodzi ze stanowiska, zaczynał się wewnętrzny konkurs na popularność, poparcie, potrzebne były dobrze naoliwione układy i stosunki. Ci dwaj byli głównymi kandydatami, a przecież nie awansuje się kogoś, kto ma problemy.

– Skądże znowu, żadnych problemów. Przygotowywałem pracę doktorską – odparł Robert, odchodząc korytarzem.

Odwołał kolejny wyjazd z Moniką.

To i tak nie ma sensu – myślał. – *Jej nie ma i nie chce ze mną być. Co będę tracił czas* – wzruszył ramionami i umówił się na firmowy wypad na najbliższy weekend.

Znów przestał bywać w domu. Wieczorami śpieszył na spotkania i na imprezy. Do kolegów, interesantów i koleżanek, a jeszcze bardziej do pańienek; one tak chętnie machały cyckami. Monika nie chciała machać. Zresztą, co ona miała za piersi, chwycić nie było za co.

Jest tak chuda, że jak bierze prysznic, to musi biegać, żeby ją woda całą oblała – myślał Robert. Już nie miał czasu dla żony. – *Co to zresztą za żona, która chodzi tylko po domu i patrzy, nie odzywa się, jak duch jakiś pierdolony* – irytował się. Czuł czasami, że jeszcze trochę i jej pasem albo siekierą, albo

tasakiem to snucie się, patrzenie i niemyślenie wybije z głowy, więc wołał wychodzić z domu, żeby się niepotrzebnie nie denerwować. – *Jeszcze przez sukę do więzienia pójdę* – myślał.

Czasami po wódce opowiadał kolegom o żonie.

– Trafiła mi się, mimoza. – Zanim mógł o tym swobodnie mówić, musiał sporo wypić. Na trzeźwo nie potrafił.

– Chłopie, czemuś ty się z nią ożenił? – pytali, bekając.

– A ja wiem? Fajna była. Nie czepialska i nie wymagała za dużo. Z wiochy takiej nadmorskiej ją wyciągnąłem. Miała w domu dziadzieć... siadzieć... siedzieć – po pijaku miał problemy z wymową – dzieciaki rodić i o porządek dbać. I dawać mi dupy co drugi dzień. Nawet dobrze się ją macało, wiecie? Macie pojęcie, że ją na sianie obracałem? Jak bum cyk cyk, u jej ojca jest stodoła za chałupą!

– Stodoła – powtarzali, rechocząc. – Chyba nigdy stodoły nie widziałem – czknął jeden.

– Ja widziałem, na filmie takim – drugi poprawił przybrudzony kołnierzyk.

A trzeci polał kolejkę, bo on w takiej chałupie się wychował, w stodole panny obracał, ale się z żadną nie ożenił. I teraz nie wiedział, czy się wstydzić stanu kawalerskiego, czy tego, że w stodole; wołał więc nic nie mówić.

– I matka chwaliła – kontynuował Robert. – Że miastowa to od razu wymagania, a taką wiochę to się na piętro wsadzi i będzie – zatrzymał się przed trudnym słowem – siedzieć. Odchowa się, nauczy czego trzeba i dopiero w miasto wypuści. No to się ożeniłem – wyznał Robert kieliszкови.

– Ty, a się zakochałeś chociaż trochę? – Kolega zapytał swój kieliszek.

– Ciebie pojebało? – odrzekł Robert. – Ja to się jebać chciałem, co mi tam do kochania. Co zresztą... dyrdymały! Jakie kochanie? To w poezji chyba.

– Toś się stary, wpierdolił – zakończył jeden z kumpli filozoficznie.

Z matką Robert nie chciał o tym rozmawiać, bo co tu dużo gadać. Żona głupia jest, do wariatkowa trzeba będzie ją posłać i tyle. On miał zresztą ochotę na nową kobietę, Monika odepchnęła go chłodem. Nosił w sobie wściekłość z tego powodu. Poza tym rwało go do kształtów okrągłych i chętnych, nie chciał jednak denerwować matki. Używał więc poza domem, w którym już właściwie nie bywał. Teresa tłumaczyła sobie, że syn w taki sposób przeżywa żalobę, że ją zapracowuje. Myślała tak do końca życia, bo nikt nie zamierzał wyprowadzać jej z błędu.

Jednak po kolejnych czterech miesiącach Teresa zmusiła Roberta do rozmowy.

– Musimy coś zrobić, tak dłużej nie może być. Ona ze mną nie rozmawia; słucha, kiwa głową, ale nic nie mówi. Robert, musisz na nią wpłynąć. Zrób coś, potrząśnij nią, porozmawiaj, no mężem bądź!

I Robert zrobił. Zachował się, jak w jego mniemaniu mąż powinien.

– Jak, kurwo, się nie weźmiesz w garść, to ci nogi z dupy powyrywam. Nieużyta jesteś cipa i skoro pożytku z ciebie nie ma, to chociaż kłopotu nie rób. Jutro z matką grzecznie porozmawiasz, umyjesz się wreszcie, śmierdziuchu, i przestaniesz mi tu boleść wielką odwalać. A jak się nie podoba – wypierdalać! Wypierdalać, rozumiesz? Nie ma miejsca dla takiej nimfy, to normalny dom jest! Żadna z ciebie żona i matka też żadna! Dzieciaka nie utrzymałaś, a teraz łzy mi lejesz? Przepraszać powinnaś, że pięć lat po ślubie u nas jeszcze dzieciaka nie ma, a tylko wydatki ciągłe! A to wózeczek, łóżeczko, pierdoły inne, a to trumna i pogrzeb! W garść się w końcu weź!

Monika słyszała końcówkę już zza drzwi, bo Robert wybiegł, żeby utrzymać ręce przy sobie. Zdenerwowała go, niewdzięcznica, ale on okaże jej swą dobroć i nie zbije. A taką miał ochotę! Lałby po wszystkich kościach, żeby opuchlizna przykryła każdy kawałek tego byle jakiego ciała, żeby siniakami ozdobić, wybroczyny krwawe narysować na skórze. Może nauczyłaby się czegoś, latawica jedna. No.

Teresa się bała, Monika nie. Siedziała na skraju łóżka, nie kwiliła, nie śpiewała kołysanek ani nawet nie łkała. Po cichu, z rękami zaplecionymi przed sobą jakby trzymała dziecko, kiwała się. W przód, w tył,

w przód, w tył, w przód...

Robert oderwał jej myśli od Adasia. Monika szukała chłopca cały czas, ale nie mogła odnaleźć, może już zapomniał o niej? Robert oderwał ją od poszukiwań.

Czego on chciał? O co mu chodziło? Robertowi. I gdzie jest Adaś? Nie ma Adasia – rozmyślała. – Dlaczego go nie ma? Coś zrobiliśmy nie tak. Może Robert krzywo wsadził albo ja jestem wybrakowana. To na pewno moja wina. Nie, to musi być wina Roberta. Nie, to na pewno moja wina. Nie, to musi być wina Roberta. Nie, to na pewno...

W środku nocy Monika przestała się kiwać i poszła do łazienki. Robert nie wrócił na noc. Teresę obudził szmer spuszczonej wody, zaskoczona usiadła raptownie, aż Mąż poruszył się po drugiej stronie łóżka; tego dźwięku nie słyszała z piętra już od miesiący.

– Monika wróciła – wyszeptała. – Może i naprawdę trzeba było z nią tak, jak Robert... – Zasnęła ucieszona.

Monika spędziła w łazience ponad godzinę. Patrzyła w lustro. Oczy wielkości śliwek, cera w kolorze śliwek, dwa sine wgłębienia zamiast policzków. Szyja jak zapalka, ręce jak wykałaczki; włosy potargane, nieprzycięte.

Kto to jest? – zadała pytanie odbiciu w lustrze. – Kto pozwolił mi tak wyglądać? Adaś wcale by tego nie chciał. – W pokoju dziewczyna ponownie usiadła na łóżku, po raz pierwszy od dawna nie myśląc o zmarłym dziecku, któremu śmierć oszczędziła niezасłużonego cierpienia. Nie myślała też o porodzie, którego bezsens cały czas rozrywał ją źle zszytym krocem. Monika myślała o tym, co się stanie, gdy jutro wyjdzie do ludzi.

13

Rano Teresa nadmiar szczęścia rozsypała na podłodze. Stłukła szklanekę na widok Moniki niepewnie schodzącej w szlafroku po schodach.

– Nareszcie – westchnęła, nawet Mąż podniósł oczy znad gazety. Uścisnęła synową, czując w ramionach pień drzewa. – *Może pień byłby przychylniejszy?* – pomyślała. Głośno powiedziała: – Zrobię herbaty.

Monika doceniła poświęcenie Teresy – na co dzień od parzenia herbaty była gosposia.

Czy dam radę ją wypić? Taką gorącą? Muszę zjeść śniadanie. Muszę zacząć normalnie jeść – upomniała się w duchu Monika. Sięgnęła po okruch bułki i przełknęła, popijając ciepłym płynem.

– Mogłabyś umówić mnie do fryzjera? – zapytała. To były pierwsze słowa, które wypowiedziała od tygodni.

– Oczywiście! Natychmiast! – trajkotała Teresa już z telefonem w ręku.

Od razu po śniadaniu pojechały do salonu. Wróciły do domu pachnące szamponami, odżywkami i suszarką.

– Wyglądasz kwitnąco. – Teresa nie ustawała w wesołym szczebiocie.

Raczej jak ufryzowany trup – myślała Monika, patrząc w lustro. – *Po co truposzowi nakręcać włosy? Chyba że to manekin. Tak, manekinowi byłoby warto.*

– Chcę wrócić do pracy. – Wieczorem zeszła na kolację i wygłosiła to jedno zdanie. Wystarczyło. Usiadła przy stole, obserwując jak teść z Robertem pochłaniają dania serwowane przez gosposię.

– Do pracy? – parsknął jej mąż z pełnymi ustami. – Kto cię będzie tam chciał?

Teresa spojrzała na syna z niesmakiem, teść zwyczajowo nie podniósł nawet głowy znad talerza.

– Twoja posada została dawno zajęta – kontynuował Robert. – Eugeniusz nie mógł czekać, aż zechcesz łaskawie wrócić. W prawdziwym świecie trzeba codziennie pracować, Królewno Śnieżko. Wstawać z łóżka, ruszać dupę do roboty i zarabiać, zarabiać! A nie siedzieć i tylko kontemplować z bliska poduszkę przez długie miesiące.

Monika spuściła głowę. W trakcie jego przemowy zdążyła zjeść łyżeczkę ziemniaków z kroplą sosu i popić ją sokiem.

– *To i tak dużo* – ucieszyła się w duchu Teresa.

– Nie denerwuj się, będzie coraz lepiej – zwróciła się do niej z uśmiechem Monika. Robertowi nie musiała w żaden sposób odpowiadać, bo skończył posiłek i odszedł już od stołu, zostawiając rozrzucone sztućce i odsunięte krzesło. *Wolałabym schować się pod stół, a nie uśmiechać* – pomyślała dziewczyna.

Następnego dnia, po wygładzeniu kołdry i starciu bardzo zakurzonych parapetów, usiadła do komputera Roberta, bo tylko do tego miała dostęp. Napisała CV, ukryła je w pliku opatrzonym hasłem, wydrukowała dziesięć egzemplarzy. Dokument nazwała podobnie do innych dawno nieotwieranych przez męża. Gdy Teresa zawołała ją na obiad, schowała wydruki w szufladzie szafy, pod majtkami. Tam Robert nie miał

w zwyczajnie zaglądać.

To grzech urodzić chore dziecko – powtarzała w myślach Monika.

Chciała uciec od znienawidzonej siebie i swojej winy. Z niechęcią myślała o miejscu, do którego przez tę nienawiść zmierzała.

Nie będę matką ani prawdziwą kobietą, dopóki będę się doprowadzać do takiego stanu – katowała się. – *Muszę być silna, muszę być dzielna. Kiedy stanę na własnych nogach, będę mogła decydować o sobie.*

Monika weszła na ścieżkę nienawiści, bo nikt nie nauczył jej kochać. Matka i Ojciec nigdy nie umieli okazywać swojego uczucia. Pierwsze platoniczne miłości z wiejskiej szkoły były odbiciem jedynych książek obecnych w domu – harlequinów. Monika czytała wszystko, czego wymagano na lekcjach, ale naprawdę podobały jej się tylko potajemnie wertowane romanse. Swoich wybranków stawiała na romantycznym piedestale. Pierwszy Adaś, potem Zbyszek i jeszcze Artur – wszyscy mieli przybyć po nią w nocy, najlepiej na koniu, ostatecznie na motocyklu, i wywieźć w siną dal, daleko od szarej codzienności. Potem miało być już tylko lepiej. Monika nie zastanawiała się nad tym, jak to „lepiej” miałyby wyglądać. Rolą ukochanego było przybyć, zabrać z domu i zapewnić przyszłość. Żaden z kolegów nie domyślał się, jakim przeznaczono mu być bohaterem. Monika nie rozmawiała o tym – ani z polonistką (pilnowała, by w wypracowaniach nie pojawił się nawet cień jej tęsknot), ani z nikim innym, z koleżankami w szczególności. Rówieśnice zainteresowane były wzorem na tureckim sweterku i modnym kolorem szminki. Potem, gdy tematy dziewczęcych rozmów zdominowali chłopcy, debatowały, która to „już” i jak było, i czy bolało. Monika nie chciała tak – w pośpiechu na sianie i ze strachem, że od razu będzie brzuch. Wiele koleżanek nosiło swoje ciężę jednocześnie z dumą i zawstyżeniem. Wprowadzały się do domu zaskoczonych młodych ojców, rodziły dziecko, potem następne. Żyły, niczego więcej nie oczekując i nie pragnąc, utrzymując, że jest im dobrze.

Nie chciały myśleć, że coś straciły – myślała o nich Monika po latach.

Wtedy jednak, w dniach błyszczących w dzienniku piątek z historii, myślała tylko o tym, że jej nie rozumieją. Nie potrafiła z nimi przebywać i nie umiała nawet określić, czy jej z tym dobrze, czy źle.

Aż przyjechał Robert, letnik z innego świata, z matką zawsze wystrojoną jak na niedzielną mszę.

– Och, nie chcę jechać nad samo morze – zwykła mawiać Teresa. – Tam jest tłok i dzieciakom tylko bzdury w głowie się lęgną. Wiatraczki, łopatki – po co to? Tutaj przynajmniej wiem, czego się spodziewać. Rano szklanka ciepłego mleka od krowy, zapach pól i spacer po lesie. Pokażę synowi, jak wygląda prawdziwa kosa, bo w mieście nie zobaczy, siły nabierze, chucherko moje, i krzepy, i prawdziwego życia pozna trochę.

Robert poznawał to życie właśnie tylko trochę, Matka Moniki lepiała pierogi i prała ich ubrania w pralce – dzięki letnikom stać ich było na luksus posiadania Frani, w balii nie wypadało prać przy gościach. Ojciec Moniki prawie ich nie widywał, bo całe dni spędzał w polu, uprawiał ukochaną ziemię, zastawioną później na wesele córki. Robert rósł na ciepłym krowim mleku i nabierał tężyzny, i Monika rosła, chuda, tyczkowata, dzika. Lubiła patrzeć na świat z góry, nie przeszkadzało jej, że się z niej śmiali, nie lubiła tylko swoich stóp. Zawsze z butów wystawał duży palec, wszystkie były za małe, nawet te Ojca. Dzieciaki ze wsi wakacje spędzały w domu – kolonie były za drogie, rodzina daleko w mieście wiecznie zapracowana, a i w żniwach ktoś musiał pomagać. Monika i tak nie miałyby gdzie pojechać. Pomagała Matce przy letnikach, uciekała tylko przed Robertem i Teresą. Za jaśni dla niej byli, nie z tego świata, pachnący mydełkiem Palmolive. Chodzili codziennie nad jezioro, a przyjeżdżał po nich z Warszawy samochód, jasnozielona łada, niespotykany na wsi luksus. Gdy tylko mogła, Monika biegła w pole, do Ojca.

Przyszedł czas, że koledzy zaczęli dziewczynę nudzić, nie było o czym rozmawiać, a w siano nie

chciała z nimi iść. Razem z Robertem znalazła nowe ścieżki. Teresa patrzyła z uśmiechem, jak jej syn prowadzi się z tak piękną dziewczyną, ale pilnowała, żeby sami się zanadto nie oddalali.

Tego tylko potrzeba, żeby z wiejską dziewczuchą gdzieś się zapomniał – myślała.

Matka Moniki nie patrzyła z uśmiechem, przeczuwała kłopoty, a na pilnowanie młodych nie miała czasu. Odetchnęła, gdy letnicy wyjechali, a córce brzuch nie rósł i nic nie wskazywało na to, by prowadzenie się za rękę w obecności Teresy uczyniło jakieś inne szkody.

Monika! – pierwszy napisał Robert. – Fajnie było i lubię z Tobą chodzić do lasu, i oglądać drzewa i mech. W przyszłym roku też chciałbym przyjechać, a mama mówiła, że pewnie przyjedziemy, bo tam u was to najlepiej wypoczywamy.

Monika nigdy wcześniej nie dostała listu. Długo wpatrywała się w niebieską kopertę. Potem zachłannie czytała, jakby to była Mniszkówna, koślawe litery zapisane na kartce wyrwanej z zeszytu w linie, z postrzępionym brzegiem. W końcu też wyrwała kartkę – z ubiegłorocznego zeszytu, bo Matka by się gniewała, gdyby zniszczyła nowy – i napisała: – *Robercie! Przyjeżdżaj, bo mnie też było miło i fajnie, i chciałabym z Tobą znowu tak chodzić za rękę.*

Następne listy były dłuższe, a kiedy po roku znów się spotkali, wyrośnięci, patrzyli na siebie nieśmiało, ale znali się już dużo lepiej. Monika lubiła czytać, a Robert nie. Robert lubił grać w piłkę, a Monika nie znosiła oglądać telewizji. Oboje uwielbiali pływać, chociaż on uczył się z instruktorem na basenie, a ona w jeziorze. Potem urządzali wyścigi, z pomostu na drugi brzeg. Zawsze wygrywała Monika, a Robert próbował oszukiwać, ciągnąc ją za nogi albo strasząc spod wody. Ani w tamtym, ani w kolejnym roku nie wyszli poza trzymanie się za rękę.

Następnego lata Teresa przebąkiwała, że może trzeba pojechać do Bułgarii na wczasy, tam podobno jest tak pięknie, a i sąsiedzi się wybierają, ale Robert uprosił, wybłagał, że pierogi, jezioro i ciepłe mleko – nie wspominał jednak, sam nie wiedząc dlaczego, o trzymaniu za rękę. Teresa o listach nie wiedziała i nigdy się nie dowiedziała – gosposia przynosiła je chłopcu w tajemnicy i nosiła na pocztę odpowiedzi. I dobrze, bo gosposia mogłaby mieć z tego powodu jakieś nieprzyjemności. Pojechali więc na letnisko, prawie nad morze niedaleko jeziora, do czarnych włosów wysokiej Moniki. W tym roku nie poprzestali na trzymaniu się za ręce, leżeli na łące, a potem poszli na siano. Tam odkryli to, co inni wiedzieli już dawno. Monice został rok do matury. Wymieniali coraz więcej listów. On pisał z przyzwyczajenia – ona miała ciągle coś nowego do opisanie. Zbliżała się do Roberta, a on jej nie odganiał. Było mu wygodnie o niej myśleć, choć doświadczył już innych – Warszawka lubiła się bawić. Monika zdała maturę, chłopak skończył licencjat. Pracował, ojciec załatwił mu dobrze płatną robotę w biurze.

Pewnego dnia gosposia przyszykowała kolację, jeszcze lepszą niż zwykle, a ojciec zasiadający u szczytu stołu wygłosił z powagą: – Synu, czas o żonie pomyśleć, przedłużyć ród. Robert od razu pomyślał o Monice. Poczekał jeszcze rok, wielokrotnie zastanawiając się nad tą sprawą, w międzyczasie pisał do niczego nieświadomej dziewczyny co tydzień, co dwa, a w następne wakacje się oświadczył. Teresa o mało zawału nie dostała.

Wieśniarę za synową będę mieć – myślała. Szybko się jednak z tym pogodziła. – Wieśniara, ale z porządnego domu, żadne fiu-bździu. Nawet taka skromna to i lepiej, pracowita, domu będzie pilnować i porządku, dzieci rodzić. Rok później, zaraz po dyplomie Roberta, Monika założyła niewygodne białe lakierki, wcisnęła się w gorset haftowany setkami koralików i pociągnęła za sobą tren.

Monika najbardziej nienawidziła siebie i gotowa była zrobić wszystko, aby o tym jak najszybciej zapomnieć. Zaczęła wysyłać CV w odpowiedzi na byle jakie oferty pracy. Zamierzała chodzić po okolicznych firmach z papierami w ręku, ale wstydziła się pytań Teresy: „Gdzie idziesz? Pójść z tobą?”. Bała się też spotkać kogoś, kto mógłby opowiedzieć teściowej o tych próbach.

Przecież zawsze możesz się do nas zwrócić, pomożemy, załatwimy ci pracę – słyszała w duchu. – Ciągle jeszcze coś na tym świecie możemy, ha ha ha. Monika wolała sobie tego oszczędzić, wykorzystwała Internet. Wysłała ponad trzydzieści CV, zaczął dzwonić telefon. Na drugim spotkaniu została przyjęta.

– Jutro idę do pracy – oznajmiła przy kolacji. Odpowiedział jej złośliwy uśmiezek Roberta.

– Kto cię chciał? – zarechotał.

– Idę pracować na recepcji, jako taki nikt, ale w znanej firmie. I za pieniądze – podkreśliła. Chłodny ton kosztował ją trzydniowy zapas energii.

– Idź. – Robert wzruszył ramionami, teść wrócił do siorbania zupy.

– Trzymam za ciebie kciuki – powiedziała Teresa. – Powiedz, jeśli czegoś potrzebujesz – dodała po deserze, gdy już gosposia sprzątnęła ze stołu, a panowie przeszli do salonu. Wszystkie dźwięki zostały zagłuszone przez hałas z telewizora.

– Jak myślisz... – zaczęła niepewnie. Siedziały pochylone nad herbatą – powinnam nauczyć się angielskiego, prawda?

– Monika, powinnaś skończyć studia! – odparła teściowa. Ciągle bolały ją niepotrzebnie wydane pieniądze za ostatni niewykorzystany semestr.

– Wiem... ale dopiero po wakacjach. To jeszcze pół roku, może teraz angielski? Jak myślisz?

Teresa przyznała jej w duchu rację, ale nie zamierzała już pomagać. Pokiwała tylko głową z aprobatą. – Tylko bądź konsekwentna – powiedziała, odchodząc od stołu.

Teraz to niech płaci sama – myślała wieczorem pod prysznicem. – *Ile można wyciągać rękę?*

Monika całą pierwszą pensję wydała na trzymiesięczny kurs angielskiego. Nie stać jej było na dłuższy. Nigdy nie spóźniła się do pracy. Przychodziła pierwsza, uśmiechnięta odbierała telefony. Trzy razy w tygodniu chodziła na zajęcia, wieczorami wkuwała słówka, parapety ścierała słuchając angielskich płyt, w telewizji oglądała BBC. Lektor był zachwycony postępami, szczególnie po tym, jak zapłaciła za następne trzy miesiące.

Nie wyjadę na wakacje – myślała – pójdę na jakiś wakacyjny kurs. Ciekawe, o co Matce chodziło. Ten ostatni list... dziwny jakiś. Co to znaczy, że u nich nie najlepiej? Takie pewnie bajdurzenie, zwyczajnie tęsknota ją ogarnęła. Nic nie napisała więcej, to pewnie i nic więcej do pisania nie było. A ja nie mam czasu na sentymenty.

Monika spędziła lato na kolejnym kursie angielskiego. We wrześniu rozważała, czy opłacić kolejny

semestr studiów, czy szkoły językowej. Miała akurat chwilę oddechu w firmie, telefony zamilkły, a wszyscy pracownicy pozamykali się w swoich biurach. Próbowwała policzyć, na co ją stać. Na Teresie nie mogła już polegać, Roberta to w ogóle nie interesowało.

– Pani Moniko, proszę do mnie. – Prośba kierownika wyrwała ją z rozmyślań. Była nietypowa i to ją przstraszyło. Nigdy nie bywała w gabinecie szefa, jedynie łączyła rozmowy do jego asystentki.

– Proszę. – Wskazał jej krzesło. Sam usiadł za biurkiem. – Jak się pani u nas pracuje? – zapytał, a Monika wyczuła, że nie bardzo interesuje go odpowiedź.

– Bardzo dobrze, dziękuję.

– Dobrze czy naprawdę bardzo dobrze? – Uniósł brwi.

To jednak go to obchodzi? – zdziwiła się, a głośno powiedziała: – Bardzo dobrze.

– Czy na tyle dobrze, by związać się z naszą firmą na dłużej?

– Oczywiście. – Monika starała się okazywać entuzjazm. Pod pachą poczuła mokrą plamę potu.

– Hmm... – Szef przyglądał jej się przez chwilę.

Jak cielakowi – pomyślała, uśmiechając się niepewnie.

– Nasza wydziałowa sekretarka zdecydowała się kontynuować karierę poza naszą organizacją. Postanowiłem postawić na awans wewnętrzny. Mogę pani zaproponować stanowisko mojej sekretarki, już od przyszedłego tygodnia.

– Ja...

– Z dwukrotnie wyższą pensją. W przyszłości możliwy jest awans na asystentkę. Jeśli się pani wykaże, oczywiście. – Kierownik patrzył na Monikę zimnym wzrokiem, chciał ją onieśmielić, chociaż sam nie wiedział dlaczego. Obserwował ją już od dawna, podobała mu się ta zorganizowana, uśmiechnięta dziewczyna. Sprawiała wrażenie profesjonalistki, nawet gdy przed recepcją kłębił się tłum interesantów, a telefon nieustannie dzwonił. – Jaka jest pani decyzja?

– Ja... czy ja mogłabym się zastanowić?

– Nad czym? Propozycja jest do wzięcia od zaraz. Nie jest pani jedyną kandydatką, a pani kwalifikacje nie do końca odpowiadają...

– Tak, oczywiście, będę zaszczycona – przerwała kierownikowi Monika.

Tak naprawdę nie było żadnych innych kandydatek. Te, z którymi kierownik się spotkał, nie pasowały mu. Kadry nie mogły zaproponować mu kolejnych.

Następnego ranka Monika zarezerwowała miejsce i na studiach, i na kursie angielskiego. Kilka dni później już codziennie wchodziła po schodach na drugie piętro, po drodze witając się grzecznie z dziewczyną o mysich włosach. Czasem pomagała jej w obsłudze centrali telefonicznej, z którą nowa recepcjonistka nie do końca sobie radziła.

Monika miała teraz bardzo napięty grafik. Po pracy zawsze się śpieszyła i sprawiało jej to radość. Nienawidziła siebie cały czas tak samo i nie chciała mieć czasu na myślenie. Praca była lepiej płatna, ale niewiele się zmieniła. Sekretarka pierwsza przychodziła do biura, parzyła termos kawy, odbierała telefony, łączyła rozmowy, sporządzała dokumenty i zносиła fanaberie kierownika. Potem parzyła drugi termos, witała gości, poprawiała pisma i łączyła kolejne rozmowy. Wychodziła w pośpiechu na kurs, a potem powtarzała słówka, ścierając parapety. W weekendy wstawała wcześnie, o szklance soku szła żoliborskimi ulicami i patrzyła, jak szyby matowieją w domach od porannej pary z czajników. Na uczelni słuchała wykładów i uczyła się, że mądry jest nie ten, kto jest mądry – tylko ten, o kim mówią, że jest mądry.

Na trawieniu nienawiści do siebie minęła jej jesień i zima. Sesję zdała w zerówkach. Podczas tego semestru nie pozwoliła sobie na żadną przyjemność; nie oglądała telewizji, nie chodziła do kina, ani razu nie pojechała z Teresą na zakupy. Z Robertem spotykała się dopiero wieczorem w łóżku. Była wtedy zbyt

zmęczona nawet na protest. On z kolei miał ochotę przełamać jej opór, ale go nie napotykał. Brał co chciał albo i nie chciał, i zasypiał. Monika czytała, czytała, uczyła się i znów czytała. Czasem budziła się spocona w nocy, wydawało jej się, że to woła Adaś. A to tylko serce stawalo w poprzek. Wstawała wtedy, boszo przechodziła do łazienki i przy mizernym świetle bocznej lampki – żeby nikogo nie obudzić – czytała dalej. Czasami świt zastawał ją wciśniętą w zagłębienie między wanną a ścianą. Wtedy cały dzień bolał ją kręgosłup, ale nie skarżyła się i nie brała żadnych leków. Uznała, że wzięcie tabletki jest równoznaczne z rozpieszczaniem się.

Nie zasługuję na łaskę tak dobrego traktowania. Niech boli – myślała.

Bywało, że pożądliwie patrzyła na żyłki, oglądała swoje gładkie uda i wyobrażała sobie wyrze na nich krwawe napisy. Ale nie robiła tego.

Teresa by zauważyła. A ja nie chcę pomocy, nie zasłużyłam na nią. Na nic nie zasłużyłam – myślała, pogrążając się w nienawiści do siebie. – *Zasłużyłam na nic.*

W kwietniu asystentka dyrektora sprzedaży oznajmiła, że jest w ciąży. Dyrektor biegał po biurze w rozpiętej koszuli i z poluzowanym krawatem. Szef sprzedaży był dobrym człowiekiem i potrafił kreować się na fachowca. Jednak tak naprawdę nie znał się na swojej robocie, potrzebował nieustającego wsparcia. A jego asystentka była perfekcyjna. Wypełniała lukę między regionalnymi sprzedawcami a decyzyjnością szefa; pomagała mu analizować dane i podejmować decyzje. On je tylko podpisywał i zaraz o wszystkim zapominał.

Monika dostała propozycję awansu; przyjęła ją wraz z podwyżką. Ciągłe oszczędzała – jej jedyne wydatki to kurs angielskiego, chesne za studia, bilet miesięczny i czasem książka, która nie była dostępna w bibliotece. Pracowała jeszcze więcej, spała coraz mniej.

Po co spać?

We śnie przychodził Adaś, wyciągał do niej ręce i zapłakaną buzię; gubiła swoje dziecko w tłumie, by odnaleźć tylko przeпоcony odcisk na poduszce; we śnie czasem bawiła się z chłopcem w chowanego lub w berka – a kiedy się budziła, pustka przytłaczała ją, wbijała w łóżko. Nie pozwalała wstać, nie pozwalała żyć.

Dobrze było być asystentką. Po raz pierwszy mogła oddać to, co dotychczas bezinteresownie dostawała.

– Kawa jest zimna i lurowata, nie umiesz zrobić porządnej? – mówiła do sympatycznej dziewczyny, która przejęła jej sekretarskie obowiązki. – Dziumdzia jesteś – wyśmiewała ją – prostego pisma nie umiesz napisać.

Mściła się z uśmiechem na twarzy. Nikt nie przypuszczał, że to tylko jej nienawiść, która zaczynała zżerać ją od środka, próbowała rozłożyć na gnijące za życia kawałki. W nieświadomym odruchu obronnym Monika próbowała ją z siebie wyrzucić.

Pod koniec czerwca Monika miała sesję zdaną na piątkach i konspekt magisterki. Zanim go stworzyła, trzech promotorów proponowało jej pisanie pracy pod swoją opieką; jeden z nich powiedział, że widzi w niej przyszłą doktorantkę.

Doktorat ją zastanowił. – *Czy tego chcę? Nie. Nie chcę. Ale może zachcę później. Zobaczę.*

Wybrała promotora, tego od doktoratu, przyjęła do wiadomości najlepszy jego zdaniem temat. Przez dwa tygodnie studiowała literaturę i napisała konspekt, który zachwycił profesora. Wybrał ten temat, bo potrzebował świeżego spojrzenia na zagadnienia, z jakich się habilitował. Nie chodziło o wiedzę; nie wierzył, żeby ktoś zgłębił temat lepiej niż on sam. Szukał inspiracji, nowych słów i metafor, nowej perspektywy – Monika mu to zapewniła. Podobała mu się ta czarnowłosa studentka, chuda i wysoka, ze zbyt dużymi stopami i wilgotnymi dłońmi. Pomyślał, że warto byłoby sprawdzić ją poza uczelnią; zaproponował kawę.

– Jest pani bardzo piękna – powiedział, gdy już omówili kwestie magisterki.

Uśmiechnęła się lodowato.

– Dziękuję panu – powiedziała, podnosząc z sąsiedniego krzesła torebkę. – Chyba już wszystko uzgodniliśmy? Czy powinnam o czymś jeszcze pamiętać?

– Nie, najważniejsze sprawy zostały podsumowane – wycedził profesor.

– Cóż, bardzo dziękuję. – Monika wstała i wyszła. Uśmiechnęła się do kelnera, mijając go.

Wolałabym zapłacić – pomyślała. Szkoda, że wczoraj wszystko przelałam na kolejny kurs angielskiego.

A zresztą, nie szkoda. Taki palant nie jest wart uwagi.

Promotor patrzył na oddalającą się Monikę ze sztywniejącym członkiem. Jej wysoka postać podniecała go. Uznał, że zachowała się jak kobieta, która wymaga zachodu.

– *Ale nie aż takiego zachodu* – pomyślał. – *To tylko studentka. Niech pisze tę pracę i spada.*

Teresa martwiła się o synową.

– Nic nie mówisz ostatnio, co słyhać u ciebie? Nie pracujesz aby za dużo?

Monika pokazała jej indeks. Teresa uważnie przestudiowała wszystkie kartki, po raz pierwszy trzymała coś takiego w rękach.

– *To to mnie ominęło?* – pomyślała, oglądając równo wypisane nazwy przedmiotów, nieczytelne „zal.” przed podpisem, kilka ocen stawianych różnokolorowymi długopisami. – *Powinna być z tego dumna.*

– Wspaniale, brawo! W sobotę idziemy do kina. Ja stawiam. I szampana też.

– Nie mogę – odparła Monika. – Muszę pisać pracę magisterską.

– Masz na to prawie rok! Nie wyprzedzaj wszystkich, bo zostaniesz sama. Może i z przodu, ale samotna.

Samotna? Z przodu? – rozważała Monika. – *Być tam, gdzie nie dogonią mnie inni... mogłabym spokojnie szukać Adasia, nie rozpraszając uwagi. To jest mój kierunek. Samotna. Z przodu – zdecydowała, ale poszła z Teresą do kina.*

Jeśli jednak teściowa oczekiwała rozmowy – srogo się zawiodła. Owszem, po filmie poszły na kawę, odwiedziły kilka sklepów, ale dyskutowały wyłącznie o garderobie.

– Awansujesz, gratulacje. Potrzebujesz odpowiednich ubrań. Dżinsy odpadają, ta wełniana spódnica jest już zmechacona, przydałaby ci się nowa garsonka, może dwie. I kilka bluzek. I buty.

A może Teresa ma rację? Jak cię widzą... Potrzebuję wyglądu osoby, którą chcę się stać. Kierowniczkę. Dyrektorkę.

Umówiły się na wspólne zakupy.

– Tylko... mój budżet jest ograniczony, wiesz, studia, angielski...

– Nic się nie martw – przerwała jej teściowa. Na ciuchy budżet na szczęście miała nieograniczony. I zadowalał ją fakt „dojścia do porozumienia” z synową. Uzgodnienie odzieżowych potrzeb było dla Teresy wystarczającą komunikacją. Nie do zniesienia byłaby dla niej prawda Moniki, nienawiść Moniki. Szczęśliwie więc mówiły o spódnicach i bluzkach. – Nic się nie martw, ja płacę. Trzeba doceniać taką pracowitość jak twoja. – W drzwiach kawiarni poklepała dziewczynę po plecach.

Jak kobyłę na pastwisku – pomyślała Monika; rozśmieszyło ją to. – *Na tyle zasługuję. Trzeba mnie docenić jak kobyłę na pastwisku.*

Obydwie wróciły do domu bardzo zadowolone, uśmiechnięte. Teresa nie chciała wiedzieć, co tak cieszyło żonę jej syna.

Przez lato Monika udowadniała, że nie jest gorsza od poprzedniczki. Od września zaczęła pokazywać, że tamta była kiepska. Nauczyła się reagować ze zdumieniem:

– Naprawdę? Powinien być taki segregator? Niestety, wszystko sprawdziłam, nie ma...

Jego zawartość dawno przełożyła w inne miejsce, czerpiąc wiedzę z uporządkowanych materiałów. Ćwiczyła się w cierpliwości. Dała sobie rok na dokończenie studiów, potem postanowiła rozwinąć karierę w obecnej firmie.

Świetnie sprawdzę się na miejscu szefa. Za rok będzie dobry czas, żeby to udowodnić – myślała. Nie zastanawiała się – jak. Po prostu podjęła decyzję. Wielkie zakupy idealnie pasowały do tego planu. Przed wyjściem razem z Teresą przestudiowały aktualne magazyny z modą.

– Chciałabym mieć kilka rzeczy o ponadczasowym charakterze, do których łatwo można dopasować modne dodatki – mówiła do teściowej. Parafrazowała Jolantę Kwaśniewską, z którą wywiad przeczytała niedawno w jakimś czasopiśmie. Monice do tej pory było w zasadzie obojętne, co nosi. Byle było czyste, całe i wygodne. Teresa zaczęła to zmieniać, ale nie zdążyła – Adaś jej nie pozwolił. Teraz ponownie nadarzyła się ku temu okazja.

– Idealnie – mruzczała Teresa. – Poszukajmy nowości, zdecydujemy, czego nam potrzeba, potem pobuszujemy w sklepach.

Poranek wrześniowej soboty spędziły na przeglądaniu kolorowych magazynów. Wychudzone modelki straszyły wystającymi kośćmi, ale Monika i tak była chudsza. Teresa pokazywała palcem ciuchy, razem je komentowały, synowa uczyła się mówić o modzie. Wykorzystywała potem tę umiejętność jako sposób dotarcia do rozmówcy. Szczególnie kobiecego.

– Coś mi się nie podoba w tej spódnicy – zwykła zaczynać rozmowę, wskazując na biodra najatrakcyjniejszej dziewczyny w pobliżu. I już miała w ręku temat, rozmówca dołączał, ulegał jej; potrafiła ciągnąć taki dialog o patkach, zamkach i ściągach przez kwadrans, ani razu nie używając tego samego słowa. To dzięki Teresie za parę lat Monika stanie się mistrzynią rozmów o niczym i pozostawiania wrażenia, że jest ekspertem – nikt nie będzie próbował dociekać w jakiej dziedzinie. Tymczasem uczyła się podstaw, nazw i określeń oraz prostych sposobów na uczynienie na powrót modnym czegoś, co święciło triumfy pięć sezonów temu.

– Na dzisiaj dosyć. – Teresa zamknęła pismo i odrzuciła je niedbałym gestem na stertę mu podobnych.

Te kilkanaście czasopism jest wartych więcej niż moja Matka wydaje przez tydzień na życie – pomyślała Monika. Nie myślała o Matce od bardzo dawna. Ani o Ojcu, ani o domu. – *Radzę sobie. Co mam myśleć.*

– Czas na obiad. – Teresa odsunęła magazyny, robiąc gospodyni miejsce na postawienie naczyń. – Jutro pojedziemy do galerii handlowej, tam kupimy wszystko, co trzeba. Dwie garsonki, to pewne – zaczęła wyliczać.

Gospośnia nakładała na talerze znakomicie pachnącą cielęcinę.

– Może jedna ze spodniami? – zaproponowała Monika po dwóch kęsach.

– To trzy – dodała Teresa. – Dwie ze spódnicą, jedną czarną, drugą... może niebieską? – Popatrzyła na synową jak na wieszak. – Do twoich kruczonych włosów i czarnych oczu niebieski będzie dobry. Taki mocny, trochę wpadający w szmaragd. A garnitur to może w brązach?

– A może by tak coś czerwonego? – ośmieliła się wtrącić Monika.

– Czerwonego? – Teresa aż odłożyła sztucce. – Ty wiesz... – Popatrzyła na nią jak na przybysza z kosmosu. – Ty to masz łeb. – Pokiwała głową z uznaniem. – Zrobimy tak: garnitur czarny, a do tego czerwona bluzka. Kupimy dwie białe, czerwoną i może beżową. Albo jakąś w jeszcze innym kolorze. Zobaczymy, co będzie. Do tego koniecznie pantofle. Przy twoim wzroście obowiązkowo na płaskim obcasie. – Teresa zupełnie nie liczyła się z tym, że Monika marzyła o czółenkach na wysokiej szpilce. Nie wiedziała o nim, było to bowiem jedno z pragnień, których nikomu nie powierzyła. Wstydziła się, że przy takim wzroście marzy o butach na wysokim, jak najwyższym obcasie. – Bielizna może jaka? – Teresa popatrzyła na synową z powątpiewaniem. Widziała czasem jej sprane gacie i praktyczne, pozbawione koronek staniki. – Co powiesz?

– Nie chciałabym cię naciągać... – zaczęła, udając skrupowanie.

– A tam, przesądzone. Wybierzemy też bieliznę. Od razu jutro, zanim w październiku zacznie się uczelnia. Potem znów nie będzie cię w domu.

– Tak, super. – Monika pokiwała głową nad deserem. – *Tak. Tak będzie dobrze* – pomyślała z satysfakcją, że osiągnęła zamierzony cel.

W poniedziałek koronka łaskotała ją w pierś. Jednak świadomość istnienia eleganckiej bielizny, prześwitującej lekko spod bluzki, była elektryzująca. Monika nie sądziła, że byt tak bardzo określa świadomość. Od tego dnia do sekretarki zwracała się już z jawną wyższością, której jednak trudno było zarzucić arogancję.

Do tej pory dziewczyna była neutralna. Nikt jej nie lubił, bo tak naprawdę nie dostrzegał. Monika jak Monika. Jej obecność wyrażała się w stopniu wypełnienia kuwet pocztowych. Pisała dziesiątki procedur, zarządzeń i innych dokumentów, po czym wkładała do kuwety każdemu, kto nie protestował wystarczająco głośno. Jej nieobecność skutkowałą proekologicznym wykorzystaniem papieru; poza tym – nie była zauważalna. Odosobniony w tej opinii był tylko szef, zainteresowany wyręczaniem się nią.

Od dnia zmiany bielizny Monika stała się zauważalna. Chodziła prosto, mówiła głośniej, używała tonu nieznoszącego sprzeciwu. Można powiedzieć: „czy byłabyś uprzejma zrobić...” w taki sposób, że nikt nie ma ochoty być uprzejmy. Tak mówiła Monika. Od tego też dnia codziennie nosiła garsonkę lub garnitur. Czasem – niby dla żartu – zakładała krawat. Stylizacja, na którą dało się nabrać tylko kilku zapatrzonych w wyniki sprzedaży facetów. Koleżanki z pracy nie miały wątpliwości, że wytyczyła sobie ścieżkę przez męski świat i na zawsze opuszcza dziedzinę kserowania dokumentów, przygotowywania paczek do wysyłki i parzenia kolejnej kawy.

Podczas ostatniego semestru studiów Monikę absorbowano już tylko seminarium. Pisała pracę, uczyła się angielskiego, pracowała. Ciągle też przecierała szmatką parapety, jednak już coraz rzadziej. Nieczęsto widywała się też z mężem, który przebywał prawie wyłącznie poza domem, co wywoływało znacznie gwałtowniejszy protest Teresy niż Moniki.

– Daj spokój. – Opędał się od matki. – Pracy dużo mam. Awansowałem, wiesz przecież.

Robert całą swoją energię włożył w pracę. Wygryzł całą konkurencję, nie zawsze grając fair. Ograniczył picie, przynajmniej z pracownikami. Odbijał sobie czasem samotnie, w barze na drugim końcu miasta, w którym umówił się z barmanem na odwózkę do domu i zapłatę z góry.

– Robert wziął się w garść – komentowali współpracownicy.

Pracował coraz więcej i dłużej, tyle samo wymagał od podległych mu ludzi. Powrót do domu sprawiał mu przykrość. Żona powinna czekać na niego w domu, pogłaskać, wysłuchać, przytulić. I może nawet nie trzeba by nic więcej. A tymczasem żona wracała razem z nim lub później, a zamiast miękkiego podkoszulka miała na sobie garsonkę – jak jakąś zbroję. Do tego nie rozmawiała z nim, nie słuchała, wykonywała tylko od czasu do czasu jego prośby, traktując je jak polecenia. Robert złościł się i odreagowywał w pracy.

– Już ja tam znam tę twoją pracę – zrzędziła Teresa. Wyręczała w tym Monikę, której nic to nie obchodziło. Nie odczuwała ani obecności Roberta, ani jego braku. Pewnego wieczoru, była wtedy sama w domu, spaliła w kominku wszystkie listy, także te pierwsze, pisane na kartkach wyrwanych z zeszytów. Pomięte niebieskie koperty ze znaczkami za pięć złotych z głowami wawelskimi albo z dziewczyną w wianku, albo za dychę, z młodzieńcem w kapeluszu. Niezdarne słowa, krzywo zapisane, zasuszone wspomnienie pierwszych objęć.

Mama pozwoliła mi pojechać z koleżankami do kina, widziałeś ten film?

Ja go oglądałem na wideo, wiesz, co to wideo? Kupili mi ostatnio rower, też coś, motorynkę chciałem.

Ja to bym rower nowy chciała, mój już pordzewiał. Ale motorynką to niebezpiecznie, Robercik ty mój... Bardzo było miło, kiedy przyjechałeś. Kiedy znów przyjdziecie?

U was jest najlepiej, zawsze będziemy przyjeżdżać.

Bo jak ty byłeś, to tak mi się ciepło robiło...

I chciałbym, muszę ci to wyznać, chciałbym cię pocałować. Jesteś wspaniała...

Tęsknię za tobą, przyjedź do mnie znowu...

Słowa w listach paliły się, żarłocznie zjadane przez ogień. Monika wyciągnęła ręce nad płomieniem – zgasł, zanim na dobre rozkwitł. Umarł tak jak ich miłość, która nie zatliła się dość, aby wzniecić jakikolwiek pożar. Odrobinę popiołu sprzątnęła gospoia, niemy świadek wszystkich domowych występków, błędów, braku namiętności i grzechów nieobecności.

Monice odpowiadała nieobecność Roberta. Nawet wołała, jak go nie było. Niczego nie chciał, nie śmierdział testosteronem ani wódką. Podchmielony wchodził czasami na piętro w samych skarpetkach, skradał się do własnego łóżka, gdzie przykrywał Monikę śmierdzącym oddechem, poplamionym sosem ubraniem i przepoconymi włosami. Po prostu znosiła to. Najgorzej było, gdy kazał się całować, brać penisa w usta i pieścić – Monika chciała wtedy gryźć, gryźć, aby odgryźć, ale nie miała odwagi. Jej nienawiść ostrzyła wtedy grot – była skierowana w nią samą, traktowała więc seks z Robertem jak karę. Za całą siebie, za nic, za wszystko, za nieznanne i zawinione. Za czyste myśli też.

– Kochaj mnie, kochaj – mówił wtedy Robert w pijanym widzie, oczekując, że pojawi się siano, zapach ciepła i znane, choć już nieco zakurzone uczucie jedności. Ono jednak odeszło na zawsze, spalone w kominku, zgaszone brakiem żaru, bez którego nic nie może trwać. Monika doprowadzała go do ekstazy, której się wstydził. Uwielbiał ciało swojej żony, chudej, wysokiej, wzbudzającej zazdrość innych mężczyzn jak pierwszoligowa modelka. Wstydził się tego, dlatego szukał kobiet mocnych i okrągłych, z wypukłościami jak arbuzy. Monika nigdy nie dowiedziała się, jaką władzę mogłaby mieć nad mężem – on wstydził się mówić, ona – słuchać. Pozwalała więc brać się i jego brała tam, gdzie kazał, a kiedy Robert już usnął, od razu, głęboko oddychając, szła do łazienki i długo zmywała z siebie zapach potu, wódki; jego zapach, znienawidzony, a może tylko obojętny.

Szorowała skórę aż do bólu, ostra myjka pozostawiała krwiste rysy na bladym ciele, ukrywane przez Monikę pod ubraniem. Codziennie depilowała wszystkie możliwe miejsca, chciała być czysta i nieskalana – tylko po to, aby samotnie zachwycać się gładkością. Stawała przed lustrem, patrzyła na zgrabne ciało, gładkie i jedwabiste, i mówiła sobie: – *Ty szmato, jesteś nikiem. Musisz się starać. Jesteś*

zerem, jesteś... – potrafiła długo wymyślać, patrząc z wrogością w odbicie, które ukazywało młodą kobietę z wykrzywionymi ustami i pierwszymi nienawistnymi zmarszczkami wokół oczu.

Męczyła się z własną niezgodą na świat i samą siebie. Była skryta, dlatego nikt o tym nie wiedział. I nikomu nie przeszło nawet przez myśl, że ta pewna siebie, niesympatyczna kobieta jest bombą autonienawiści, że ta śliczna dziewczyna potrzebuje prawdziwej pomocy. Skoro nikt nie śpieszył jej udzielać, Monika postanowiła pomóc samej sobie.

– *Potrzebuję nowych wyzwań – rozmyślała, siedząc przy biurku po wykonaniu wszystkich zadań. Poukładała papiery i zdołała pokłócić się z dwiema osobami. – Niczego tutaj już nie osiągnę. Muszę coś zrobić.*

To „coś” krążyło w niej przez kilka miesięcy. Przygotowywała się do wielkich zmian jak do skoku na bank. Nieustannie kalkulowała szanse i szukała rozwiązań; wcale nie przychodziły jej łatwo. Odrzucała kolejne możliwości, uznając, że są poniżej jej poziomu. W międzyczasie Teresa zdołała znów wyciągnąć ją na zakupy. Tym razem realizowały scenariusz wieczorowy.

– Wyobraź sobie – powiedziała któregoś dnia Teresa do synowej, która właśnie wchodziła do domu – że wreszcie starszy syn mojego brata się żeni. Stary koń, powinien mieć już odchowane stadko – dziewczyna drgnęła, ale teściowa tego nie zauważyła – a on ciągle z kwiatka na kwiatek. Wiesz, nas to bardzo obchodzi, bo to i rodzina, i mój brat miał zmartwienie, a poza tym ci młodzi prowadzą firmę, która w połowie jest nasza. Ale nic to – trajkotała bez przerwy, podeksytowana nowiną – już za kilka miesięcy ślub. Pewnie jesienią. Wyobrażasz sobie?! Musimy obmyślić odpowiednie kreacje. Co powiesz na ciemny fiolet? – Teresa w końcu pozwoliła sobie wziąć głębszy oddech.

– Dla mnie? – otrząsnęła się Monika, która słuchała nieuważnie. Weszła w krainę Adasia i musiała mocno się skupić, żeby zrozumieć, o co pytała ją świekra.

– No a dla kogo, przecież nie dla mnie. Ja muszę w jaśniejszym, ciemny mnie postarza. Ale dla ciebie – fiolet idealny! Wyobrażam sobie suknię odcinaną pod biustem, na staniku gęsty, taki gruby, jednobarwny haft, spódnica do ziemi, w miękkie fałdy, podszewka bordowa, prześwitująca spod spódnicy. Może być? – Teresa przesunęła w jej stronę najnowszy magazyn otwarty na kolorowym zdjęciu.

– Ładna. – Monika pokiwała głową z uznaniem. – Ale nie nazbyt strojna jak na wesele?

– A tam. Wesele to wesele, na co się mamy stroić? Poza tym, przecież ty się niedługo bronisz! Dziewczyno! Nie możesz pójść na obronę w byle czym!

Monika uśmiechnęła się. Nie miała złudzeń – tekstylna pasja Teresy, która przejawiała się w nieustannym planowaniu nowych kreacji dla synowej była całym jej życiem, a Monika tylko pretekstem do kolejnej wizyty w sklepie. Teresa uwielbiała ciuchy, kochała się ubierać, przebierać i nigdy nie przechowywała niczego w szafie dłużej niż dwa sezony. Monice ubrania były potrzebne jako maski. W głowie miała już ułożony scenariusz.

Po obronie pójde do szefa na rozmowę. Nowe ciuchy nie zawadzą. Muszę jednak przekonać Teresę, żeby nie były wyłącznie wieczorowe.

I kiedy pojechały na zakupy, Monika ucieszyła się, że wybrana suknia nie była dostępna. Na wieszakach błyszcząły inne cuda – ale nie ta. Na pocieszenie kobiety kupiły więc kolejną garsonkę, czerwoną marynarkę z czarną spódnicą, które stawały się kompletem dzięki pasującym lamówkom, i jeszcze dwie bluzki, koszulową w cytrynowym odcieniu i klasyczną śnieżnobiałą. Na obronę pracy magisterskiej Teresa uparła się na coś specjalnego, stanęło na płaszczonej sukience z brązowej, cienkiej wełny, w której Monika wyglądała jak pani prezydent.

– Kupować ubrania dla ciebie to czysta przyjemność – wzdychała Teresa. – We wszystkim wyglądasz tak... tak rasowo.

Ta to ma talent krasomówczy. Rasowo, jak klacz – chichotała w duchu dziewczyna.

Jednak rzeczywiście wyglądała znakomicie. Tym piękniej, im gorzej się czuła.

Monika kończyła pisać pracę magisterską. Jej promotor nie przebąkiwał już o doktoracie; uznał, że studentka jest bystra, ale nie aż tak inteligentna. Widział ją bardziej jako pracowitą karierowiczkę niż błyskotliwego pracownika naukowego, ale ona wcale nie liczyła się z jego oceną. Nawet nie zauważyła, że z pierwotnych doktoranckich planów nic już nie zostało i nikt za nimi nie tęsknił. Promotor zyskał świeżą wizję i teraz już chciał tylko, żeby Monika napisała pracę, obroniła ją i znikła mu z oczu. Drażniła go uroda. Myśl o niej unosiła mu spodnie wokół rozporka w najmniej oczekiwanych momentach.

Podeszła do obrony najszybciej, jak to było możliwe. Ustaliła termin, ubrała płaszczową sukienkę, w której było jej za ciepło w majowy dzień. Kamienne mury uniwersytetu chłodziły, Monika przypomniła sobie obronę licencjatu.

Jak nazywał się ten chłopak? Daniel? Nie, Damian. Tak, Damian. Pewnie bym go teraz nie poznała.

Razem z nią broniła się jeszcze piątka studentów. Jak i poprzednio, Monika weszła pierwsza. Pytania były formalnością, wszyscy profesorowie szybko się zgodzili – piątka i idziemy się czegoś napić. Było gorąco.

Nawet nie zdążyłam się zdenerwować.

Usiadła na tej samej ławce co kiedyś, tłum studentów przelewał się po korytarzach.

Z czego oni się tak cieszą?

A jednak roześmiała się po wyjściu. Gorzko.

Nikt na mnie nie czeka. Nikt nie zwrócił uwagi ani na sukienkę, ani na spływające pod nią strużki potu, ani na mnie. A ja jestem magistrem! Magistrem! Muszę to uczcić.

Szła Nowym Światem, wystawiając twarz do słońca.

Te trzy litery przed nazwiskiem otwierają drogę do mojej przyszłości. Do międzynarodowej kariery w szklanym wieżowcu i własnego, narożnego gabinetu z puszystym dywanem. W coś trzeba wierzyć – uśmiechnęła się mimowolnie.

– Monika? – potrącił ją jakiś chłopak.

– Tak, przepraszam – powiedziała machinalnie i ruszyła dalej. Raptem zatrzymała się, odwróciła. – Niemożliwe, to nie możesz być ty. Skoro nawet nie pamiętam, jak wyglądasz! – wykrzyknęła.

– Ja też nie, pewnie dlatego cię rozpoznałem. – Zażartował. Spojrzał na nią uważnie. – Zmieniłaś się.

– Nie oglądaj mnie jak na wystawie. Pewnie, że się zmieniłam. Widziałeś mnie ostatnio mdlejącą z wielkim brzuchem.

– Jak mały? – zapytał Damian.

Monika przygryzła dolną wargę. Popatrzyła chłopakowi w oczy.

– Nie żyje.

– Przepraszam – zachłysnął się powietrzem i zamilkł. Stali tak w ciszy, wokół przechodzili ludzie, tłum ludzi. Zatrąbił autobus, z pobliskiej knajpki wyszła grupa hałaśliwej młodzieży.

– Napijesz się kawy? – zaproponował w końcu.

Kiwnęła głową. Przeszli jeszcze kilka kroków, zdecydowali się na Bliklego. Marmurowe zielone stoliki dawały chłód. Poza zamówieniem złożonym kelnerce nie padło między nimi ani jedno słowo. Dopiero gdy mocna, aromatyczna kawa stała przed nimi, Monika zdecydowała się odezwać.

– Jesteś pierwszą osobą, której tak po prostu to powiedziałam. Dziecko miało wadę genetyczną, urodziłam je wiedząc, że nie będzie długo żyć. To był Adaś. Był ze mną dwa dni. Umarł, ale... czasami ciągle ze mną jest.

– Przepraszam.

– Skąd mogłeś wiedzieć? – przerwała mu. Starła się być spokojna, ale ręce drżały jej tak mocno, że strąciła talerzyk z ciastkiem z mikroskopijnego stolika. Podbiegła kelnerka, Monika zrezygnowała z sięgnięcia po następne.

– Te stoliki są tak małe, że nie ma jak oprzeć łokci – zaśmiała się nerwowo.

– Czym więcej stolików, tym więcej gości, kasa leci – skwitował Damian.

– Nie potrafię mówić o synku, wybacz. Powiem ci za to, że masz jakiś dar. Poprzednio spotkaliśmy się po mojej obronie licencjatu. Teraz właśnie zostałam magistrem. Godzinę temu.

– Musimy to uczcić! Mineralną i dwie słomki proszę!

Monika dawno się tak serdecznie nie śmiała.

– Często tu bywasz?

– Pracuję w pobliżu, w jednym z banków.

– Nie wyglądasz jak bankier.

– Boże broń, nie jestem bankierem. Żadnych skórzanych teczek i lustrzanych odbić w butach z cielęcej skóry. Pracuję jako informatyk. A co ty robisz?

– Wstyd się przyznać. Jestem asystentką. Taką lepszą sekretarką.

– Ale chcesz to zmienić?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Przecież po coś studiowałaś.

Monika zastanowiła się.

– Tak. Pewnie. Mam jakieś tam wyobrażenie... ale nie wiem jeszcze, co z tego wyjdzie. Nie chcę zapeszać.

– Nie musisz mówić. Za to ja muszę pędzić, przepraszam cię, wyszedłem tylko na lunch. Odprowadzę cię do autobusu.

Szli wolno w tłumie, po prostu oglądając Nowy Świat. Na przystanku Damian zapytał: – Zadzwoisz?

– Zadzwonię.

Podał jej wizytówkę.

– A... mogę ja zadzwonić?

Wyciągnęła z torebki i wręczyła mu własny kartonik, nawet na niego nie spojrział, patrzył Monice w oczy.

– Do zobaczenia – powiedział, gdy podjeżdżał autobus. Od razu odwrócił się i odszedł.

– Do zobaczenia – wyszeptała już w autobusie. Stała przy tylnej szybie i bezskutecznie próbowała na powrót odnaleźć Damiana w tłumie.

Na placu Wilsona stanęła przed Bliklem.

Drugi raz w cukierni? Dlaczego nie, to dobry dzień na taką rozpustę.

Skierowała się w stronę drzwi, ale zaraz przystanąła.

To droga przyjemność – pomyślała. – Lepiej, żeby zapłaciła Teresa.

Po co Monika oszczędzała – sama nie wiedziała. Nie musiała już płacić czesnego za studia, zarabiała

coraz lepiej, często wpadały premie. Jednak – oszczędzała. Nie tyle pieniądze, co przyjemności, na które we własnym mniemaniu nie zasłużyła. Wiedziała, że na krzeselku w cukierni znów usiądzie kilkuletni Adaś.

Teresa sama zaproponowała uczczenie magisterium synowej. Spacerem dotarły na plac Wilsona, odwiedzając Bliklego i jego różane pączki. Adaś siedział obok, ale w obecności babci, której nie poznał, nie miał odwagi się odzywać.

Monika obroniła się w czwartek. W piątek szef był w delegacji, na wielką rozmowę miał przyjść czas w poniedziałek. Weekend spędziła w doskonałym nastroju, pomagając gospodyni w kuchni, co Teresa kwitowała uśmiechem. Teść jak zwykle niczego nie zauważył. Robert był na kolejnej delegacji.

Monika założyła najlepszą bieliznę, cienkie jak mgiełka pończochy i jedyne buty na obcasie. Zaplanowała rozmowę zaraz po lunchu, kiedy zwyczajowo wraz z szefem omawiali bieżące sprawy, rozwiązywali ewentualne problemy i ustalali plan działania na najbliższe dni. Kiedy wszystko było już załatwione, Monika powiedziała z uśmiechem: – Chciałabym prosić jeszcze o chwilę rozmowy.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedział szef. Nie chciał poświęcać jej więcej uwagi, niż to było absolutnie konieczne. Tego dnia miał zaplanowaną partię golfa, podczas której zamierzał omówić ważny interes. Chciał się dobrze przygotować do tego spotkania.

– Proszę o zmianę zakresu obowiązków – przeszła do sedna Monika. Brak wiary w siebie kamuflowała podniesioną głową i szczególną artykulacją – każdą końcówkę wyraźnie przeciągała. Uniesione wysoko brwi szefa denerwowały ją. Mówiła coraz głośniej, niemal piskliwie. – Tak, chciałabym przenieść się do działu handlowego. Obecne obowiązki przestały być dla mnie rozwijające. W ubiegłym tygodniu obroniłam magisterium, dyplom będę miała za kilka dni, niemniej już teraz wolę o tym porozmawiać. Chciałabym jeździć po Polsce i załatwiać interesy, rozmawiać z klientami, prowadzić samodzielne projekty – na koniec zdobyła się na uśmiech.

Zapadła cisza. Brwi szefa sięgnęły nasady włosów. Rozważał dostępne opcje. Poznał Monikę lepiej, niż jej się wydawało. Oceniał ją jako zakompleksioną i niepewną siebie. Poza tym potrzebował jej na miejscu – była bystra, szybka, wykonywała polecenia nie tylko bez zbędnej zwłoki, ale także wносиła coś wartościowego od siebie, przejawiała inicjatywę, co rzadko zdarzało się u asystentek. Odpowiedział bez uśmiechu:

– Nie nadajesz się na handlowca. Nie spełnię twojej prośby.

Monika wyszła z gabinetu, nie okazując emocji. Uśmiechała się, czując lód pod spoconą skórą. Wyjątkowo grzecznie odpowiedziała koleżance, która skomentowała jej zachowanie za najbliższymi drzwiami: – Taka była miła, pewnie ma okres.

Tego popołudnia powinna zapłacić za następny kurs angielskiego, ale nie zrobiła tego. Wróciła prosto do domu. Teresa była na zakupach, Robert w pracy, a teść pojechał do szwagra w sprawie rozliczeń. Gospoia w ogrodzie, razem z ogrodnikiem narzekała na tegoroczne warzywa, za małe ogórki i zbyt blade pomidory. Monika przestudiowała największy portal pośrednictwa pracy. Przerobiła swoje CV i rozesłała w piętnaście miejsc. Kolejnego dnia odpowiedziała na dziesięć ofert. Interesowały ją wyłącznie posady handlowca. Żadne recepcje, sekretariaty – chciała wyjść do ludzi. Firmy bały się zatrudniać młodą kobietę bez doświadczenia handlowego. – W ciążę taka zajdzie i tylko kłopot będzie – mawiali do siebie potencjalni szefowie w zaciszu gabinetów. Dlatego musiała uzbroić się w cierpliwość. Udało się po czterech miesiącach – dzięki koledze, który podziwiał Monikę, jej aspiracje i to, że była pracowita. Bardzo mu się podobała i liczył na czułe „dziękuję”, ale szybko porzucił płonne nadzieje. Jak tylko podpisała umowę, zapomniała o nim, o dziękuję, i nawet o zawiadomieniu dotychczasowego szefa. Wypowiedzenie złożyła w kadrach, następnego dnia poszła na zwolnienie lekarskie.

Wspomnienie Moniki wywoływało potem równocześnie furię i żalność przełożonego. Wiedział, że źle ocenił sytuację. Nigdy już nie znalazł pracownika, z którym rozumiałby się tak dobrze. Tamta asystentka potrafiła odgadnąć jego myśli, ubrać w kulturalne słowa chamskie pismo i podjąć odważną decyzję tam, gdzie on zadreślał się wątpliwościami. Razem z nią przeminęły najlepsze lata jego kariery.

Monika poszła do nowej firmy, nie mówiąc nic w domu. Po prostu zapomniała. Dostała dwukrotnie wyższą pensję, służbowy samochód – na początek clio, ale do wyłącznego użytku – i telefon. Zaczęła wyjeżdżać, ku zdziwieniu Teresy i wściekłości Roberta.

– Monika, co się stało? – zapytała któregoś dnia teściowa.

Ta roześmiała się samymi ustami, niby serdecznie, ale z lodem w oczach.

– Przepraszam, jakoś nie było okazji... zmieniałam pracę. Dostałam awans, samochód, komórkę. Dasz się zaprosić na kawę?

Teresa na kawę poszła, ale w kiepskim nastroju.

Nie było okazji? – myślała. Kawę wypily u Bliklego, tym razem zamiast ciastek zjadły bliny. Monika miała opowiedzieć o nowej pracy, ale skończyło się na kilku podstawowych informacjach. Mówiła, jak zawsze, Teresa.

Dopiero kilka dni później zadała kilka pytań. Postawiła na stole karton pełen pączków i ciastek francuskich ze śliwką.

– To jak jest z tym twoim awansem? – zaczęła od niechcienia. Było sobotnie popołudnie. Gospoia posprzątała już po obiedzie, nadszedł czas na kawę. Wczesna wiosna pukała do okien, pogoda i pierwsze

podpisane kontrakty dobrze nastroiły synową.

– Nie o to chodzi, że bycie asystentką to ciężka praca – mówiła – ona taka jest ze względu na ludzi, nie obowiązki. To ludzie są upierdliwi, złośliwi i zazdrośni – opisywała kolegów własną miarą. – Poza tym chcę robić coś nowego, sprawdzić się. Odbierając grzecznie telefony, nigdy nie wyszłabym poza sekretariat, musiałam coś z tym zrobić. Ciuchy już mam – zaśmiała się.

Patrzcie, patrzcie – myślała Teresa – *wiocha taka, a jak się wyrobiła*. – Całe szczęście, że je masz – też się uśmiechnęła. – Bez nich nie miałabyś prezencji. Ale przydałoby ci się przytyć. Jak patyk jesteś.

Monika знаła opinię teściowej. Na co dzień po prostu nie czuła głodu. Była poza tym wybredna, byle czego nie jadła. Stąd też nie stołowała się na mieście, nie chodziła na lunchy, nie kupowała kanapek. Lubiła bardzo kuchnię gosposi, ale po całych miesiącach niejedzenia żołądek pozostawał skurczony. Skubała więc tylko odrobinę.

– Opowiedz, co robisz w tej nowej firmie – drażyła Teresa.

– Mam stanowisko, które nazywa się Key Account Manager. To zwykły handlowiec, takich Key Accountów jest tam kilkunastu.

– Czyli co dokładnie robisz? – kobieta gubiła się w angielskich nazwach; potrzebowała ludzkiego „kawa na ławę”. Monika tłumaczyła zawile, zmuszała rozmówczynię do próśb o wyjaśnienie. Bawiło ją to.

– Po polsku mówimy Kierownik do spraw Kluczowych Klientów, ale wiadomo, kluczowi nie mogą być wszyscy. Każdy z nas ma do wykonania pewien obrót, sprzedaż. Kto wyrobi limit – dostaje premię. Kto go regularnie nie wyrabia – traci pracę. Proste jak drut.

– To dlatego ciągle wyjeżdżasz? Żeby wyrobić limit?

– Trzeba się mocno starać. Jeździć po klientach, rozmawiać, przekonywać. Ale to nie koniec. Potem trzeba pilnować, żeby zapłacili na czas i jeszcze myśleć o następnych zamówieniach. Więc trzeba jeździć i pomagać. Tak to się kręci – podsumowała, wkładając do ust kawałek ciastka. Smakowało jej, dawno nie jadła z taką przyjemnością.

– Ja to już się nie orientuję w takich sprawach, ale wygląda na to, że się tam odnalazłaś? – Teresa popijała kawę, kręcąc głową.

Monika przytaknęła z pełnymi ustami.

– Dużo tam można jeszcze osiągnąć.

– To znaczy?

– To duża firma.

Teresa przyglądała się synowej. – Czyżby nagle zaczęła być ambitna? – zastanawiała się.

Do kolacji już niewiele rozmawiały, oglądając tylko nowe żurnale.

Jesień zrzuciła na ziemię kolorowe liście, zgasiła kwiaty na rabatach i okryła ludzi kurtkami. Grzbiet Moniki przykryty był eleganckim płaszczem, spod niego wystawały gustowne ubrania. Nawet dzinsy nosiła markowe.

– Nie musi wydawać na dom, męża, dzieci, to ją stać – syczały koleżanki.

– Ależ ona ma klasę – rozmyślali koledzy, łącznie z nowym szefem, który bardzo szybko stał się Łukaszem.

– My tutaj wszyscy mówimy sobie na ty – zagaił pewnego dnia, krótko po rozpoczęciu przez Monikę nowej pracy.

– Miło mi – skupiła się, żeby – ściskając jego rękę – uśmiechnąć się trochę pełniej, żeby poza ustami coś jeszcze w jej twarzy poruszyć. Prawie jej się udało.

Jesień coraz bardziej skracała dni, tylko czasami jeszcze rzucając ochłap słońca i pozwalając złapać jego ostatnie promienie w zmarznięte twarze chowające się w szalikach. W takie dni Monika wychodziła w południe, teoretycznie na lunch. Szła wtedy ulicą w rozpiętym płaszczu, kręcąc seksownie biodrami i pokazując nogi odcięte wysoko ponad kolanami kusą spódnicą. Łapała męskie spojrzenia, zapisywała je w pamięci, a potem w nocy rozkładała jak talię kart. Rozmyślała o imionach mijanych mężczyzn, o ich ciałach i okrzykach, jakie mogli wydawać w uniesieniu.

A może ten milczy zupełnie? – rozmyślała. – *To nie fajne. Facet musi choć jęknąć.* – Potrafiła długo obracać w myślach tych chłopaków, mężczyzn; czasem śnili jej się, ale z Robertem kochać się nie lubiła i nie chciała. Obcy był zawsze dobry, mógł dotykać delikatnie lub gwałtownie, nie przeszkadzało jej to. Mąż nigdy nie potrafił zrobić tego właściwie ani nawet odezwać się w odpowiednim momencie; w ogóle nic.

Monika brylowała w pracy, postanowiła też zabłysnąć na zbliżającym się weselu. Sukni nie udało się kupić, ale Teresa знаła doświadczonych krawcowe. Jedna z nich podjęła się uszycia kreacji z ręcznie haftowanego materiału. Wykończenie też było ręczne. Tkaniny Teresa sprowadziła z Wenecji – nic rodzimego jej nie zadowoliło. Dla siebie wybrała długą prostą suknię z przydymionego różem jedwabiu, zręczny fason kilkoma cięciami ukrył wystający brzuch. Jedyнным błyszczącym elementem były szare wstawki na różowym bolerku. Na tle otyłych kuzynek i pomarszczonych ciotek Teresa będzie wyglądała jak dwudziestolatka. A kiecka Moniki była jak z kolekcji haute couture – wyglądała w niej po prostu zjawiskowo.

Mierzyły kreacje przed wielkim lustrem w sypialni teściów, obracając się w takt niesłyszalnego walca. Fałdka, nie, trzeba tylko wygładzić, tu nie leży, ależ skąd, leży doskonale, perfekcyjna jest – trajkotały przy oględzinach sukni. Powtórzyły balet przy drugiej. Jeszcze buty, rękawiczki? Jesień już, trzeba pomyśleć o płaszczu... Dyskutując przez całe sobotnie przedpołudnie, uzgodniły wspólne wyjście na zakupy.

– Tym razem chociaż za rękawiczki ja zapłacę. Nowa praca, nowa płaca.

– Dobrze, dobrze – machnęła ręką Teresa, która i tak, jak zawsze, zapłaciła za wszystko. Dodatki pasowały idealnie, czekały na swój dzień złożone w licznych pudłach. Monika postawiła obu kawę.

Jeszcze dwa tygodnie – cieszyła się w myślach. Wyobrażała sobie pożądliwe spojrzenia mężczyzn, zamierzała się doskonale bawić, tańczyć i uwodzić. Przez chwilę nawet była szczęśliwa. Przypomniła sobie potem, że to miał być tylko wstęp do kary. Pożywka dla nienawiści. Monika wiedziała przecież, że nie zasługuje na żaden podziw, jest tu przez przypadek, niechący udało jej się coś osiągnąć. Musi pamiętać, kim jest, czyli nikim. Zerem w sukni, która nie powinna do niej należeć. Powinna zdobić jakąś piękną i mądrą dziewczynę.

Adaś patrzył zza firanki, coraz rzadziej wychodził do Moniki, a ona coraz gwałtowniej szukała go w sennych marach, czasem zbliżając się do źródła dziecięcego głosu. Nigdy jednak, w żadnym śnie, nie odnalazła swojego synka.

Dzień wesela nadszedł jak każdy inny. Ślub, wesele, radość. Monika przypomniała sobie własne zaślubiny. Ciasne buty, niewygodny gorset, zimny pot. Spoglądała na roześmianą pannę młodą, która wyraźnie dobrze czuła się w kremowej sukni, łagodnie spływającej po zgrabnej sylwetce, bez fiszbin ani odbierającego dech gorsetu. Dziewczyna była wyraźnie szczęśliwa.

Na długo? – zastanawiała się Monika.

Robert obrzucił żonę niechętnym spojrzeniem. Wyglądała przepięknie i okropnie go to wkurzało. Jego kobieta miała być szara i niewidzialna; o takiej opowiadał podczas rodzinnych spotkań, na które nie chciał zabierać Moniki. – Taka ona żona, jak nie żona – mawiał łzawo, zrezygnowanym machnięciem ręki tłumacząc jej nieobecność. Monika w ciemnofioletowej sukni zaprzeczała tym słowom, wystawiała go na pośmiewisko, kpiła z niego. Robert czuł wzbierającą furję, elegancka mucha dusiła go.

– *Ta wieśniara nawet tutaj mnie ośmiesza* – myślał. Trzymał żonę pod rękę i razem rozdawali uśmiechy, ciotki podchodziły, ścisnęły go za rękaw. Udało ci się przywrócić ją do życia, to wspaniale – radowały się. Przed wyjściem z domu nie miał okazji zobaczyć Moniki, w pośpiechu brał prysznic, ubierał się jeszcze, gdy towarzystwo siedziało w taksówce. Gdyby było inaczej, pewnie nigdzie by nie pojechali. Powstrzymałby rodzinę jakimś nagłym skurczem, dusznością, zawrotem głowy.

– Przywiozę ci kawałek tortu – obiecała przed wyjściem Monika gosposi, a ta się ucieszyła. Lubiła odtwarzać smaki i zgadywać dodatki. Komponowała dzieła sztuki, które serwowała niedostrzegającym tego chlebobdawcom.

Na ślubie huczały organy. Pogłos zagłuszał myśli, trudno było się skupić na tym, co ważne, czyli dla każdego co innego. Kreacje kobiet dla Teresy, obecność drugiego syna szwagra dla teścia, ukłony z drugiej ławki, gdzie siedział właściciel firmy, z którą Robert chciał nawiązać współpracę, przysięga dla Moniki. Przed kościołem czekał rząd dorożek, taksówek i limuzyn. Robert wybrał najdłuższą, bo tam wsiadł dyrektor z drugiej ławki. Monika wysunęła się spod mężowskiego ramienia, zanim zdążył to zauważyć, i ruszyła piechotą przez miasto, od restauracji dzieliły ją tylko dwie przecznice. Zbierała podziw przechodniów, zgarniając brzegiem wieczorowej sukni kurz z chodnika i spojrzenia, do których – wiedziała to przecież – nie miała prawa. Duży ruch utrudnił przejazd samochodów, doszła do celu niemal równocześnie ze zmotoryzowanymi gośćmi. To była „jedna z ostatnich ładnych sobót w tym roku”, jak mawiała potem często Teresa, i tłumy zażywały świeżego powietrza na Starym Mieście, kierowcy trąbili, rysując zderzaki na wąskich miejscach parkingowych. Monika, ozłocona gasnącym popołudniowym słońcem, czuła się kobietą. Haft lśnił na piersiach, uwypuklał je, suknia powiewała, dziecko krzyknęło: – Mamo, patrz, wróżka!, a ona czuła w sobie moc.

– Gdzieś ty była? – wycharczał jej do ucha Robert, a ona odpowiedziała ze słodyczą podszytą cyjankiem: – Nie tęskniłeś przecież? Sam nie jechałeś – i już ściskali kolejnych gości.

Och, jak dawno, jak pięknie, co za radość – okrzyki krzyżowały się wokół.

Restauracja była przystrojona w naręczka jesiennych kwiatów, astry kwitły na stołach, na kolumnach, gdzieś prezentowała pióropusz późna hortensja, ale szczyt stołu był ustrojony w skopiowany i powiększony do monstrualnych rozmiarów bukiet panny młodej – białe hortensje, blade storczyki i różowe róże.

Dlaczego moje kwiaty wyglądały tak tandetnie? – zadawała sobie pytanie Monika. Kwietne dzieła sztuki wraz z upływającymi godzinami goście traktowali z coraz mniejszą uwagą. W końcu jeden z wazonów spadł na podłogę, zdeptano bukiet, nikt tego nie zauważył.

W rzeczywistości panna młoda wzorowała się na kwiatkach ze ślubu Moniki. W jej pamięci kościół z pomorskiej wsi był najpiękniejszy – chciała składać przysięgę właśnie tam, daleko od miejskiego zgiełku, ale ani rodzina, ani narzeczony nie zaakceptowali jej pomysłu. Warszawa i już, żadne wiochy nie będą im się plątać w życiorysie.

Panna młoda kochała swojego przyszłego męża z przerwami. Przez kilka lat się uwielbiali, od średniej szkoły począwszy, potem rozchodzili z hukiem i na zawsze, by po kilku miesiącach znów odkrywać wspólne przeznaczenie. Rozstania były burzliwe, powroty spektakularne. Ślub Moniki i Roberta trafił akurat na czas względnego spokoju w ich związku, a potem śnił się pannie młodej jako wymarzony ślub własny.

Pierwsze toasty okraszone były długimi przemowami. Słowne zawijasy stawały się coraz bardziej kwieciste. Każdy kolejny kieliszek poluźniał krawaty, rozpiął koszule i zaludniał parkiet. Panna młoda marzyła o tradycyjnym weselu, o północy więc usadzono ją na krześle i zdjęto welon. Na śliskim parkiecie panny i wdowy się powywracały; materiał złapała pięcioletnia dziewczynka.

Skoro to jest następna panna młoda, to nieprędko będziemy bawić się na następnym weselu – pomyślała smętnie Monika. Mało piła i nie czuła się dobrze, co postanowiła zmienić. Chwyciła kieliszek, szybko go opróżniła, wypiła kolejny i ruszyła na parkiet. Robert już na nim brylował, ale ani razu nie poprosił żony do tańca. Monika odbijała sobie czas podpierania ścian. Suknia wirowała wokół niej, ukazując zgrabne nogi, podczas piruetów unosił się haft, pot spływał ciemnofioletową smugą. Mężczyźni czekali na taniec z nią. Stała się muzyką i ruchem, chwilowym skrzętem rzeczywistości, prawie dotarła do siebie samej, zapomnianej. Robert denerwował się, gdy wirująca żona migąła mu przed oczami to z tej, to z tamtej strony i znowu.

– *Powinna być już w domu, spać zmęczona* – myślał rozdrażniony. Zaplanował około pierwszej specjalną rozrywkę. Dlatego prawie nie pił. Umówił się z dziewczyną kolegi, która jemu już się znudziła, a Robertowi jeszcze nie. – Pierwsza w nocy to fantastyczna godzina na spotkanie – tłumaczył. Zgodziła się, jak sądził, tylko dlatego, że była na weselu sama. On miał podjechać taksówką, odwieźć ją bezpiecznie do domu, a potem miało być jeszcze coś, pozornie niezaplanowane, na które Robert czekał z narastającym podnieceniem. Monika psuła mu plany – jak uciec z wesela, kiedy żona jest ciągle podrywana? Jeszcze rogi mu doprawią. Musiał więc zostać na miejscu i pilnować, żeby mu ktoś nie odebrał jego własności. Przestał wirować, obserwował. Co drugi taniec ten sam adorator ścisnął kibić Moniki, odgarniał jej z twarzy mokre włosy. – *Kto by chciał z takim babsztylem spoconym?* – denerwował się Robert. W końcu nie wytrzymał, wypił kieliszek wódki dla kurażu i wrócił na salę tłumaczyć, że to jego żona i wara.

Złamana ręka adoratora wyglądała dziwnie. Odpruty rękaw, urwana kłapa garnituru Roberta też. Mimo to krzyczał zadowolony: – Wynos się, kurwo, z mojego domu! Dzieci mi nie możesz dać, to czego jeszcze u mnie szukasz? Z wiochy przyjechałaś, na wiochę się wynos! – rechotał po tej przemowie, którą zakończył wesele; goście rozpięzchli się po kątach, po szatniach i w pośpiechu zamawianych taksówkach. Dziewczyna kolegi już dawno odjechała z kimś innym.

Monika usiadła, wstała, usiadła. Teść z synem ułożyli się pod stołem, razem mamrotali do rytmu serc, które stukwały zbyt mocno, zwłaszcza dla starszego z mężczyzn. Nikomu jednak nie powiedział nigdy o problemach z sercem, oszczędzał je w tajemnicy przed Teresą. Mięsień postukał mu jeszcze kilka lat – bez wysiłków, bez podbiegania i bez wzruszeń, bo szkodzą.

Teresa zaprowadziła Monikę do taksówki – jak Ojciec, kiedy wioził ją do ślubu; teraz jechała ze ślubu, od ślubu, od ślubnego daleko, jak najdalej. Dopiero w drodze dotarło do niej, że w poniedziałek rano musi szukać sobie nowego miejsca do życia. Teresa uspokajała ją nieco bełkotliwie: – Robert zapłaci za twoje mieszkanie, nie będziesz za nie płacić, o nie. Nie po to zarabiasz, żeby on miał za ciebie nie płacić.

Teresa nie wstydziła się za syna – było jej raczej wstyd przed rodziną. – *Co ludzie powiedzą?!* – martwiła się. Pomogła dotrzeć do sypialni lekko wstawionej synowej, a potem męczyła się we własnym łóżku, wierząc się samotnie, nieprzyzwyczajona do pustki, zawsze wypełnionej ciałem Męża. *On by pomógł, doradził coś. Powiedział – dręczyła się.* Zapomniała, że Mąż chwilowo niezdatny do niczego leżał koło syna. Zresztą nigdy nic nie mówił, poza oznajmianiem wyników sportowych, dlaczego miałby teraz zmienić ten nawyk? – *Jak sama mam się uporać z takim kłopotem? Taki wstyd, taki wstyd, ośmieszenie dla rodziny. To wina Moniki* – myślała. Monika nie potrafiła chłopca w domu utrzymać. Dziecka nie urodziła, nie potrafiła stworzyć rodziny, zapewnić jej ciepła. Wszystko pod nos podstawione, a ona, proszę, na pierwszym weselu do obcych chłopów się łąsi, a dla męża to nawet dobrego słowa nie ma. Tak, wszystko wiadomo, to Monika.

Ale pięknie się w tej sukni prezentowała – wzdychała Teresa. – *Niech ją sobie teraz weźmie, komu używaną oddam, przepoconą, na taką żyrafę uszytą, chudą i bez biustu w ogóle. Tak, kieckę niech sobie weźmie, ale ona sama musi zniknąć. Nieszczęście mi tu wiocha przyniosła, syn z domu zaczął uciekać, ja wiem, gdzie on się teraz szlaja?* – rozmyślała Teresa coraz bardziej przerażona tokiem własnych myśli. – *Monika musi odejść* – decydowała co pięć minut. Upewniała się w postanowieniu. Powtarzała je. – *Ale czy ona zechce? Dlaczego ma odejść, skoro wszystko tu ma? Po prostu wynajmiemy jej mieszkanie i ją do niego przeprowadzimy. Niech idzie stąd jak najdalej, nie pokazuje się na oczy i nie przynosi więcej nieszczęścia.*

Tuż przed południem do domu zjechali mężowie. Gospodyni przewidziała, że śniadanie może im nie służyć, postawiła tylko kawę.

– Monika – czknął Robert po wypiciu połowy filiżanki. Było mu niedobrze, więc wolał się streszczać. – Doszliśmy z ojcem do wniosku, że wynajmiemy ci mieszkanie i wyprowadzisz się, a potem weźmiemy rozwód.

Teresa spodziewała się czegoś dłuższego. Jakichś słów wyjaśnienia, może obarczających winą. Czegoś, co ustaliłoby hierarchię winy, w niczym niezachwiane grzechy Moniki od samego początku tego cyrku; Moniki wina pierwsza, Moniki wina druga, Moniki wina trzecia, dalsze winy nieistotne.

Oskarżona uznała sprawę za zakończoną. Z półki w przedpokoju przyniosła zapomnianą paczkę. – Przepraszam, pogniotła się. Powinnam włożyć go do lodówki, ale nie miałam głowy. – Monika nie jadła tortu, wyglądał jednak pięknie, i chociażby dla zestawienia kolorów warto było go pokazać gosposi. Uścisnęły się serdecznie. Monika nie spojrzała na męża, gdy szedł w stronę schodów. Nie spojrzała też na Teresę ani na teścia, i dobrze. Nikogo by nie zobaczyła. Schowali się, każde w głąb siebie i nie sposób było ich zobaczyć, ani ich oczu, ani pustki, ani pełni. Nic.

Pakowanie trwało dłużej, niż Monika się spodziewała. Na początku rzeczy najrzadziej używane. Na końcu te, które mogły być potrzebne w najbliższych dniach, zanim znajdą i opłacą odpowiednie mieszkanie. Poszła do pracy, wróciła z pracy, pakowała się, poszła do pracy, wróciła z pracy, pakowała się dalej, i tak przez cały tydzień. Z nikim nie rozmawiała o niczym poza sprzedażą. Wieczorami też myślała o pracy. Gdzie zadzwonić, jakiego klienta zdobyć, jak to zrobić. Dostała służbowego laptopa,

któregoś dnia szykowała ofertę do szóstej rano. Przespała godzinę i poszła do pracy. Klient kupił co chciała i ile chciała.

Mieszkania dla niej szukała Teresa. Nie mogło przynieść wstydu, musiało mieć dwa pokoje i łazienkę, chociaż zamiast kuchni mógł być aneks. Nie mogło jednak być drogie ani położone zbyt daleko. Teresa nie wiedziała, dlaczego chciała mieć Monikę blisko siebie. Tłumaczyła Mężowi – a tak naprawdę samej sobie – że nie będzie dla smarkuli jeździć na drugi koniec miasta, dlatego szuka czegoś w pobliżu. Żoliborz nie jest tani, szukała ponad tydzień, ale w końcu znalazła coś satysfakcjonującego. Piętro w przedwojennej willi, wcześniej podzielonej na dwie części. Dwa duże pokoje miały okna na ogród, mała łazienka była ciemna, wysoka i wąska, z kuchni można było dostrzec obłazącą z farby furkę. Dom, ogród, klatka schodowa i mieszkanie były zaniedbane, ale odpowiednio tanie. *A remont to niech już sobie robi sama.*

Monika nie zamierzała robić remontu. Lekko odrapane ściany, ze śladami po obrazach i zapach zastałego kurzu przypominały jej rodzinny dom – piasek wpadający przez drzwi i pył żniw, wnoszony przez Ojca do domu. Schodził z kombajnu z zapachem suszy na ubraniu, tak to zapamiętała. Woń zeschniętych badyli zamienianych w sieczkę i suchych ziaren, które trafiały do skupu. Stamtąd odbywały długą drogę, by wrócić do nich – jako chleb, mąka na ciasto i racuchy, które Matka jesienią smażyła z jabłkami.

Patrzenie na ogród, choć zaniedbany, sprawiało dziewczynie przyjemność. Rabaty zarośnięte chwastami były jednym zielonym polem, trawnik zdobiły mech i mniszki lekarskie.

Chcę zobaczyć pod oknem żółte pole mniszków – pomyślała. – A potem powyrywam te słońca. Obiecała sobie, że wiosną zadba o ogród. Każe przyciąć leciwe świerki – niektóre suche gałęzie potrzebowały siekiery i silnej męskiej ręki. Zostanie od nowa uformowany żywopłot, który stracił kształt, a cisy ponownie staną się wielkimi kulami. Należy też koniecznie odchwaścić trawnik. Żadnych kwiatków, tylko stare rośliny z patyną zgrubień na gałęziach i prześwitem opadłych liści.

Tu będzie mój dom.

Robert przygotowywał pozew rozwodowy. Obiecał jednak, że będzie płacił za mieszkanie żony.

Już Teresa o to zadba. – Monika była pewna. – Nie z sympatii przecież. Kupi sobie gwarancję, że nie powiem nic, co mogłoby przynieść wstyd „rodzinie”. A wstydu boi się najbardziej.

Monika nie rozmawiała z rodzicami o rozwodzie, to Teresa powiadomiła jej Matkę. Przyjechała z małą kartonową walizką, stanęła pod furtką – nikogo nie zastała. Czekala parę godzin, aż Monika wróciła z pracy, zdziwiona obecnością szarej postaci przed wejściem do jej mieszkania. Przywitały się chłodno. Córka nie chciała rozmawiać, bała się konieczności tłumaczeń. Dopiero po herbacie i kanapkach zorientowała się, że Matka wcale nie przyjechała jej słuchać.

– Córeczko, patrzę na twoje kolorowe życie, i nie mogę znieść myśli, że moje jest takie... sprane – opuściła wzrok na ręce. Monika zauważyła, że dłonie Matki nie były popękane, tak jak zawsze. Paznokcie miała równo spiłowane i błyszczące, pomalowane – to była zmiana. Wielkimi, drukowanymi literami. ZMIANA.

– W sanatorium poznałam pewnego mężczyznę – kontynuowała Matka – przeprowadzam się do niego. Odeszłam od Ojca.

– Jak to, zostawiłaś Ojca?! To niemożliwe! A przykazania? Ślub? Bóg? – Monika wybuchła niedobrym, szyderczym śmiechem. Uraziła tym Matkę.

– Nie kpij – odparła starsza kobieta. – Nie jest mi łatwo. Nie chcę tak dożyć swoich dni. Ty też...

– Chcesz skończyć jak ja – przerwała jej córka – sama w wynajętym mieszkaniu, z pozwem rozwodowym w drodze?

– Ty jeszcze nie skończyłaś – odparła Matka, wstając. Podeszła do okna, w szybie odbijała się jej postać. Monika dopiero teraz zwróciła uwagę na buty rodzicielki, były nowe, ładniejsze nawet od tych,

w jakich chodziła do kościoła.

- To dla ciebie – powiedziała Matka. Wręczyła Monice niewielką paczkę, zapakowaną w pognieciony papier.

- Co to? – warknęła bardziej niż zapytała Monika.

- Zobacz. – Matka wzruszyła ramionami.

- Zobaczę – odpowiedziała Monika, odkładając paczkę na kuchenny stół.

Wszystko zostało powiedziane. Nadzieja Matki obnażyła okrucieństwo Moniki, jednak córka nie podkopała jej wiary. Wieczorem, z lęku przed ciszą, włączyła telewizor – usiadły blisko, znacznie bliżej niż kiedykolwiek. Do Moniki wrócił zapach włosów Matki, wyblakłych na słońcu i potarganych wiatrem, i wina fermentującego w kącie kuchni.

Matka przespała noc u Moniki, następnego dnia tak samo znikła, jak się pojawiła. Pojechała na Ochotę, trzy dzielnice dalej, ale to była daleka podróż. W poszukiwaniu szczęścia, którego nie można znaleźć, jeśli nie nosi się go w sobie. Matka zamieszkała z kimś, kto miał być mężczyzną jej życia. I prawie nim został.

Czy jej wizyta była snem? – zastanawiała się Monika już następnego dnia. Dopiero wtedy sięgnęła po paczkę od Matki. Odpakowała papier, który nosił ślady wcześniejszego używania.

Zawsze tak u nas było – pomyślała. – Zawsze Matka używała ozdobnego papieru po kilka razy.

Oglądała kwadratowe niewielkie pudełko, z początku z niezrozumieniem. Dopiero po kilku minutach przypomniała sobie, że bawiła się nim jako małe dziecko, i był to wtedy przedmiot magiczny, bo zakazany. Pozytywka. Wygrywała nieudolnie *Kołysankę* Brahmsa. Kiedyś Monika zrzuciła ją na podłogę, przestraszona nagłym szelestem za oknem. Od tego czasu pozytywka była lekko rozstrojona, najwyższy dźwięk był odrobinę za nisko, ale Monice to nie przeszkadzało. Potem zapomniała o pozytywce.

Przyszedł jej na myśl Ojciec, sięgnęła po telefon, ale stchórzyła.

O co miałabym zapytać? Czy wszystko w porządku? A może – co się stało?

Dobrze, że nie zadzwoniła. I tak by go nie zastała. Poszedł w cug. A gdy po tygodniu wytrzeźwiał i wrócił do domu, zastał pustkę. Pajęczyny już wisiły w kątach. Zapłakał i znowu poszedł pić. W końcu przygarnęła go szwagierka, dała ciepło – ale zabrała wódkę. Wyprowadziła chłopca na ludzi, tylko po co? Co miał zrobić? Pracować się nie chciało, o dom nikt nie dbał, gospodarstwo podupadało. Matka chciała sprzedać ziemię, pieniądze podzielić.

- Potrzebuję ich na nowe życie – mówiła, a on nie poznawał jej głosu. Obce słowa raniły. Ojcowiznę oddać? Nie wiadomo komu? Ojciec myślał o tym i znowu chciał pić. Szczęśliwie na krechę już nikt nie chciał mu dać.

Monika uznała, że nikogo w pracy nie powinno obchodzić, co się dzieje w jej życiu prywatnym. Właściwie nigdy nie spędzała czasu z nikim poza współpracownikami, i to tylko w biurze, a z firmy wychodziła ze sprzątaczkami. Łukasz coraz bardziej cenił tę ciemnowłosą dziewczynę o wydatnym nosie, która pracowała więcej, uczyła się szybciej i nie narzekała, tak jak inni. Monika wyróżniała się in plus. Szef już po czterech miesiącach postanowił powierzyć jej trudniejsze zadanie. Rozważał różne opcje, żadna nie była dość dobra. Bał się konfliktu w zespole – dziewczyna była najmłodsza stażem, wyróżnienie jej mogło zostać różnie odebrane. A i zadanie musiało być sprytne – ambitne, ale z niewielkim ryzykiem. Takim, żeby ewentualne fiasko nie dotknęło firmy, a wyłącznie Monikę.

Życie samo przyniosło rozwiązanie. Jeden z długoletnich klientów chciał wymówić umowę. Znalazł u konkurencji ofertę o trzydzieści procent tańszą, poczuł się oszukany. Strata klienta była niemal przesadzona, a byłaby dotkliwa, bo wspólne interesy miały korzenie w wielu działaniach. Łukasz zwoływał burze mózgow i obmyślał plany awaryjne. W ich wyniku przeprowadził jeden manewr rynkowy – obniżył ceny.

Monika dostała zadanie samobójcze – zatrzymaj klienta, a dostaniesz podwyżkę. Rozumiała, że czeka ją albo splendor, albo wymówienie. Dwa dni myślała. Studiowała historię transakcji, przeglądała strony internetowe, rozmawiała ze wszystkimi, którzy cokolwiek wiedzieli o kliencie. Trzeciego dnia przygotowała prezentację. Zebrała wszystkie wspólne aktywności, podsumowała historię i zaprezentowała nową wizję. Nawet nie wspomniała o pieniądzach. Pokazała tylko, że współpracą można lepiej zarządzać, i to także w nowych obszarach – skupiła się na korzyściach. Zagwarantowała lepszą, osobistą opiekę nad całością interesów klienta. Dotychczas robił to Łukasz... najwyraźniej źle, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno. Nie wspomniała o tym, że klienta uznano za straconego. Podnosiła rękawicę, w ogóle nie wspominając o jej upuszczeniu. Zupełnie tak, jakby w sklepie odzieżowym zachwalała klientowi garnitur, chociaż szukał koszuli. Ten klient kupił garnitur.

Monika wyszła po trzygodzinnej prezentacji z wielkimi plamami potu pod pachami. Ukryła je pod luźną marynarką. Łukasz, obawiając się porażki, wysłał ją do firmy klienta samą. Po powrocie pogratulował jej, a wieczorem poszli jednak na kolację, zakończoną długim sączeniem drinka, namiętym pocałunkiem i rozstaniem pod furtką Moniki. Oczy Łukasza błyszczały.

Nie mogę bzykać się z własnym szefem – pomyślała.

Łukasz miał minę zbitego spaniela i od tego wieczora dał się prowadzić Monice na smyczy. To jej propozycje były najlepsze, a pomysły najbardziej błyskotliwe. Zespół szeptał, szeleścił – jak trawy usztywnione pierwszymi przymrozkami. Łukasz działał bezmyślnie. Ceny zaczęły spadać, marża też. Firma miała dobre obroty, ale zarabiała mało. To było nielogiczne i wzbudziło zainteresowanie centrali. Przysyłali różnych mądrych, zadawali dużo pytań, nie dzieląc się wnioskami. Niebotycznie wzrosła liczba koniecznych do przygotowania raportów.

Pewnego dnia siedzieli w piątkę w sali konferencyjnej. To była duża sala, na dwadzieścia osób, ale zgromadzeni i tak zaczęli już odczuwać duchotę. Łukasz, Monika, Ryszard – najstarszy stażem, którego Monika wpędzała w poczucie zagrożenia, Andrzej – blondyn bez wyrazu, który mało mówił i robił, ale miał dobre kontakty z klientami, i Oktawia – dziewczyna o mysich włosach i fałszywym uśmiechu. Świeżo po studiach, właśnie dołączyła do zespołu w roli asystentki. Na razie milczała, zbierała wrażenia i wiedzę. Docelowo miała pomagać w przygotowywaniu prezentacji oraz materiałów promocyjnych i spinać wszystkie działania marketingowe. Spotkanie miało dotyczyć tylko największych klientów, stąd wąskie grono, które na sali konferencyjnej siedziało już siódmą godzinę. Za oknami zaczynało zmierzchać.

Monika i Ryszard kłócili się. Pomysł Łukasza z tańszą ofertą odbijał się firmie czkawką, rozeszły się już plotki o ich kłopotach. Dotychczasowi klienci obawiali się, że nie dają rady konkurencji. Nowi podejrzliwie odnosili się do niskich stawek – tak tanio, więc czy może być dobrze? Centrala ciskała gromy.

– Trzeba się z tego pomysłu jak najszybciej wycofać – perorowała Monika, a Ryszard się zgadzał, ale nie chciał się do tego za nic przyznać. Łapał ją za słówka, pokazywał wyimaginowane niekonsekwencje, nawet wypominał jej błędy językowe. Monika wkurzyła się.

– Jak do tej pory, tylko ja mam pomysły. Może ktoś bardziej doświadczony powie coś konstruktywnego? – rzuciła, patrząc Ryszardowi prosto w oczy.

Mężczyzna milczał, błędząc wzrokiem po ścianach. Cisza stawała się dotkliwa. Kiedy już Łukasz chciał zabrać głos, Ryszard dobitnie, akcentując każde słowo, powiedział: – Myślę, że musimy zrobić tak, jak powiedziałaś. Nikt nie wymyślił nic lepszego – zakończył spotkanie, odsuwając hałaśliwie krzesło i wychodząc w półmrok korytarza.

Monika i Andrzej zbierali notatki, zamykali komputery, Łukasz próbował ratować swój autorytet.

– W takim razie postanowione – powiedział. – Dużo czasu nam to zajęło, ale w końcu osiągnęliśmy

konsensus. Jutro spotykamy się o dziewiątej, uzgodnimy szczegóły.

Oktawia wyszła ostatnia. Próbowwała rozgryźć relacje między tymi ludźmi. Zmierzała do tego samego celu, czemu ciągnęli linę w przeciwną stronę?

Monika nawet nie była zła, tylko zmęczona. Zastanawiała się, ile powiedzieć jutro. W najbliższym czasie spodziewali się kolejnej wizyty z centrali.

Może powinnam zostawić najlepsze pomysły na tamto spotkanie?

Po nocy bez snów tak zrobiła. Z samego rana przeprosiła kolegów. – Trochę źle się czuję – powiedziała. – Boli mnie gardło, więc będę mówić mało, i tylko wtedy, gdy się z czymś nie zgodzę. – Bez jej uwag i ripost spotkanie przebiegło szybko, zapisane w kilku punktach bez rozwinięcia. Zdania niosły ze sobą idee bez wizji realizacji.

– W końcu wyszedł z niej człowiek – komentowali koledzy po południu.

– To ona też może być chora? – dziwili się inni. Oktawia przyglądała się.

Łukasz napisał długie memorandum, wewnętrzną instrukcję z opisem planowanych działań. Monika nie wychylała się na spotkaniach. Częściej siedziała za biurkiem, niż stukała obcasami po korytarzach. Długo pracowała – wyszukiwała klientów, żmudnie nawiązywała kontakty, wymyślała specjalne programy. Co miesiąc realizowała swój plan sprzedaży – wśród kolegów zaczęła uchodzić za wiedźmę, która czarami zmusza klientów do zakupów. Nawet Ryszard schodził jej z drogi. Dręczyło go podkopywanie jego niczym do tej pory niezagrożonej pozycji. Był dumny ze swoich osiągnięć. Tworzył firmę od podstaw, razem z właścicielem wymyślili ten biznes, dziś był tu pierwszy po Bogu. W latach dziewięćdziesiątych kręciło się samo. Byli pierwsi, szybcy, otwarci na negocjacje – i osiągnęli sukces za sukcesem. Przyszedł czas na Gazele Biznesu i inne nagrody, często odbierał je Ryszard. Był nie tylko prawą ręką właściciela, po jakimś czasie stał się jego głową. Właściciel mawiał, że firma go przerosła i czas oddać sprawy w ręce młodszych, bardziej prężnych. Ryszard wypinał pierś, pochwały okleiły go, zatkały oczy i uszy, aż dostrzegł, że ci młodszy i prężniejsi to międzynarodowa korporacja, której właściciel odsprzedał firmę. W szczerą rozmowę Ryszard usłyszał, że to dzięki niemu firma osiągnęła tak dobrą cenę. Dostał premię, na jego warunki ogromną, dla właściciela ledwie zauważalną – i musiał odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Dla odróżnienia został Key Accountem. Wszyscy inni byli po prostu handlowcami. Potem Key Account Managerem. A potem przestało mu zależeć. Fuzja firm złamała zapał Ryszarda, który już nigdy nie cieszył się pracą i do końca życia myślał, że wtedy, w latach dziewięćdziesiątych, powinien był założyć własną firmę. Chociażby konkurencyjną. Dzisiaj też balowałby na Seszelach, jak właściciel. Myśl o tym rozlewała się po jego języku dziwnym smakiem. Nie umiał go zmyć ani piwem, ani wódką, ani kawą, ani wodą. Smakował więc tę gorycz, a ona wlewała się w każdy por jego skóry, aż w końcu sam stał się goryczą, żywą jej czarą. Żył w rozstrojeniu – trochę w Polsce, trochę na południowych wyspach, trochę w snach.

Monika, w oczekiwaniu na spotkanie z przedstawicielami holenderskiej centrali, przygotowywała swoje wystąpienie w tajemnicy przed wszystkimi i bez uzgodnienia z kimkolwiek – nie oczekiwano, że młody handlowiec, nawet obiecujący, będzie miał do powiedzenia więcej, niż jego przełożeni. A jednak... Łukasz po wczorajszej kolacji z kolegą ze studiów był lekko skacowany.

– Ostatnie lata to pasmo naszych sukcesów. Odnotowaliśmy znaczne przyrosty zarówno w przychodzie, jak i w dochodzie. Kilka minionych tygodni było dla nas trudne, niemniej udało się już odwrócić trend, ponownie nabieramy rozpędu i zwiększamy przychody. Pozwala to optymistycznie patrzeć w przyszłość. – Łukasz poparł wypowiedź kilkoma slajdami i usiadł, zadowolony.

Monika powiedziała coś zupełnie innego. W ciszy lekko uniosła rękę, nawiązując jednocześnie kontakt wzrokowy z jednym z Holendrów.

– Ja tylko kilka słów... pozwolę sobie uzupełnić wizję, jeśli pozwolicie – zatrzymała się, oczekując

formalnego przyzwolenia. Przedstawiciel zwierzchników gestem zaprosił ją na środek sali.

Zacząła delikatnie, od trudnego rynku i podkreślenia sukcesów z ostatnich lat, aż Łukasz pomyślał:

– Jeśli już musiała uprawiać taki automarketing i koniecznie zwracać na siebie uwagę, powinna mi była o tym powiedzieć. Przynajmniej uzgodnilibyśmy, co ma do powiedzenia. A tak tylko po mnie powtarza. Idiotka.

– Wprawdzie nieźle sobie radzimy ze sprzedażą – perorowała już po chwili Monika – jednak brak nam pewnej ogólnej, marketingowej wizji. Nie wiemy, co chcemy osiągnąć. Potrzebujemy tutaj, w Polsce, pomocy – co zamierza zarząd firmy? Jak powinniśmy podejść do nowych produktów? Czy możemy mieć propozycje własnych, nawet jeśli będą tylko lokalne?

Zadała dziesiątki pytań, wprawiła w oszołomienie Łukasza, przedstawicieli centrali i kolegów. Nie korzystała z notatek. Mówiła swobodnie, jakby ćwiczyła swoje przemówienie wiele razy przed lustrem. Bo ćwiczyła. Czasami zacinała się na jakimś trudniejszym słowie, ale potrafiła znaleźć zwroty zastępcze. Miała już na tyle bogate angielskie słownictwo, że poradziła sobie z każdym zdaniem, które zamierzała wypowiedzieć.

Skonsternowani koledzy gratulowali jej wystąpienia. Łukasz nie. Przedstawiciel centrali także nie, zapytał go tylko, kim jest ta młoda pyskata, a potem wyjechał. Tego wieczora dział handlowy poszedł wspólnie pić. – Będziemy mieli ich niedługo z głowy! Dzięki Monice! – Wznosili toast za toastem. Łukasz z każdym kieliszkiem wierzył w to coraz bardziej. Rozgrzane towarzystwo zbierało się w grupki, część tańczyła, reszta wykańczała kolejną butelkę i siebie. Monika nie piła, następnego dnia jako jedyna była w pracy punktualnie. Tylko ona była w stanie odebrać telefon z centrali i odpowiedzieć na kilka pytań.

Teresę zżerała ciekawość. Pewnego dnia zaczęła się przed furtką Moniki, było jej szkoda, że tak wykreśliła z życia wspólne zakupy i picie kawy na tarasie, i ją całą, chociaż wieśniarę. Zakupów było jej żal najbardziej. Czekala długo. Dopiero późnym wieczorem dziewczyna podjechała pod bramę nowiutkim fordem focusem, wysiadła z niego cała pognieciona i zmęczona, ale w eleganckiej garsonce, której teściowa nie znała.

Z kim teraz chodzi na zakupy? – rozmyślała. Ona nie miała już z kim.

Miesiąc po wyprowadzce Moniki Robert przyprowadził do domu nową dziewczynę. Teresa podejrzewała jej istnienie wcześniej, wygodniej było jednak nie pytać. Kolejna miłość syna miała metr siedemdziesiąt wzrostu i biust, który przeważał sylwetkę do przodu. Lubiła różowe kolory i falbaniaste bluzki. Wprawdzie uwielbiała chodzić z Teresą na zakupy, ale nie potrafiła jej doradzić, a chichot, który nieustannie z siebie wydobywała, przyprowadzał kobietę o częste migreny. Czekala cierpliwie, aż blondi znudzi się Robertowi. Przestała, gdy okazało się, że jest w czwartym miesiącu ciąży.

Wtedy Teresa zaczęła naprawdę tęsknić za Moniką, nawet bardziej niż Matka czy Ojciec. Nie wiedziała, że nigdy nie znajdzie duszy równie jej bliskiej. Będzie tęsknić za Moniką już zawsze, ale przejdzie nad tym do porządku dziennego. Zajmie jej to mniej czasu, niż przyzwyczajenie się do nowego gatunku kawy.

Monika w firmie wyrastała na gwiazdę. Już nie dobrego handlowca, a pracownika z managerskim potencjałem. Dostała nie tylko lepszy samochód, ale także, a może przede wszystkim – znaczącą podwyżkę. Nie wydawała tych pieniędzy. Od czasu do czasu uzupełniała garderobę, zawsze korzystając z metody Teresy – najpierw analiza potrzeb, potem lista zakupów, na koniec ścisła realizacja założeń. Monikę interesowała tylko praca. Nie jeździła na urlopy, nie chodziła na zwolnienia. Przeziębienia i grypy przeczekiwała opatulona wełnianym ponczo przy swoim biurku, pracując nad kolejną ofertą, i jeszcze jedną, i jeszcze. Nie chodziła do kina ani do kawiarni, nie jadała w restauracjach. Wystarczała jej kawa w firmowej kantynie.

Była tak zajęta pracą, że zapomniała o pielęgnowaniu swojej nienawiści. Praca sprawiała jej radość i satysfakcję. Przestała być narzędziem kary, stała się celem samym w sobie. Monika czerpała garściami z firmowej codzienności. Potrafiła zgrabny zwrot użyty przez sekretarkę wykorzystać w rozmowie z klientem. Mądre słówko wtrącić w rozmowie z Łukaszem. Wielu klientów chciało rozmawiać tylko z nią. Była szybka, sprawna, rzetelna. Załatwiała sprawy na czas i doprowadzała je do szczęśliwego finału ku zadowoleniu klientów i Łukasza. Nie miała rodziny, towarzyskich zobowiązań ani ochoty na żadne inne zajęcia poza pracą. Nikt nie mógł jej dogonić, bo wszyscy chcieli pracować, aby żyć, a nie na odwrót.

Monika ani się spostrzegła, gdy minęła jesień, zima i wiosna. Zdążyła zrobić w mieszkaniu mały remont. Spotkała się z właścicielem, wymusiła na Robercie zapłatę za miesiąc z góry, a potem systematyczne opłacanie mieszkania co kwartał. Mąż zobowiązał się płacić jej za mieszkanie przez dziesięć lat, byle tylko dostać szybko rozwód. Teresa nalegała, żeby dzieciak urodził się po ślubie, bodaj cywilnym; nie chciała wnuka bękarta. Monika próbowała wyciągnąć od Roberta ustaloną kwotę jednorazowo, ale pokręcił głową.

– To moja polisa – odpowiedział bez emocji.

Nie zamierzała robić im żadnych kłopotów, wolała pozostawić daleko za sobą Roberta, Teresę, teścia. Przejeżdżała czasem obok willi na żoliborskiej uliczce, kiedyś nawet zatrzymała się na widok gosposi, porozmawiały chwilę, ale do domu nie weszła. Nie chciała wracać, nie miała do czego.

Z perspektywą dziesięciu lat opłaconego wynajmu nie obawiała się dokonać kilku inwestycji. Odświeżyła klatkę schodową, chociaż nie korzystała z niej sama. Lokatorom z parteru jednak odrapane ściany nie przeszkadzały. Wymieniła rozpadające się okno balkonowe, pozostałe poddała gruntownej renowacji. Odnowiła parkiet, ściany pomalowała na ciepły, waniliowy kolor. Wstawiła kilka jasnych, skórzanych mebli – połączyła je z blaskiem szkła na witrynach i stole. W kuchni zostawiła stare meble, miały duszę, zmieniła tylko urządzenia elektryczne. Stal i szkło połączone ze skrzypiącymi drzwiczkami wiekowych szafek były intrygujące.

Lato było w pełni, w biurze głównym tematem stały się urlopy, smutek tych, którzy już wrócili i niecierpliwe oczekiwanie tych, którzy dopiero mieli wyjechać. Monice pracowało się znakomicie. Było mało ludzi, nikt jej nie przeszkadzał, nawet Łukasz. Coraz bardziej wykorzystywała Oktawię. Współpracowały blisko, coraz bliżej. Monika wymagała perfekcjonizmu na swoją miarę, a Oktawia była jak gąbka – chłoneła każde jej słowo. Katalogowała wiedzę – znacznie sprawniej, niż na studiach. Tam tylko zapisywała ją w grubych brulionach; tutaj układała każdą informację w oddzielnej przegródce; stworzyła sobie w głowie specjalną bibliotekę. Była w stanie nadążyć za przełożoną, bo nie miała żadnych zobowiązań poza pracą. Chciałaby wprawdzie czasami wyjść z rówieśnikami, zobaczyć nowy film, napić się piwa – ale Monika osaczała ją, odganiała zdrożną myśl istnienia jakiegokolwiek życia poza firmą. W przyływie dobrego humoru mówiła czasami do Oktawii:

– Chcesz kimś być? Musisz pracować. Jesteś zdolna, jak długo chcesz przygotowywać ulotki i prezentacje? Zrobiłabyś coś konstruktywnego.

Jednak nic takiego dziewczynie nie proponowała. Wykorzystywała jej inteligencję i pracowitość, ale nie zamierzała powierzyć ani jednego klienta, ani jednej sprawy wymagającej pokazania się na zewnątrz. Monika w ogóle nie rozważała takiej opcji. To ona była gwiazdą, asystentka świętą. Nie zamierzała tego zmieniać.

Lato zmierzało ku jesieni. Monika wolała niskie słońce – mniej się pociła i mogła ukryć duże stopy w pełnych butach. W ostatnim tygodniu sierpnia sezon handlowy rozpoczął się zebraniem wszystkich pracowników. Łukasz prowadził spotkanie w swoim stylu, ze swadą roztaczając wizje najbliższych sukcesów. Jak zawsze Monika słyszała tylko słowa bez pokrycia. Strategia, perspektywy, taktyka –

brzmiały pięknie.

To tak, jak ustawa pozbawiona przepisów wykonawczych – myślała.

Jednak nie wypowiedziała ani jednego słowa krytyki. Nie podważała publicznie zdania Łukasza już od dosyć dawna, tak się umówili na kolejnym drinku, po którym doszło do dalszego ciągu. Zaprosiła go do swojego odnowionego lokum; był pod wrażeniem. A pod jeszcze większym już dwie godziny później, gdy pachnący potem, seksem, pościelą, wychodził od Moniki i spieszył do żony. Jego kochanka nie podzielała tego entuzjazmu. Łukasz był miłośnikiem w łóżku, tak samo jak w biznesie, ale potrzebowała go. Miał jej pomagać w karierze; robił to szybciej i sprawniej, niż sam przypuszczał.

Dwa dni później znów przyjechali panowie z centrali. Tym razem niezapowiedziani. Zamknęli się z Łukaszem w jego gabinecie. Po godzinie wyszedł do sekretariatu i zażądał kategorycznie powrotu wszystkich handlowców do biura. Zwołał także spotkanie w sali konferencyjnej, smutni panowie z centrali siedzieli cały czas w jego gabinecie. Sekretarka patrzyła ze zdziwieniem, jak Łukasz osobiście korzysta z niszczarki. Zawsze jej zostawiał stertę dokumentów opisanych zwięzłym „TO KILL”. Po kolejnej godzinie pojawiła się większość pracowników, tylko kilku nie było w stanie dojechać. Wszyscy zebrali się w sali konferencyjnej, plotkując po cichu. Wszedł Łukasz, za nim centralni, komunikat był krótki:

– Chciałem wam podziękować i osobiście się pożegnać, resztę wyjaśnią koledzy.

Zabrał swoją skórzaną teczkę z powycieranymi brzegami i wyszedł. Smutni panowie z centrali poinformowali zebranych o zmianach; Łukasz odszedł z firmy w trybie nagłym. Nie, nie ma powodu, po prostu będzie kontynuował karierę poza strukturami naszej korporacji – odpowiadali na pytania tak samo gładko, jak Łukasz wygłaszał swoje prezentacje.

Co za ohydny zwrot – pomyślała Monika. – A jaki częsty. „Poza strukturami”. To prawie jak „na marginesie”.

– Tak, to ważne pytanie – mówił dalej ten z centrali. – Jego stanowisko zajmuje Monika. Monique, congratulations – powiedział. Monika spuściła głowę. Wiedziała o tym od godziny i jeszcze nie potrafiła do końca zrozumieć. Ona, taka wiocha, Dyrektorem Sprzedaży?

Na sali zapadła cisza. Nikt nie wiwatował, nie gratulował, nie cieszył się. Smutny Niemiec z centrali, który został oficjalnie prezesem firmy i bezpośrednim szefem Moniki, miał urodę aryjskiego chłopca ze snu o jednolitym genotypie, z oczami jak u rozmrożonego śledzia. Były lodowate jak Arktyka.

Monique to ładne imię – pomyślała.

Nikt Moniki nie lubił. Pracownicy wykonywali tylko te polecenia, które były wydane w formie bezpośredniego nakazu. Żadne zwroty typu „powinniśmy zrobić...” nie skutkowały. Pierwsze spotkanie, jakie zorganizowała dla handlowców, było rozwinięciem idei Łukasza, wzbogaconej o szczegóły.

– Kopiuje cudze pomysły, a taka niby była kreatywna – szeptali podwładni.

Monika pokazywała sposoby wdrożenia, pomysł, konkretne drogi realizacji – czyli coś, co zupełnie pomijał Łukasz.

To właśnie dlatego ponosiliśmy fiasko na rynku – myślała.

Próbowała poderwać zebrane grono, włączyć pracowników w projekt, zainicjować dyskusję. Nikt nie miał pytań. Zespół milczał; tylko Oktawia notowała i zapamiętywała. Zadawała sobie pytania: jak nie popełniać błędów szefowej?, co dopracować? Uczyła się.

Monika zakończyła spotkanie niezadowolona. Widziała, że pracownicy nie chcieli jej słuchać.

Jak do nich dotrzeć? – pytała się przez cały dzień.

Była najmłodsza stażem – została awansowana. Miała najlepsze wyniki – odebrała ludziom szansę na zdrową rywalizację, pokonując wszystkich w przedbiegach. I jeszcze do tego nie starała się być sympatyczna. Ta postawa zaprocentowała wśród przełożonych, ale nie dała cienia szansy na przychyłność kolegów. Monika szybko doszła do wniosku, że potrzebuje treningu z technik interpersonalnych. Udało jej się przekonać Petera, Niemca o bladorybich oczach, żeby wyasygnował pieniądze na takie szkolenie. Miało być jej słodką tajemnicą, a szybko stało się głównym tematem w firmie, o co zadbała Oktawia.

– Taka wielka pani manager, a muszą ją uczyć, jak rozmawiać z ludźmi – śmiali się.

Oktawia, chcąc nie chcąc, z asystentki działu stała się osobistą asystentką szefowej. Nie miała wyjścia. Monika złożyła jej propozycję „najlepszą dla ciebie” i nie zamierzała dyskutować. Dziewczyna nie miała wiele czasu do namysłu – mogła oczywiście szukać pracy gdzie indziej, ale profil firmy był zgodny z jej wykształceniem, a przełożona fantastycznym nauczycielem mimo woli. W Oktawii narastało poczucie, że gra w remake’u *Diabeł ubiera się u Prady*, jednak nie rezygnowała. Wykonywała polecenia Moniki, na przykład o dwudziestej biegła do centrum handlowego po jej ulubiony gatunek kawy. Rano przynosiła ze sobą croissanta z pobliskiej cukierni – całe śniadanie. Rozliczały się co tydzień, Oktawia zawsze oszukiwała Monikę chociaż na kilka złotych. To było jej mizerne zwycięstwo nad poniżeniem, którego codziennie doświadczała. Dyrektorka nie ustawała w kontroli wszystkich i wszystkiego. Żadna oferta nie mogła zostać złożona bez jej akceptacji. Poprawiała przecinki i literówki, do legendy urosła opowieść o tym, jak jeden z handlowców udowodnił jej, że apostrof na wizytówce klienta powinien być w innym miejscu, niż upierała się Monika. Zwolniła go. Kazała handlowcom przygotowywać prezentacje tak długie i rozbudowane, że klienci nie chcieli ich oglądać. Jednak wyniki firmy znacznie się poprawiły. Chociaż procent wygranych kontraktów się zmniejszył, to jednak na dobre statystyki wpływał przede wszystkim wzrost liczby składanych ofert. Rybiński Peter był zadowolony, Monika zmęczona, zespół

zniechęcony.

Po czterech miesiącach wypracowała taki wynik, że centrala przyznała jej premię. Razem z podwyżką dawało to sporą sumę. Monika postanowiła wykorzystać wszystkie oszczędności i odkupić mieszkanie, w którym mieszkała. Potrzebny jej był niewielki kredyt, szybko załatwiła sprawę w banku i doszła do porozumienia z właścicielem. Robert od tego momentu płacił ustaloną kwotę na jej konto. Patrząc w lustro, pani dyrektor pęczniała z dumy.

Własną pracą do tego doszłam – oglądała obrazy, ściany, eleganckie wykończenia i duma ulatniała się. Mieszkanie było puste. Łóżko było puste. Wtedy, ale tylko czasami, dostrzegała, że pracuje tak ciężko, a nie ma nikogo, z kim mogłaby się tym podzielić. Ani satysfakcją, ani pieniędzmi. Ma tylko Adasia.

Pewnego dnia zza szyby samochodu dostrzegła Teresę pchającą wózek. Szczebotała coś do podniesionej budy w niebieskie kropki, nie zauważyła nowego volvo Moniki, w ogóle nie rozglądała się na boki. Siedząca za kierownicą kobieta nie rozumiała, co ją tak ukłuło w tym obrazku.

Gdyby zrobić zdjęcie, można by je powiesić zamiast jelenia na rykowisku – pomyślała.

Teresa nie myślała o Monice, zajęta była wnukiem i nową synową. Nie mogła jej znieść, tak jak kiedyś nie tolerowała Moniki, która przynajmniej była bystra – podczas gdy nowa miłość Roberta głupsza od buta. I lubiła falbanki, czego teściowa nie mogła jej wybaczyć.

Po tym jednostronnym spotkaniu Monika pomyślała, że dobrze byłoby się dowiedzieć, co u rodziców. Z Ojcem nie rozmawiała od miesiący; Matki nie widziała od dnia jej niezapowiedzianej wizyty. Kiedy weszła do biura, burknęła do Oktawii „nikogo nie łączyć” i zadzwoniła do Ojca. Odebrał po piątym sygnale, opowiadał o przednówku, że jak zawsze ubogie, ale szwagier pomaga, chociaż przecież to już nie rodzina, jak Matki nie ma.

– A co u Matki? – dopytywała się Monika.

– Nie ma – odpowiedział nieprzytomnie.

– Przecież wiem, że nie ma – westchnęła. – Jest w Warszawie, masz do niej numer?

– Nie ma, nie ma, dziecko, ale nic się nie martw.

Niczego więcej się nie dowiedziała. Zadzwoniła do ciotki, a ta podała jej numer Matki. Od razu, nie czekając na lepszą godzinę, która zapewne nigdy by nie nadeszła, Monika wybrała numer. Matka przedstawiała się energicznym głosem, jak nie ona. Zawsze zagubiona w potoku cudzych myśli nie śmiała nawet mówić głośno – teraz brzmiała jak pewna siebie pani w średnim wieku, chociaż była już dużo starsza. Myśl ta uświadomiła Monice jej własny wiek. Trzydziestka minęła gdzieś w zapomnieniu dat, wśród istotniejszych zdarzeń, zapisanych w kalendarzu wynikami sprzedaży.

– Wszystko dobrze, córeczko – ucieszyła się Matka.

– Nie miałam do ciebie nawet kontaktu.

– Jak potrzebowałaś, to znalazłaś, prawda? – delikatnie odcięła się Matka.

– Ty też nie dzwoniłaś – próbowała trzymać się swojej wersji Monika.

– A chciałybyś? – pytanie zawisło w powietrzu jak obwisła flaga, której nawet wiatr nie chce uczynić prostokątem.

To dlatego nie umiem rozmawiać z ludźmi – przemknęło przez myśl Monice. – *Matka mnie nie nauczyła.*

To było wygodne usprawiedliwienie, często do niego wracała. Matka była winna, to wyjaśniało wszystko.

– Wszystko dobrze – kontynuowała Matka, gdy zorientowała się, że nie otrzyma odpowiedzi. – Mieszkam sama, nie, nie jestem już z tamtym mężczyzną. Jestem szczęśliwa, wiesz? Mam dużo przyjaciółek, poznałam nowych ludzi. Przez ostatnie dwa lata więcej niż przez całe życie. Słyszałam o twoich sukcesach, wyczytałam o nich na stronie internetowej firmy. Tak, wiem, gdzie pracujesz,

obchodzisz mnie. Ale czekałam na twój telefon.

Matka mówiła, a Monika dziwiła się.

Jednak umie rozmawiać. To dlaczego mnie nie nauczyła?

Kiedy skończyły rozmowę, Monika wiedziała o Matce dużo. Tak wiele albo i więcej niż można przekazać przez kilkanaście minut. Matka nie dowiedziała się o córce niczego.

Monika pomyślała o Damianie.

Mógłby zadzwonić. Och, nie mógłby, przecież dałam mu poprzednią wizytówkę, nie ma mojego numeru. Ale mógłby poszukać – dodała po chwili, szepcząc do siebie.

Spojrzała na stertę ofert, których coraz więcej wymuszała na handlowcach, skupiła się na pracy. Wzywała po kolei każdego z nich albo prowadziła długie telekonferencje. Szukała pretekstu do niezadowolenia.

– Chcesz złożyć ofertę, musisz o kliencie wiedzieć wszystko – mawiała. Tylko Ryszard potrafił jednym uśmiechem przypomnieć jej, kim jest. Wiochą z przyklejonymi kolorowymi piórkami, które kiedyś odpadną. Handlowcy wysyłali po kilkanaście ofert tygodniowo, Monika podpisywała w tym czasie kilka kontraktów. Każdy z nich skrupulatnie czytała, podejrzewając nieuzgodnione zmiany. Nikt nie ośmielał się zrobić nic bez jej wiedzy, jednak i tak wolała sprawdzić. Centrala chwaliła Monikę, jej zaangażowanie i osiągnięte wyniki – jednak ona nie odczuwała żadnej satysfakcji. Wynik był efektem katorżniczej pracy, za którą nikt z podwładnych jej nie cenił. Najbardziej zaufanej osobie, Oktawii, opowiadała czasem o najistotniejszych sprawach. Komentowała też złośliwie zachowania pracowników. Oktawia zbierała te opowieści jak perełki i przekazywała dyskretnie dalej; notowania szefowej wśród podwładnych ciągle spadały.

Zbliżała się rocznica objęcia przez Monikę nowego stanowiska. Wieczorami, przed lustrem, materializowała się jej myśl: *wiocho, gdzie ty? W takie towarzystwo? Nikt cię nie lubi, nikt cię nie chce...* Zamierzała rozejrzeć się za inną pracą. Zanim jednak podjęła jakieś działania, ponownie przyjechał Peter. Miała złe przeczucia – pamiętała, jak wyrzucono Łukasza, jak jednym ruchem skreślono go bezpowrotnie z listy. Postanowiła sama zasugerować konieczność zmian.

– Peter, jestem zmęczona. Zespół został uporządkowany, wyniki są dobre. Wyprowadziłam firmę z kryzysu. Teraz powinien przejąć to ktoś, kto będzie to systematycznie ciągnął. Może poszukamy kogoś takiego?

Monika pociła się pod lekką bluzką, nie mogła zdjąć marynarki. Peter długo milczał.

– Monique, nie próbujesz powiedzieć, że chcesz odejść, prawda?

Teraz ona milczała. Tak długo, aż Peter, zaniepokojony, kontynuował. – Bo tego bym nie chciał. Chociaż powiem ci, że twoja propozycja jest mi na rękę. Nie mam wprawdzie na razie żadnego następcy i wiem, że trudno będzie znaleźć kogoś tak dobrego jak ty. Jednak mam dla ciebie inną propozycję – zamilkł, popatrzył w okno. – Potrzebujemy osoby, która zajmie się międzynarodowymi projektami. Kogoś, kto zorganizuje i poprowadzi biuro. Centrale dużych firm, międzynarodowe koncerny. Ci klienci wymagają innej opieki, póki co świadczymy serwis lokalnie, w Polsce tak, w Niemczech inaczej, we Francji jeszcze inaczej. Musimy scalić działania. Podpisać centralne umowy i zaplanować spójne standardy. Klienci będą zadowoleni, nam spadną koszty. Takich regionów będzie kilka na świecie, w Europie dwa, jeden z nich chcemy powierzyć tobie. Co o tym sądzisz?

Monice udało się nie okazać emocji.

Europa! Europejska kariera! Ja?!

Milczenie Peter odebrał jako niechęć. Postanowiła dać się prosić. Przekonywał ją, aż pomyślała, że musi oswoić się z pomysłem.

– Niech będzie do przyszłego tygodnia – powiedział Peter krótko, żołniersko, po niemiecku. – Przyjedź

do Hamburga w przyszły czwartek.

Monika nie zamierzała się zastanawiać. Decyzję podjęła od razu. Nie dlatego, że propozycja była świetna, ale dlatego, że chciała zmiany. Przez tydzień udawała, że pracuje jak zawsze, ale Oktawia wyczuła różnicę. Co się zmieniło? Dziewczyna nie potrafiła dociec, a bardzo chciała, bo wyczuwała wagę nadchodzących zmian.

Szefowa wychodziła z biura przed dwudziestą – zaskakująco wcześniej jak na nią. W ciągu tygodnia dwa razy wyszła na lunch – dotychczas zdarzało się to jej raz na dwa miesiące. Odwołała spotkanie z jednym z mniejszych klientów, oddając go Andrzejowi. To nie był zwyczajny tydzień, to jej asystentka doskonale wiedziała. Ale dlaczego?

Przed wylotem do Hamburga Monika kupiła nową garsonkę. Czerwoną. Do tego czarne lakierki na klasycznej półszpilce. Uznała, że wygląda elegancko. Pierwsza myśl Petera, gdy ją zobaczył brzmiała: – *Dlaczego ona ma za ciasne buty? Chce być ciągle dziewczynką? Tylko kokardek brakuje* – bo Peter miał przenikliwy i złośliwy umysł.

Nie dopuszczał możliwości odmowy. Przed złożeniem propozycji Monice zbadał sytuację dokładniej, niż ktokolwiek przypuszczał. Doskonale wiedział, że nie miała poważania w zespole i zdiagnozował przyczynę. Uznał, że jest zbyt młoda i dlatego nie potrafiła wypracować sobie autorytetu. W nowym zespole będzie trochę inaczej – wszystko stworzą od podstaw. Cała załoga będzie raczej młoda, a część Monika sama sobie dobierze, no i przyjdzie tam w aureoli wyniku, który udało jej się uzyskać w Polsce. W zdobyciu wiedzy o słabej pozycji Moniki wśród pracowników pomogła mu Oktawia – w rozmowę przy kawie wplotła tyle informacji, ile tylko była w stanie.

Ich rozmowa była przewidywalna. Krótkie negocjacje, niewielkie ustępstwa, obydwie strony chciały szybko się porozumieć. Na następny dzień Peter przygotował dla Moniki pierwszy test. Z samego rana zorganizował spotkanie, na którym musiała przedstawić siebie i nowy projekt, a ten nie był jeszcze dopracowany. Zdawał sobie sprawę, że dotychczasowe wystąpienia Moniki były długo przygotowywane, chciał zobaczyć ją w akcji improwizowanej. Wypadła koncertowo. Peter uśmiechnął się, widząc twarz jej przyszłych współpracowników. Byli podbudowani.

– Tak, to był dobry wybór – pomyślał wieczorem, kiedy wrócił do wynajętego mieszkania bez mebli. Żona zostawiła go miesiąc wcześniej, pozbawiając więcej niż połowy dochodów oraz całego ich wspólnego dorobku.

Monika też była zadowolona – pomogły szkolenia, lektury i indywidualna praca z coachem. Tak, wypadła świetnie, jej nowi pracownicy wydawali się zadowoleni, i przy okazji pozbyła się polskich problemów personalnych. Życie bywa piękne.

Zaraz po powrocie do Polski Monika udała się do księgarni. Kupiła przewodniki po Hamburgu, Göteborgu, Amsterdamie, Brukseli, Budapeszcie i Pradze. To były miasta, które miała odwiedzić na początku. Zorientować się, jakie kontrakty wymagają tam międzynarodowego podejścia, poznać ludzi i zorientować się w danych dotyczących potencjalnych klientów. Zaplanowała działania. Ułożyła je w tabeli. Po każdej wizycie dopisywała kolejne dane. Po dwóch miesiącach przedstawiła Peterowi plik, który go zachwycił. Było tam wszystko, co tylko mogło okazać się potrzebne.

Oktawia trochę odetchnęła. Pracy ciągle miała dużo, ale Monika była w podróży przeciętnie cztery dni w tygodniu. Przez chwilę zastanawiała się – zostać na dotychczasowym stanowisku, przy Ryszardzie, który – jak się mówiło nieoficjalnie – tymczasowo przejął obowiązki Moniki, czy też pójść za szefową, której nie cierpiała, ale z którą mogła rozwinąć skrzydła. W końcu wybrała świetlaną przyszłość, decydując się przełknąć lata poniżania w imię zdobycia niezbędnej wiedzy.

Monika latała po niemal całej Europie, rozdzielając zadania i wyszukując nowych klientów. Lokalne rozmowy prowadzili miejscowi, ale przy najważniejszych lubiła być osobiście obecna. Po pierwszym,

dobrze przyjętym wystąpieniu, notowania Moniki szybko spadły. Nie lubiano jej za perfekcjonizm. Czasem na spotkaniu kilka zdań padało w obcym języku, którego Monika nie rozumiała, co doprowadzało ją do pasji. Czepiała się każdego drobiazgu, zarówno ważnego, jak i zupełnie nieistotnego.

– Monique znowu zrobiła drakę – mówiło się w biurze, z którego wyjechała.

– Monique przyjeżdża, znowu będzie draka – mówiło się w biurze, do którego miała przylecieć.

Monique to, Monique tamto, telefonowano do Monique na jej komórkę i czasem do biura, Monique, Monique, przewijało się wszędzie. W końcu postanowiła, że nie będzie reagowała na swoje polskie imię. – Od dziś mówicie do mnie „Monique” – powiedziała cicho pewnego dnia, a kto nie usłyszał, jego strata.

Odnosiła coraz więcej sukcesów. Połączyła biznesy wielu krajów, zarządzała umowami twardą ręką ku niezadowoleniu pracowników i ku zachwycie klientów. I ku większemu zyskowi i tak już dochodowej firmy. Monique stawała się międzynarodową gwiazdą. Była tak zaaferowana, że przestała szukać Adasia. Od czasu wyprowadzki z willi teściów śnił jej się rzadko. Od czasu zadomowienia się w samolotach – nigdy. Nawet tego nie zauważyła. Czasami tylko, jadąc późną nocą taksówką z lotniska zastanawiała się, jak by to było, gdyby ktoś na nią czekał? Myślała o tym krótko – Peter zrobił z niej niewolnicę na złotym sznurku, właściwie sznureczku. Był cienki i złotodajny. Płynęła nim rzeka przywilejów – podróże, hotele, restauracje; pensja wysokości ośmiu średnich krajowych i premie od zysku z każdego kontraktu... nie, Monique nie zamierzała urywać się z takiej smyczy.

Monique pracowała nawet w samolotach. Inni pasażerowie zasypiali, a ona otwierała laptopa. Opracowywała kolejny projekt, który potem zlecała do dokończenia w jakimś kraju albo obarczała nim Oktawię. Miała zwyczaj rzucać na podwładnych swoje pomysły, nie poświęcała czasu na dokładne instrukcje, a potem bezlitośnie rozliczała. Maile wysyłała z komórki, telefony załatwiała w taksówkach. W biurach rozmawiała z ludźmi, podpisywała dokumenty i robiła awantury.

Przynosiła firmie kontrakt za kontraktem i czuła się coraz bardziej samotna. Hotele wszędzie są takie same. Zwykle po szybkiej kolacji, w czasie której przeglądała gazetę, siadała do komputera i obmyślała taktykę na następne spotkanie. Jednak tego dnia była zmęczona. Kolacji postanowiła nie jeść, czuła ciągle w żołądku obfity lunch, którym uraczył ją klient. To było ukoronowanie jej czteromiesięcznych zabiegów. Podpisali kontrakt na wartość, która była precedensem w historii firmy.

Oszalamiająca liczba zer wyrażonych w euro warta jest niestrawności – pomyślała.

Czuła się jednak tak wypluta, że nawet nie odpaliła notebooka. Zrzuciła ubranie, zwijając je w kłębek na środku podłogi i weszła pod prysznic.

Zmyję z siebie kurz – pomyślała. A potem roześmiała się smutno. – *Powinnam zmyć z siebie wyrachowanie, kurz i pot to za mało.*

Chciała przez chwilę znów być dziewczęcą, czystą i naiwną.

Przecież nie ma już powrotu do Moniki, jestem tylko Monique – wykrzywiła usta do zniekształconego odbicia w zaparowanej tafli.

W pokoju zostawiała mokre plamy na dywanie. Stała przed dużym lustrem. Widziała zaczerwienione, ciągle idealne ciało niestarej, właściwie młodej jeszcze kobiety.

Moje ciało nawet nie miało okazji porządnie się przed kimś zawstydzić. Byłam tak mało używana, że jestem prawie czysta.

Ubrała się wyzywająco. Czarna bluzka, ściśle przylegająca do szyi, z tyłu miała głęboki dekolt. Czarna spódnica tuż przed kolano i za małe czarne lakierki. Zawiązała jeszcze na szyi długi czerwony szalik, matowy i prześwitujący. Jego końce przerzuciła na plecy, dopełniła ubioru kroplą intensywnych perfum.

Zasłużyłam na drinka – pomyślała.

Nie tylko ona tak myślała. Bar tętnił życiem, które zamarło na chwilę, gdy pojawiła się Monique. – Weszła królowa – pomyślało jednocześnie kilku facetów, równie samotnych jak ona. To był drogi hotel, mieszkali w nim wyłącznie ci, którzy przynosili swoim firmom krociowe zyski. Tylko tacy, którzy dawali się wykorzystywać firmom. Tylko ci, którzy spalali siebie, otrzymując w zamian parę dukatów.

Wszyscy byli smutni albo próbowali upijać się na smutno. Męskie oczy rozbierały Monique, a ona dobrze się z tym czuła. Spojrzenia oblepiały ją, dlatego szła powoli, przesuając ciało w ciężkim od pożądania powietrzu i z trudem oddychając tytoniowym zaduchem. Usiadła przy barze, najdalej jak można było od wszystkich samców o spoconych dłoniach. Chwilę później barman poinformował ją, że

ma do wyboru trzy drinki, od tego, tego i tamtego pana – wskazał dłonią. – Który przygotować?

Monique zastanowiła się. Wskazała głową na przystojnego szatyna w kącie sali. Miał piękne oczy. Otoczone czarnymi rzęsami przypominały jeziora, w których chciałyby się odświeżyć. Za główną zaletę faceta Monique uznała to, że ani za grosz nie przypominał Petera. Był Francuzem – rozmawiali łamanym angielskim, a on warczał jej do ucha swoim przedniojęzykowym r, łaskocząc policzek oddechem. Nie palił, to Monique lubiła u mężczyzn. Nie mieli o czym rozmawiać, ale i tak była rozbawiona jego towarzystwem.

Taki słodki Francuzik – rozmyślała. Po trzecim drinku była fantastycznie rozluźniona. Nie oponowała, gdy chwycił jej łokieć, uniósł ją lekko, a potem objął i wyprowadził z zadymionego baru. Stroboskop zęgnął ich niebieskim światłem, bliskim sinemu świtowi. W windzie Francuz włożył jej ręce pod spódnicę. Powstrzymała go. Pozwoliła jednak odprowadzić się do pokoju i przekroczyć próg, zamknąć drzwi od środka, a potem wchodzić w siebie krótkimi, urywanymi pchnięciami. On bawił się lepiej niż ona.

To był stosunkowo nieudany wieczór – prychnęła wzruszając ramionami przed lustrem. Poprawiła makijaż i otuliła się szlafrokiem, wychodząc z łazienki. Francuza nie było. Zostawił na środku pomiętej kołdry trzysta euro.

Monique zacisnęła zęby. Ubrała się szybko, wybiegła na hotelowy korytarz. Nikogo. Nerwowo podbiegła do windy, wcisnęła parter.

Jak śmiał? Francuski impertynent – wściekała się. Gdy zjechała do recepcji, uświadomiła sobie, że nie wie, kogo szuka. – *Nie jestem nawet pewna jego imienia, o nazwisku nie wspominając. Pytać o wysokiego szatyna z seksownym r?*

Postanowiła odłożyć te pieniądze na jakiś szczytny cel.

W sumie trzysta euro to kawał szmalu – pomyślała.

Rano spotkała Francuza przy recepcji. Był z kobietą, do której zwracał się per „kochanie”. Nie spojrzał na Monique, ale przechodząc musnął jej rękaw. W dłoni została jej wizytówka z odręcznym „Zadzwoń do mnie”.

Powinam się czuć ponizona czy wywyższona? – zastanawiała się w biurze przez cały dzień, i po południu w drodze na lotnisko. Zadawała sobie to pytanie jeszcze przez kilka tygodni.

Jawnogrzeczniczka czy tylko słaba kobieta? Kim jestem?

Życie codziennie uświadamiało jej, że jest maszynką do zarabiania pieniędzy. Przez osiem miesięcy platforma pozyskiwania i obsługi międzynarodowych transakcji, będąca jej dziełem, wykonała taki obrót, jak wszystkie filie regionu razem wzięte. Monique była wniebowzięta słowami uznania, sam pan prezes zaszczycił ją krótkim mailem, Peter znowu sypnął premią. Nie skarżyła się, więc postanowił wykorzystać jej parcie na karierę. Powierzył jej nowe kraje. Doszedł Rzym, Ateny i Paryż.

Ile to jeszcze potrwa? – zadawał sobie pytanie Peter, myśląc o Monique. – *Nikt nie da rady długo pracować w taki sposób. Nawet ja nie dałbym rady* – to był dla niego koronny argument. – *Co dopiero jakaś tam Polka. Trzeba z niej wycisnąć, co się da. Niech ustawi jeszcze kilka krajów, zanim się wypali. Wtedy trzeba będzie ją wyrzucić, muszę zawczasu pomyśleć o następcach.*

W firmie wszyscy myśleli strategicznie, nie tylko Peter. Na jego miejsce też już szukano zastępstwa. Inicjatywy Petera od czasu kiedy rzuciła go żona, ograniczały się do wykorzystywania pomysłów podwładnych. – Kim go zastąpić? – rozmyślał prezes, i nawet od czasu do czasu wyobraźnia podsuwała mu wizerunek wysokiej Polki, ale kobiety to on wolał w łóżku, a nie przy stole konferencyjnym.

Oktawia miała ściśle instrukcje, w każdym mieście zawsze rezerwowała Monique ten sam hotel. Jej podróże były planowane co najmniej z tygodniowym wyprzedzeniem. Szefowa ćwiczyła uwodzenie – na kolegach w biurze, taksówkarzach, klientach. Przekonała się, że jednym dopracowanym gestem potrafi

pokonać faceta. Jej notowania w firmie rosły. Koledzy dalej jej nie lubili, ale wyprężali torsy, poprawiali okulary i nieświadomie obniżali tembr głosu. Nawet Peter wyczuł, że coś się zmienia.

Monique zadzwoniła do Francuza od trzystu euro. Dzwoniła potem regularnie. Zawsze informowała go, kiedy wybierała się do Brukseli. On prowadził tam interesy i zawsze tak organizował czas, żeby mogli się spotkać. W Hamburgu Monique miała Niemca z Frankfurtu nad Menem, w Atenach Anglika, w Rzymie Włocha z Palermo. Opracowała dokładny plan. Cały czas pracowała dużo, randki wpasowała w grafik jak biznesowe spotkania. Bywały tygodnie, w których miała po cztery schadzki. Klientów dobierała sobie sama, w każdym mieście tylko jeden na raz. Opisała ich w swoim kalendarzu imionami i miastami. Obok numery telefonów. Żadnych nazwisk, żadnych innych danych. Kochankom opowiadała o sobie jeszcze mniej. Miała im się podobać, miała z nich czerpać rozkosz, co nie zawsze się udawało, i miała od nich dostawać ustaloną stawkę. Monique była dla nich pożądana i oczekiwana, pojawiała się i znikwała, to ona wyznaczała daty i miejsca spotkań, a potem dawała wytchnienie pomiędzy oczekiwaniami żony i żądaniami korporacji. Prawdą okazało się, że faceci potrzebują rozmowy bardziej niż seksu. Czasami dostawała ustaloną stawkę tylko za słuchanie, za towarzystwo. Nie przeszkadzało jej to.

Miała zwyczaj zostawiania na swoim biurku otwartego kalendarza. Oktawia widziała tam grafik napięty do granic. 09:30 – telekonferencja z Czechami, od 10:00 do 11:30 – wpisany był Daan, handlowiec prowadzący klienta w najbliższym przetargu, 11:30–13:00 – podsumowanie ostatniego kwartału, prezentacja dla zespołu w Amsterdamie, o 13:00 spotkanie z Eveline w sprawie oferty dla klienta z administracji publicznej, zaznaczone na czerwono, trudna sprawa, z komentarzem „przejąć od Margeritte, nie radzi sobie”, od 14:30 – spotkanie z prawnikiem, znalazł nieprawidłowości w kontrakcie podpisanym trzy lata temu i teraz trzeba zaradzić ewentualnym konsekwencjom, o 16:00 – telefon do Wiednia i potem rozmowa z Węgrami. Na dole, bez godziny i komentarza, czarnym długopisem wpisane – Lars. Tak wyglądał grafik Monique na każdy dzień. Oktawię najbardziej frapowały godziny wieczorne. Widziała tam powtarzające się męskie imiona. Nie mogła ich z niczym powiązać. Kilka razy próbowała podpytać o to szefową.

– Organizuję ci wyjazd do Amsterdamu, widziałam w kalendarzu wpis o spotkaniu z Larsem, na którą je wpasować?

Monique jednak nigdy nie dała się podejść. – To anulowane – odpowiadała bez zastanowienia. Albo: – Przełożyłam na kolejną wizytę. Oktawia jednak wiedziała, że do tych spotkań nie dochodziło, pytała w biurach, nikt nic nie wiedział. A wpisy się powtarzały. Zawsze ten sam hotel, w danym mieście zawsze to samo imię. Po pięciu miesiącach Oktawia miała mocną teorię, potrzebowała tylko dowodu. Zdobyła go, gdy wraz z Monique wyjechały do Budapesztu. Tam zwyczajnie śledziła szefową, a następnego dnia, przy śniadaniu, postawiła jej ultimatum. Monique wybuchła śmiechem. Nie dlatego, że lekceważyła zagrożenie ze strony asystentki. Nie dlatego, że się nim nie przejmowała. Wręcz przeciwnie – wiedziała, że będzie musiała ustąpić.

Jakbym widziała siebie, co za smarkula – śmiała się w myślach. – Takie same żądania postawiłam szefowi jeszcze w poprzedniej firmie i nawet argumentowałam tak samo. Nudzę się, nowe wyzwanie, wyjść do ludzi... Co za tupet.

– Nie odpowiem ci w tej chwili, ale obiecuję, że postaram się znaleźć dla ciebie satysfakcjonujące rozwiązanie. Trzeba wspierać karierę młodych i ambitnych, dopilnuję, żeby znalazła się dla ciebie dobra propozycja.

Chociaż Monique mówiła poważnie, Oktawia poczuła się zlekceważona. Monique dotrzymała słowa, ale dziewczyna nigdy nie wybaczyła jej tej iskiarki rozbawienia, którą zobaczyła w oczach przełożonej podczas śniadania w Budapeszcie.

Idąc za ciosem, Oktawia postanowiła pomyszkować w innych krajach. Podzieliła się swoim odkryciem z sekretarką w Hamburgu. Ta się roześmiała. – Tam też? Tutaj podpisaliśmy umowę z hotelem, w którym pracuje mój szwagier. Stąd wiem, że Monique ma tam zawsze ten sam pokój i stół w restauracji. I spędza tam czas zawsze z tym samym facetem, który wychodzi z jej pokoju nad ranem. Dziewczyny się śmiały, z tym że Oktawia bardziej.

Monique musiała znaleźć asystentkę. Przy jej rozkładzie zajęć nie mogła poradzić sobie bez pomocy biurowej. Znalazła dziewczynę ze znajomością trzech języków i ambicją ukrytą pod grubym płaszczem skromności, którego Monique nie udało się przebić. Oktawia została handlowcem. Była sprytna i знаła większość sztuczek Monique, więc łatwo udawało jej się osiągać dobre wyniki. Była jednak równie nielubiana co jej nauczycielka.

Pewnego dnia asystentka zaanonsowała rozmowę „o charakterze prywatnym”, Monique odebrała zaciekawiona, z takim hasłem na ogół dzwoniли head hunterzy.

Ciekawe co teraz, może jednak w końcu się zdecyduję? Zmiana pracy dobrze by mi zrobiła – myślała. Głos jednak był jej skądś znany i brakło mu tej przebojowości, którą zawsze mieli pod ręką pośrednicy pracy.

– Monika?

– Tak, słucham Pana.

Cisza.

– Halo? Słucham? – już zaczynała się irytować.

– Monika, to ja, Damian.

Wzięła głęboki oddech. – Damian? To ty? Skąd...

– Znalazłem cię w Internecie. Nie pracujesz już w tamtej firmie, nie chcieli mi powiedzieć, gdzie teraz jesteś. Miałaś się odezwać...

– Ty też miałeś... nie to głupie, przepraszam, przecież się odzywasz. Poczekaj chwilę.

Monique wstała i dokładnie zamknęła drzwi do swojego gabinetu. Na co dzień upierała się przy „polityce otwartych drzwi”, co było wyłącznie czczą deklaracją. Jednak teoretycznie każdy mógł do niej zapukać. Drzwi zamykała wyłącznie podczas spotkań. Asystentka zainteresowała się nieśmiałym męskim głosem i tym czymś dziwnym, co usłyszała w głosie Monique.

– Damian, nie będę mogła długo rozmawiać, może kawa? Dziś nie, jutro, o 14:00? Podjadę do Bliklego na Nowy Świat. Pewnie. Tak.

Rozłączyła się z uśmiechem.

Tego dnia wyjątkowo dobrze jej się pracowało.

Na ogół wszystkie spotkania wpisywała w kalendarz i pracowała wyłącznie na podstawie notatek. Nie pamiętała o datach spotkań, sprawdzała, co ma do zrobienia i to robiła. Jednak spotkania z Damianem nie wpisała w kalendarz – a nie zapomniała o nim. Ubierając się rano, nie mogła dobrać bluzki. W końcu założyła coś, czego nie miała na sobie od lat – kremową bluzkę z karczkiem haftowanym drobnymi koralikami. Zmieniła buty na płaskie. Wybrała inną szminkę.

Czy naprawdę ten chłopak mi się podoba? – zastanawiała się w drodze do pracy.

Do Bliklego przyjechała dziesięć minut przed czasem, Damian już czekał. Uściskali się jak starzy przyjaciele.

– Przepraszam – wzruszyła ramionami – ja... chciałam, ale...

– Daj spokój – przerwał jej.

– Nie cieszysz się – powiedziała, przypatrując się Damianowi.

– Cieszę.

– Ale?

- Moja żona mnie zdradziła.
- Masz żonę?
- Nie mogłem czekać na ciebie już dłużej – uśmiechnął się. Monique też się rozluźniła.
- Oczywiście, dlatego o to pytam – obejrzała swoje błyszczące paznokcie.
- Potrzebowałem po prostu... kogoś.

Czy ja jestem kimś? – pomyślała Monique. Pokiwała głową.

- Nie stawiam piwa, bo nie lubię, ale zapraszam do wesołego miasteczka.
- Słucham?
- Kino to randka, prawda? Nie potrzebujesz teraz randki.
- A czego potrzebuję? – zapytał burkliwie.
- Dystansu? Pakuj się. W sobotę wyjeżdżasz na cały weekend.

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem teraz dobrym towarzyszem.
- Za to ja jestem. Zabierz ze sobą rzeczy na dwa dni i paszport. Nic ci więcej nie powiem – przerwała mu. Machnęła równocześnie na kelnerkę.

– Dwie ogromne, największe czekolady. Najśłodsze, jakie Pani ma. I wuzetkę. I pączka. I...

– Dość, dość. Nie zjesz tyle. – Damian się zaśmiał.

– Przecież to nie ja będę to jeść – powiedziała Monique już po odejściu kelnerki. – A teraz rozmawiamy o wszystkim, co nie dotyczy twojego smutku. Pogoda, prawo, polityka. Co tylko chcesz.

– Musi być na p?

– Jeśli tylko nie będzie o pieprzeniu...

– Monika, ty znasz takie słowa?

Spędzili prawie dwie godziny na rozmowie o niczym. Monique po powrocie do biura miała znakomity humor. Na sobotę zarezerwowała dwa bilety do Danii. Całe dwa dni spędzili z Damianem w Legolandzie.

– I jak? – zapytała, unosząc brodę, gdy już usadowili się w samolocie powrotnym.

– Będę czekał. Po prostu. Może wróci.

– Kochasz.

– Tak.

Usadowili się w fotelach, odezwali się dopiero przed lądowaniem.

– Kiedy następna kawa? – zapytał Damian.

– Jak tylko zadzwonisz – odparła Monique.

Na pożegnanie uścisnęli się, mężczyzna nie chciał jej dać się podwieźć. W pustym mieszkaniu pomyślała, że jednak powinien na nią ktoś czekać. W swoim pustym mieszkaniu Damian pomyślał, że on właśnie czeka.

Podczas swoich służbowych wyjazdów Monique właściwie zawsze miała zorganizowane schadzki. Kochankowie jej nie odmawiali. Gotowi byli zrezygnować z innych planów, przełożyć kolację z żoną, zmienić datę biznesowego spotkania. Była dla nich warta bająskich pieniędzy, ofiarowanych za towarzystwo, za błyskotliwość, za inteligencję. W Paryżu spotykała się z Holendrem. Uwielbiała denerwować go opowieściami o Wenecji. Nigdy tam nie była – pod tym względem okazała się prawdziwą wieśniarą, która, choć zleciała całą Europę, to wyłącznie służbowo, niewiele zwiedzając. Odwiedzała głównie sale konferencyjne i lotniska, czasami jakąś restaurację. Prywatnie na ogół skąpiła na bilet. Wylot do Danii był wyjątkiem. Jednak sporo czytała, nawyk został jej ze studiów, wertowała przewodniki i potrafiła elokwentnie opowiadać. W jej opowieści Wenecja była rajem, nie romantycznym kiczem kochanków, ale żyjącym miastem, pełnym zagadek i historii wartych opowiedzenia. Holender

denerwował się, bo nie potrafił udowodnić jej wyższości Amsterdamu nad Wenecją.

– Mówi się, że to Wenecja północy! – pokrzykiwał.

– No właśnie. Zawsze porównuje się podróbkę do oryginału – przerzucała się z nim Monique.

Holender od lat nie czuł się tak ważny dla nikogo. Żonie nie przyszłoby do głowy, by dyskutować z nim o jego patriotycznym oddaniu rodzinnemu miastu; zresztą, potrzebowała go jako portfela. Wszystko inne potrafiła sobie zapewnić, łącznie z dużo hojniej wyposażonym przez naturę kochankiem. Paradoksalnie, żona mówiła o Holendrze dokładnie to samo – potrzebuje mnie wyłącznie jako kucharki. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy porozmawiać ze mną o uprawie tulipanowego ogrodu ani pojechać do Keukenhof – skarżyła się kochankowi podczas coraz dłuższych i częstszych delegacji męża. Nie przeszkadzało mu wcale, że Monique wygłaszała opinie, z którymi nie mógł się zgodzić. Ważne, że ktoś chciał się z nim kłócić. Monique nigdy mu się nie przyznała, że nie była w Wenecji – to była część ich wspólnego mitu, ich nieerotycznej, a podniecającej gry, która była znacznie ważniejsza od wypowiedzianych słów. Każde spotkanie rozpoczynali w restauracji. Kolacja nigdy nie była wystawna, jedzenie lekkie, za to w towarzystwie markowego szampana i dużej ilości burbona. W międzyczasie obsługa dyskretnie zanosila bagaż Holendra do pokoju. Czasami on sam oddalał się na chwilę – wtedy zwykle odkrywała w pokoju przygotowane kajdanki albo łóżko wysypane świeżymi płatkami róż.

Nie było im śpieszno. Jedli powoli, dużo rozmawiali. Głównie opowiadał Holender. Do pokoju wchodził zawsze po schodach – winda była zbyt szybka, a oni mieli dla siebie czas. W pokoju zawsze czekała następna butelka szampana i następny burbon, i owoce. Holender rozbierał Monique powoli, zawsze odkrywał przy tym nową bieliznę. Często wchodził razem pod prysznic, wtedy myła go powolnymi ruchami, całując delikatnie całe ciało; czasem jednak rzucali się na siebie wygłodniali, rozrzucając dookoła ubrania i tłukąc kieliszki. Czasem siadali na fotelach naprzeciwko siebie, on masował jej stopy i rozmawiali do rana. Bywało, że kładli się koło siebie już po czwartej, ledwo tylko muskając swoje usta. Takie spotkania Holender lubił najbardziej. Mówił, był wysłuchany. Tego szukał.

Z każdym ze swoich kochanków Monique tworzyła taki kod. Anglikowi opowiadała o węgierskiej herbacie, Francuzowi o wspaniałych niemieckich serach. Zmyślała historie, które tamci łykali jak pigułki na poprawę nastroju – tylko tym zresztą były.

Czasami jednak zdarzało się, że spędzała w hotelu samotny wieczór. Nawet lubiła ten czas – tak rzadki, że niezwykły. Zwykle umawiała się wtedy na jakiś masaż, ekstrarelaks, a potem siadała przy biurku w hotelowym pokoju, odpalała laptopa i pracowała nad kolejną ofertą.

Tego wieczora nie zabrała na masaż komórki. Kto mógłby dzwonić o tak późnej godzinie? Po dziewiątej wieczorem to ona miała zwyczaj dzwonić do pracowników, nie odwrotnie. Dlatego nie sprawdzała komórki, dopiero przed pójściem spać, było już dobrze po trzeciej w nocy, zorientowała się, że ktoś pięciokrotnie próbował się z nią połączyć. Numer nie był jej znany, ale kierunkowy wskazywał na okolice Koszalina. Przestraszyła się. Nie mogła zasnąć, nachodziły ją złe wizje. Ojciec. Kuzyni. Matka. Przeplatali się w półśnie, odchodzili, wracali potwornie splątani, nogi, ręce przy innych tułowiach. Wpadała w omamy, znów przerażenie wybudzało ją, noc ciągnęła się i nie mogła skończyć. Rano, jeszcze zanim przyzwoitość pozwalała, wykręciła nieznany numer. Rozespany głos ożywił się.

– Monika! – to była ciotka – nareszcie! Musisz wiedzieć – ciotka spieszyła się z informacją, jakby krewna miała jej zniknąć, połączenie urwać się, jakby nigdy już nie miały ze sobą rozmawiać. – Musisz wiedzieć. Ojciec w końcu sprzedał gospodarstwo. Ale nie tak, jakby chciał. Był zadłużony. Twoja Matka nie będzie z tego wiele miała, prawie wszystko zabrał komornik. Monika, Ojciec jest wrakiem. Wracaj. Wracaj i zrób coś. On tylko o tobie mówi, że tobie się udało, a jemu już nic nie musi, wracaj.

Monique, słuchając tego wywodu, przypomniała sobie, co to znaczy mieć rodzinę.

Monika... Monika to ja?

Nie widziała Ojca kilka lat. Ale on dalej był jej Ojcem, miał w jej sercu swoje miejsce i wcale nie zamierzał z niego odchodzić. Monique spakowała się i natychmiast wróciła do Polski. Musiała odwołać spotkanie w biurze, ale na szczęście tego dnia miała zaplanowane tylko rozmowy wewnętrzne. W samolocie napisała dużo długich maili, udzielając instrukcji i pouczając pracowników, co i jak mają robić, jak mają robić, i wyrażając nieustanną obawę, że bez niej sobie nie poradzą. Kpili z tego; miała to gdzieś. Teraz była przerażona, bała się, że straci Ojca tak jak straciła Adasia, Roberta i Teresę. Tak, pomyślała nawet o Teresie. Była tak samotna, że nawet była teściowa we wspomnieniach stała się rodziną. Z lotniska zadzwoniła jeszcze do Petera, poprosiła o tydzień urlopu – zgodził się, kręcąc nosem, bo nie lubił być zaskakiwany. Ale Monique nigdy nie prosiła o urlop, niezręcznie było odmówić. Zgodził się, a wtedy dodała jeszcze, że może nie mieć dostępu do maila.

– Co się stało? Co się stało? – dopytywał przerażony Niemiec, dla którego tylko porządek i przewidywalność były zrozumiałe. Prośba Monique zaniepokoiła go, a było to coś, czego nie lubił.

– Sprawy rodzinne – odpowiedziała chłodno.

Postanowił dowiedzieć się czegoś więcej – do tej pory wystarczało mu, że Monique jest zakompleksioną pracoholiczką, chorującą na perfekcjonizm. Gdy poszukał głębiej, dowiedział się, że jest pozbawioną korzeni, zagubioną wieśniaczką, która niechcący wdepnęła w jego wielkopański świat. Peter zorientował się, że jest to cenna informacja. – *Warto ją zapamiętać* – pomyślał.

Przez dwa dni Monique kręciła się po okolicy. Nie pojechała do rodzinnej wsi; zatrzymała się w Koszalinie. Odwiedzała miejsca, które kiedyś dobrze знаła, a które teraz były dla niej zupełnie obce. Niezmienny pozostał smak morskiej soli na języku, wyczuwalny wszędzie.

Ta sól wypełnia mi płuca i myśli. Ależ za tym tęskniłam – myślała. – Nawet o tym nie wiedziałam. Kiedy to miasto stało się moje?

Gdy chodziła do szkoły nie ceniła szerokich alei, zieleni porozkładanej w ponemieckim porządku ani autobusów wiozących prosto na plażę. Po ponad dziesięciu latach, jednym rozwodzie i worku utraconych złudzeń wiedziała już, że ceni się to, co odeszło.

Teraz już mogę tęsknić za morzem bezkarnie. Teraz mi wolno, kiedy już jestem daleko.

Nie spędzała jednak czasu wyłącznie na roztrząsaniu wspomnień. Spotkała się z kilkoma osobami, zasięgnęła języka, odwiedziła kilka miejsc. Przyjechała z konkretnym planem i zamierzała go zrealizować bez konsultacji z Ojcem, Matką, czy kimkolwiek innym. To nie były towarzyskie spotkania, chociaż i takie się zdarzyło. Jedno. Dwa. Nie było znajomych, z którymi chciałaby utrzymywać kontakt. Zresztą, jej klasa rozjechała się po świecie, każdy szukał własnych okruchów szczęścia. Spotkała się więc z jedną koleżanką, z którą siedziała przez cztery lata w jednej ławce, i nie miały o czym rozmawiać. Spotkała się z drugą, z którą czasami popalała podczas przerw na tyłach sali gimnastycznej, w krzakach. Wysłuchiwała opowieści o dzieciach, nędznej posadzie w urzędzie, który kiedyś był wojewódzki, i oszczędziła opowieści o swoim życiu. Wydawało się zbyt barwne, znacznie lepsze od losu przedwcześnie postarzałej przyjaciółki. Monique potrzebowała jej pomocy, nie zazdrości.

– Twój ojciec ma jeszcze ten ośrodek nad morzem?

– Który? – prychnęła koleżanka. Zaciągnęła się papierosem, już czwartym podczas krótkiej rozmowy, zmarszczki wokół jej ust rozkładały się promieniście jak słońce, ciągnąc za sobą nosowe bruzdy. Po każdym wdechu sflaczałe planety policzków smutno opadały. – Ma trzy. Dwa w Mielnie, jeden w Sarbinowie. Całe szczęście, że je ma. Bez tego byśmy sobie nie poradzili. – Koleżanka nie była ciekawa życia Monique. Chciała opowiedzieć o swoim i obu było to bardzo na rękę. Monique słuchała, czasem zadając zdawkowe pytania dowiedziała się wszystkiego, co istotne. I natychmiast chciała wyjść. Uciec. Zapomnieć o smutnych oczach, ciągle młodych, w których gościła już starość.

Wieczorem odczytała SMS-a. „WRÓCIŁA”. Dopiero po chwili zrozumiała, że to żona Damiana zmądrzała. Poszła się upić na smutno.

I ten stracony – myślała.

Przyjazd Monique do rodzinnej wsi wzbudził sensację. Takie volvo to czasami zdarzało się wśród letników, a i to rzadko, bo bogacze wybierali wygodniejsze miejsca. Dzieciaki oblepiły samochód i Monikę, której zrobiło się głupio. Wpadła w wir krzyżowych pytań, nie mogła zrobić kroku. Ile pali? A jaki przebieg? Ile kosztowało? Dużo pani jeździ?...

Mogłam chociaż zabrać ze sobą paczkę cukierków – pomyślała. Nie poznawała dzieciarni. – Te wyrostki tam na płocie to czyje? – rozmyślała. – To chyba Hubert! I Waldek! Niemożliwe! – wykrzykiwała do siebie w duchu. W końcu przedarła się do domu Ojca.

Półmrok, cisza i kurz. W kątach i na środku stały kartony, byle jak pozaklejane szarą taśmą, porozstawiane bez porządku, nieopisane. Krzywe drzwiczki w czterdziestoletniej meblościance były uchylone, zagięty gwóźdź, który je podtrzymywał, sterczał w poprzek. Na kuchni stały garnki z zaschniętymi resztkami. W korytarzu płatami zwisały tapety, spełnienie marzeń Matki o luksusie lat siedemdziesiątych. Ojciec siedział na nieposłanym łóżku w sypialni. Pościel była zmiętolona, on sam nieogolony i cuchnący. Monique przysiadła na jednym z kartonów, które wypełniały sypialnię tak samo jak salon i przedpokój.

– Czy wiesz, że zabrałeś mi jedyne miejsce, w którym byłam u siebie? – powiedziała zamiast powitania. Rękę trzymała w torebce, na niewielkim kwadratowym pudełku. Tutaj *Kołysanka* Brahmsa była jak najbardziej na miejscu, nawet tylko w myślach.

– Czy wiesz, że nie było cię tu dziesięć lat? – odpowiedział, nie patrząc na nią.

Milczenie przedłużało się, ale nie przeszkadzało im. Byli razem cały czas, przez te wszystkie lata, chociaż wcale o tym nie myśleli. Tylko ludzie, którzy rozumieją się bez słów, są w stanie pojąć się nawzajem.

– Tu jest twój nowy dom. Nowe życie – podała mu kopertę.

– Nie chcę od ciebie pieniędzy. – Ojciec odtrącił jej rękę. Sam nie wiedział, czy bardziej z oburzenia czy pogardy.

– Nie daję ci pieniędzy. – Monique wywróciła oczami. Niby tak się rozumieli, a posądzał ją o zatykanie dziury zwitkiem banknotów.

Chociaż właściwie, czy tak naprawdę robię coś innego? – przemknęło jej przez głowę.

Ojciec sięgnął po kopertę. Długo jej nie otwierał. Przyglądał się Monice.

– Elegancka jesteś – powiedział w końcu.

– Otwórz – odpowiedziała.

Wewnątrz koperty był akt notarialny. Monique kupiła Ojcu podupadający ośrodek wczasowy, który cierpiał wyłącznie na to, że nikt o niego nie dbał. Przedsiębiorstwo, do którego należał, kiedyś potentat w swojej dziedzinie na Dolnym Śląsku, miało tyle problemów, że nie dbało o żadną działalność poboczną.

Kto tym zarządza? – zastanawiała się Monique, zwiedzając poprzedniego dnia ośrodek. – Przecież to żyła złota. Może nie idzie im w biznesie podstawowym, ale ten ośrodek uratowałby firmę, a przynajmniej jej część. Gdyby tylko się nim zająć – kręciła głową i mówiła co innego. Mruczała, że strasznie zaniedbane, wymaga remontu, zieleń zapuszczona... Udało jej się wytargować dobrą cenę, jak zawsze w negocjacjach. W ciągu jednego dnia kupiła ośrodek z trzyhektarowym terenem, sto metrów od morza. Rzeczywiście wymagał inwestycji, ale Monika miała dużą zdolność kredytową, a gotówki tyle, że starczyło na sam ośrodek. Zrobiła już wstępny biznesplan.

Remont tyle, wyposażenie, trzeba zatrudnić załogę – w myślach widziała już ośrodek tętniący życiem i hałaśliwymi grupami dzieci.

– Chciałabym, żeby nazywał się „Monique” – powiedziała do Ojca, gdy przeczytał już dokument. Odłożył go na zatłuszczony blat stolika, nie patrząc na córkę.

– Wyśmiej mnie. Lepiej „Monika” – powiedział po chwili milczenia.

Może i tak – pomyślała. – „Monique” sprawdza się w świetle jarzeniówek, gdzie ludzie mówią do siebie, mieszając języki. Tutaj rzeczywiście byłoby śmieszne.

– Poprosiłam Joannę o pomoc – powiedziała głośno. – Zaproponowałam jej pensję i mieszkanie na

terenie ośrodka. Wróciła z Londynu i nie ma na siebie pomysłu. Ciotka się o nią martwi, a tak będzie miała zajęcie i interes będzie w dobrych rękach. W końcu rodzina.

Ojciec sięgnął znów po kopertę. Uważnie oglądał papiery. Poza aktem notarialnym był tam wyciąg z konta.

– Ta kwota powinna wystarczyć na wyciągnięcie ośrodka z kłopotów – powiedziała Monika. Ojciec dalej milczał. Wstała, otrzepała ze spódnicy niewidzialny okruch i powiedziała: – Pójdę już.

Ojciec nie odwrócił się, kiedy wychodziła. Powiedział do podłogi: – Zostań, tu jest twój dom. Możemy zostać jeszcze tydzień.

Monika nie słyszała. Była już za progiem, w świecie, w którym dzieciaki siedziały na masce jej samochodu w oślepiającym słońcu. Następny dzień spędziła w SPA, po czym wróciła przed czasem do Warszawy i od razu poszła do pracy.

Peter przesłał Monique mnóstwo dokumentów. Nowe sprawy. Przez telefon omówili kolejne kontrakty i problemy, które pojawiły się u dwóch klientów. Monique była wypoczęta, zadowolona z załatwienia sprawy z Ojcem, miała siły i zapał do pracy. Przycisnęła zespół, błyskawicznie załatwiła bieżące tematy. Peter miał dla niej wieści, ale wcale nie chciał ich przekazywać. Przestał w nią wierzyć, odkąd Oktawia przedstawiła mu problem, który miała z jednym z kontraktów. Wyjazd przełożonej był Oktawii bardzo na rękę, w naturalny sposób mogła się zwrócić do Petera.

Nie wszystko jednak zależało od aryjskiego Niemca. Prezes, po przeanalizowaniu wyników, nakazał mu rozszerzyć dział Monique na Azję. Biznes w Europie rozwijał się, w Azji kulał.

– Wprawdzie mentalność Azjatów jest inna – tłumaczył prezes – jednak cenią oni europejski punkt widzenia. Nie bardzo lubią pracować z kobietami, ale Monique ma ustawić organizację pracy i zrobić porządek, a na spotkania z klientami niech jeździ lokalny manager – cedził. Pozornie prezes przekazał swój wniosek pod dyskusję, w praktyce było to polecenie. Peter nie miał wyjścia. Oznajmił podwładnej nowinę tydzień po jej powrocie znad morza.

– Kolejny awans? Chcecie mną zaorać cały świat? – zapytała z sardonycznym uśmiechem. Oczywiście przyjęła propozycję. Jej pensja stała się niebotyczna, a ona znała już siłę pieniądza. Ośrodek „Monika” w pełnej letniej krasie śnił jej się częściej, niż cokolwiek innego. Chodziła po jego korytarzach, szukając Adasia.

Przez pierwszy tydzień po awansie pracowała po szesnaście godzin na dobę, zaplanowała podróże, ściągnęła dane do kontraktów, przeanalizowała wyniki, odbyła wiele rozmów. Potem zaczęła wyjeżdżać.

Samoloty stały się dla niej biurem. Robiła dokładnie to co wcześniej – ale znacznie więcej. Musiała nauczyć się wielu rzeczy i popełniła mnóstwo towarzyskich gaf. Japonia kojarzyła jej się głównie z sushi i gejszami, czasami jeszcze bonsai, a Chiny z Wielkim Murem. Nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tradycją tych krajów, nad ich historią, na tle której ona, Europejka z jakiegoś nieznanego kraju, prezentowała się dość niewyraźnie. W końcu kto tam wie, gdzie jest Polska? Rządziej podróżowała po Europie, kochankowie zaczęli się o nią upominać. Znalazła sobie nowych w Hongkongu i Szanghaju oraz w Tokio. Rodowitych. Monique traktowała ich inaczej. Tylko słuchała, w ogóle nie mówiła. Czuła się skrępowana swoją niewiedzą, której nie mogła uzupełnić przeczytaniem jednej książki. Słuchała o jedwabnym szlaku, wojnach opiumowych, sięgnęła po *Kwiaty śliwy w złotym wazonie*, jedną z popularnych chińskich powieści dostępnych na polskim rynku. Nie chciała czytać tej książki po angielsku, obawiała się, że nie zrozumie tej najciekawszej, subtelnej warstwy idiomów, cieni podwójnych znaczeń, bez których powieść stawała się tylko wybiegiem dla rozerotyżowanych postaci. Próbowwała zrozumieć japońską mitologię i wydawało jej się, że rozgryzła już swojego kochanka, kiedy przeczytała całego Murakamiego.

Zasypiała czasem nad komputerem, budziła się wtedy z odcisniętym śladem klawiszy na policzku; do

łóżka kładła się o świcie, a rano była już w pracy. Ciągłe odnosiła sukcesy. Porządkowała kontrakt za kontraktem, znajdowała rozwiązania, planowała nowe wdrożenia; konsolidowała procesy, oszczędzała pieniądze firmy i ciągle zdobywała nowych klientów. Wprawdzie w Azji nie prowadziła osobiście negocjacji, jednak instruowała podwładnych dokładnie, jakie są ich cele – co mogą, czego im nie wolno, co muszą uzyskać, a gdzie mogą odpuścić. Krok po kroku, sukces po sukcesie, zarabiała dla firmy pieniądze, które wcześniej wydawały się nie do zarobienia. Pozycja firmy rosła, pozycja Monique – nie. Tak jak w Europie, w Azji jej nie lubiano. Peter miał coraz więcej obaw. Monique wyglądała jak cień pięknej kobiety. Schudła na samolotowym jedzeniu, które rosło jej w ustach. Przypominała wysokie szczudła. W podłużnej twarzy widać było zmęczone oczy, wiecznie zaczerwienione, podsinione, jakby wytrzeszczone. Tylko rozlana plama czerwonej szminki dawała poczucie, że to wciąż żywa osoba. I plamy pod pachami, których nie dawało się ukryć. Sukces niszczył Monique. Jet lag ją rujnował. Alkohol poprawiał samopoczucie, wizerunku już nie.

Pomiędzy podróżami Monique nie bywała nigdzie – nie wychodziła nawet na lunch. Wiadomości słuchała w samochodowym radiu. Pogodę sprawdzała w Internecie – rzadko interesowała ją lokalna prognoza, podawana przez polskie stacje. Czytała tylko to, co mogło jej się przydać w rozmowie z kochankami lub co było jej potrzebne w pracy. Nie oglądała filmów, nie bywała w kinie. Nie kupowała już nawet ubrań – przychodziła do niej krawcowa, ta od Teresy, pokazywała swoje propozycje i szyla Monique ubrania zgodne z aktualną modą, dopasowane do jej szczudlastej sylwetki.

Ilość pracy nie robiła na niej wrażenia. Przerażeniem napełniała ją myśl, że praca przestała sprawiać jej przyjemność. Tłumaczyła sobie czasem nocami, oczekując bezskutecznie na sen, znieczulona winem, dzięki któremu nie nachodziły jej koszmary: – *Czego ja chcę? Zdarzyło się jak ślepej kurze ziarno, taka praca, kasa, takie horyzonty, a ja wmawiam sobie zmęczenie.*

Ten stan trwał już kilka miesięcy, gdy do firmy przyszła nowa kadrowa. Zaczęła od porządków.

– Pani Moniko, to niedopuszczalne! Po pierwsze, ma pani sześćdziesiąt dni zaległego urlopu! Po drugie, nie pilnuje pani urlopów w swoim dziale. W przypadku jakiejś kontroli firma może mieć kłopoty. Po trzecie, od dnia zatrudnienia nie robiła pani badań kontrolnych. – Kadrowa miała zimny głos, nie uśmiechała się. – W trybie pilnym musi pani zrobić badania okresowe i kazać swoim podwładnym także je wykonać – przy ostatnich słowach podniosła głos i postukała palcem w blat biurka, przy którym stały. – Poza tym niezwłocznie zacznie pani wykorzystywać zaległy urlop, najważniejszy jest ten sprzed dwóch lat. Ja nie żartuję, na badania ma pani czas do końca przyszłego tygodnia. Na cały dział. Inaczej otrzyma pani polecenie służbowe. Od prezesa.

– Co mi tu pani wyjeżdża z poleceniem służbowym – wysyczała Monique. – Polecenia w tej firmie wydaję ja. I nie będę ich przyjmować od kogoś, kto pracuje tu trzy tygodnie. – Wydęła usta i odeszła. Korytarzem przechodził jeden z kolegów, więc zakręciła seksownie biodrem. Następnego dnia wyleciała do Azji i zapomniała o kadrowej. Ona o Monice nie.

Dwa dni później dostała od Petera maila. Pytał dlaczego konfliktuje się z nowym szefem HR.

– Nie konfliktuje się – odpisała odruchowo. – Po prostu nie mam czasu na pierdoły. – Wysłała maila, zanim go przemyślała.

– Monique, narażasz firmę na kłopoty. Masz zrobić pilnie badania, to polecenie.

– O rzesz ty... – wyrwało się Monique niecenzuralnie. – Jednak idziesz na wojnę, ty raszpło! – zacisnęła dłoń w pięści i uderzyła w biurko. Filiżanka z kawą zachybotła się, kilka kropli prysnęło na okładkę kalendarza Monique. – Pokażę ci, kto w tej firmie rządzi – mruzczała do siebie jeszcze wieczorem, pakując walizkę do taksówki. Wracała do Polski i zamierzała nieźle dokuczyć nowej szefowej HR.

Nigdy tego nie zrobiła.

Poszła na badania, traktując je rutynowo. Na pytania lekarza odpowiadała mechanicznie – żadnych stale przyjmowanych leków, żadnych obciążeń genetycznych, nie, w najbliższej rodzinie nie było raka. Prawdłowo, wszystko prawidłowo. Lekarz zapytał ją, czy pali.

– Skądże – oburzyła się.

– Ale dużo pani pracuje przy komputerze, prawda?

– Cóż, to taki rodzaj współczesnego pług – zażartowała.

Lekarz cały czas się uśmiechał. Na zakończenie wręczył jej plik kartek.

– Musi pani jeszcze odwiedzić okulistę i zrobić EKG. Oraz badania krwi. Ma pani aktualne prawo jazdy? Testy psychometryczne? – Monique o to akurat zadbała. Lekarz patrzył jej prosto w oczy. – Ma pani powiększoną tarczycę, dlatego przepisałem badania na hormony. W laboratorium wszystko pobiorą za jednym zamachem.

– Będzie jeszcze więcej wizyt? – zirytowała się. – To miała być formalność, ja nie mam czasu.

– Dla mnie to moja praca, droga pani, nie formalność. I wykonuję ją rzetelnie. Żegnam.

Monique wyszła roztrzęsiona.

Dlaczego się denerwuję? – zastanowiła się. Zatęskniła za lampką wina. – *Wpadam w alkoholizm* – pomyślała nie po raz pierwszy. Po powrocie do biura przeglądała dokumenty na następny wyjazd. – *Kiepski ten kontrakt. Muszę go renegocjować. Dobrze, że tym razem Hamburg, tylko godzina lotu. W porównaniu z Azją to pestka* – myślała o sprawach abstrakcyjnych dla przeciętnego człowieka. Wyszła wcześniej z biura, była zmęczona. Nie wypila tym razem ani kropli alkoholu, od razu położyła się do łóżka. Budziła się wprawdzie często, ale spała do rana. Następnego dnia wyglądała pięć lat młodziej.

Cóż, już nie ten wiek na notoryczne niedosypianie – pomyślała, wklepując drogi krem z wyciągiem z kawioru, który zamówiła ostatnio u jednego z kochanków. Wyznawała zasadę, że lepiej określić oczekiwania, niż trzymać w łazienkowej szafce baterię niechcianych flakonów. Kochankowie Monique dostawali więc czytelne sugestie, czasem zapisywane na kartce, jeśli istniała obawa, że mogą pomylić marki lub nazwy kosmetyków. Monique była pragmatyczna. Wolała wydawać cudze pieniądze na własne przyjemności.

Wyspanie się i luksusowy krem działały cuda. – Pięknie dzisiaj wyglądasz – mówili koledzy. – Zakochała się? – plotkowały koleżanki. A Monique o godzinie dziewiątej trzydzieści trzy odebrała telefon, który przywrócił jej szary koloryt.

– Musimy zrobić więcej badań – tłumaczył lekarz. – Ma pani nieprawidłowe wyniki hormonów tarczycy, to może być nadczynność.

Natychmiast wyszła z biura. Była u lekarza czterdzieści minut później.

– Panie doktorze, ja muszę mieć to zaświadczenie. Inaczej stracę pracę.

– Nikt nie traci pracy od nadczynności tarczycy. No, chyba że ma być rybakiem – zaśmiał się jowialnie.

– A i wtedy pomagają leki, proszę się nie martwić. Zaświadczenia na razie nie wystawię, dopiero po pełnym cyklu badań.

Monique zaczerpnęła głęboko powietrza. – Ja... ja się wychowałam nad morzem.

– I nigdy nie badano pani tarczycy? Nie brała pani żadnych leków? Ktoś w pani rodzinie chorował?

Kobieta kręciła głową w odpowiedzi na każde pytanie. Lekarz zastanowił się. – Może się okazać, że miejsce urodzenia i wychowania miało wpływ na pani tarczycę. Negatywny. Miała pani problemy z miesiączką? – Lista pytań była długa, wywiad dokładny, a Monique tym razem zastanawiała się nad odpowiedziami.

– Podejrzewam chorobę Gravesa-Basedowa. Ma pani przekrwione oczy, lekki wytrzeszcz... wizyta u okulisty jest absolutnie konieczna. To jeden z symptomów tej choroby. Farbuje pani włosy? – Monique zachnęła się na te słowa. – Proszę się nie oburzać, jednym z objawów jest wczesne siwienie. Cierpi pani

na bezsenność? Schudła pani ostatnio? Czy pani się poci?

– Od dzieciństwa i bardzo mocno.

Lekarz skrupulatnie notował każdą z odpowiedzi. – Zrobimy jeszcze USG, będzie wszystko wiadomo. Wypiszę pani skierowanie na cito. Musi pani też zmienić tryb życia. Widać u pani przemęczenie. To nie pomaga w żadnej chorobie, także w tej.

– Panie doktorze, jak to jest możliwe? – Monique w końcu zaczęła myśleć racjonalnie. – Skoro tak, to muszę cierpieć na tę nadczynność od dawna.

– Najprawdopodobniej – potwierdził lekarz.

– To czemu wcześniej nic nie było widać? Mieszkałam nad morzem, tam objawy powinny być silniejsze.

– Teoretycznie ma pani rację. Praktycznie była pani wtedy bardzo młoda. W okresie dojrzewania wiele objawów może być uznanych za naturalne. Poza tym w młodym wieku ta choroba nie jest dokuczliwa. Literatura podaje, że wiek od dwudziestu do czterdziestu lat to ten okres, w którym objawy się nasilają. Z mojej praktyki wynika, że najczęściej przychodzą trzydziestoletnie kobiety.

– To co teraz? – spytała Monique bezradnie.

– Nic szczególnego. Dostanie pani odpowiednie leki, będzie pani o siebie dbać, i wszystko będzie dobrze.

Wszystko będzie dobrze, tak. Na pewno tak – myślała.

– Ciągłe nie ma pani zaświadczenia? – Kadrowa spurpurowiała. – Trzeci raz proszę!

– Postaram się dostarczyć jak najszybciej – odpowiedziała Monique. Już nie chciała nic udowadniać. Lekarz ciągle zwlekał z zaświadczeniem, a ona nic nie powiedziała w pracy o chorobie. Znow wylatywała do Azji. Miała tam ważny kontrakt do podpisania, pracowała nad nim z całym zespołem kilka miesięcy.

Teraz trzeba tylko podpisać i odcinać kupony – uśmiechała się, pakując walizkę. To był jeden z największych kontraktów, jakie kiedykolwiek negocjowała. I bardzo perspektywiczny. Obejmował zaledwie część działalności klienta, pozostawało jeszcze kilka fabryk, które także mogły zostać objęte projektem, jeśli tylko teraz wszystko pójdzie dobrze.

Dlaczego miałyby nie pójść? – Monique wzruszyła ramionami. – *Zawsze dobrze szło. Muszę się skupić na pracy, dość rozczulania* – pomyślała, wykrzywiając usta. Z brzegu kieliszka wytarła szminkę. Piła teraz jedynie gazowaną wodę mineralną, jednak sączyła ją wyłącznie z eleganckich lampek.

W samolocie schowała laptopa. – *Muszę być wypoczęta* – pomyślała. Spała niespokojnie na niewygodnym samolotowym fotelu, co chwilę opierając się o ramię siedzącego obok Azjaty. Patrzył na nią niechętnym wzrokiem, oceniając chudą Europejkę jako wyjątkowo rozpustną.

Och, żebyś ty wiedział, jaką masz rację – pomyślała rozbawiona, zanim znow zapadła w sen i ponownie jej głowa opadła na ramię sąsiada. Zapomniała potem o tym Azjacie. Aż do wejścia na salę konferencyjną, w której miała podpisać swój najbardziej spektakularny kontrakt. Na miejscu prezesa siedział nieprzychylny Azjata; nawet nie zmarszczył brwi na jej widok. Nie okazał żadnych emocji. Wykazał błędy w przygotowaniu kontraktu, wyliczył punkty, których jego firma nie może zaakceptować i podziękował zebrany za przybycie, zamykając cicho za sobą drzwi. Monique skamieniała. Nie mogła negocjować w tym gronie, nie powinna nawet zabierać głosu, od tego byli Japończycy, lokalni managerowie i dyrektor, ona miała tylko sygnować. Co poszło nie tak?

Wszystko.

Peter był wściekły. Nawet nie chciał z nią rozmawiać – po prostu kazał iść na urlop. Pisemnie, mailowo, bez dyskusji. „Jesteś zmęczona, nawalasz z najprostszymi rzeczami.” Do decyzji Petera przyczyniła się też kadrowa. Wykorzystała jako pretekst porządkowanie dokumentacji. Ciągły brak zaświadczenia lekarskiego od Monique wkurzał ją, na razie jednak zajęła się zaległym urlopem. Któż zresztą lubił Monique? Wielu od niej było zależnych, bało się jej, niektórzy marzyli o figurach w łóżku – ale nikt jej nie lubił. Sama Monique byłaby zresztą zdumiona, gdyby okazało się inaczej.

Sama też była wściekła. Zdawała sobie sprawę, że nikomu jeszcze nie udało się w firmie doprowadzić do tak dalece zaawansowanych rozmów, które miały wykreować ją na największą korporację w branży. Doskonale wiedziała, że jest gwiazdą. Peter też to wiedział i postanowił sam zostać gwiazdorem. Jakaś zapyziała Polka przyćmiewała jego managerskie osiągnięcia i było mu to bardzo nie w jego niemiecki smak. Fiasko tokijskiego kontraktu zamierzał przekuć w swój wewnętrzny sukces. Przygotował całą listę potknięć Monique. Nie wszystkie były prawdziwe, niektóre zaś wprost śmieszne; spis jego własnych wpadek byłby znacznie dłuższy, ale nie zamierzał się nad tym skupiać. Wykorzystywał wszelkie plotki, cienie informacji, donosy Oktawii. Ta ostatnia radziła sobie całkiem nieźle. Podejmowała się wyłącznie łatwych zadań. Robiła wokół mnóstwo szumu, poświęcając na to gros swojego czasu. Dyskutowała na wiele tematów, często i głośno – ważne było, że ją słyszeli i widzieli, a jeśli się nie zgadzali – zagłuszała krzykiem. Wszelkie nowe zadania Oktawia przyjmowała wykrzyknikami: – Super! Mega super! Fantastycznie! – A potem cedowała je inteligentnie na kolegów, żeby się nie przemęczyć. Oktawia bardzo dużo nauczyła się od Monique – była pojętna, jednak również leniwa. To była zasadnicza różnica pomiędzy nią i szefową, a Oktawia nie rozumiała, że ten jeden aspekt na dłuższą metę dyskwalifikuje ją jako biznesową gwiazdę.

Monique musiała pogodzić się z poleceniem. Ostatni urlop spędziła na kupowaniu ośrodka dla Ojca. Z tygodnia wykorzystała cztery dni.

Mam jechać gdzieś na trzy tygodnie? To będzie katorga – myślała. Kiedy już się wyspała, uznała, że może nie będzie aż tak źle. – *Pojadę nad morze, odwiedzę Ojca. No i zrobię kilka rzeczy, na które brakuje mi czasu.* – Wymyśliła nowy system motywacyjny dla personelu. Wymagał dopracowania. Chciała też sporządzić nowy schemat prezentacji dla klientów. Własne prezentacje poprawiała czasem do czwartej nad ranem, ale wiedziała, że jej ludzie nie robią tego tak starannie.

Powinni dostać gotowy materiał, który po prostu zawsze wygląda dobrze. Tak duży, żeby w każdych okolicznościach dało się z tego przygotować dobrą prezentację dla klienta. – Poza tym myślała o nowych usługach i nowym kanale sprzedaży. – *To będą same korzyści* – myślała. – *Zrobię trochę firmowych rzeczy, pooddycham świeżym powietrzem. Tylko z tym jodem nie tak...* – Przed wyjazdem poszła do lekarza, który zapisał jej odpowiednie leki, wydał wreszcie zaświadczenie i omówił całą kurację.

– Badania potwierdziły moją diagnozę – powiedział. – Teraz musi się pani oddać w ręce specjalistów. Ja na razie wypiszę leki na najbliższe tygodnie, ale musi pani wybrać sobie lekarza. Mogę to być ja, jestem też endokrynologiem, a może to być ktoś inny. Jeśli będzie pani przestrzegać zaleceń i systematycznie brać leki, nie powinna pani odczuwać żadnych dolegliwości. I proszę pamiętać o regularnych kontrolach – lekarz był profesjonalistą, nie wspomniał o arogancji Monique z ostatniego spotkania. Nawet uśmiechnął się na zakończenie wizyty.

Kupiła więc baterię lekarstw, spakowała walizkę i wsiadła w samochód. Jechała wyjątkowo powoli.

Nie zauważyłam, kiedy minęło kolejne lato – rozmyślała. – Znów przymrozki zdjęły liście z drzew. Ile to już lat? – myślała. – Powinnam być z siebie dumna – poprawiła się na siedzeniu. – Powinnam być dumna z tego, gdzie zaszłam. Nie, błąd. Ja jestem z tego dumna. Nikt z moich znajomych nie ma takiego życia, takich zarobków, doświadczeń, nie widział tyle świata.

A potem dodała ze smutkiem: *– Świata sal konferencyjnych i hotelowych korytarzy, oraz zbrukanej pościeli. Nie, nie taką wersję będę pokazywać rodzinie i znajomym. Nikomu nie będę tej wersji pokazywać. Jestem kobietą sukcesu. Światową, zadbaną – stuknęła wskazującym palcem o kierownicę. – Znam najnowsze trendy, orientuję się w technologiach i zawsze rozpoznam podróbkę ciucha czy torebki. Jeżdżę świetnym autem... – Monique wyliczała w myślach. Po każdym zdaniu czuła się lepiej i odrobinę mocniej naciskała pedał gazu. Po kilku godzinach, kiedy zmęczona wysiadała na parking przydrożnej restauracji, spragniona i głodna, popatrzyła na zakurzone auto i pomyślała: *– To tyle? Tyle wystarczy, żeby poczuć się dobrze? Kilka zdań, pamięć o markowych kosmetykach i nieetycznie drogich ciuchach – i już jestem lepszym człowiekiem?**

Zamówiła herbatę i pierogi. Wielką michę pierogów. Żadnego carpaccio ani owoców morza. Była nawet bliska zamówienia kaszanki.

Tyle lat nie jadłam kaszanki, że mogę mieć niestrawność – pomyślała jednak asekuracyjnie. Tak naprawdę to pamiętała z dzieciństwa smak matczynej kaszanki, nie chciała go porównywać z masowo produkowaną kiszka. To było jedno z bezcennych, bo nielicznych wspomnień czasów, kiedy rodzina była jeszcze rodziną, dom domem, a oczywistość resztek mięsa mieszanego rękami w wielkiej misce, ceremoniał dodawania krwi, wbijania masy w oczyszczone jelita – stanowiły tło prawdziwego życia. Wyobraziła sobie swoich kolegów, pracowników, Oktawię, pochylonych nad okrawkami mięsa i parsknęła śmiechem. Oni jedli tylko różową szyneczkę, bez tłuszczu, na białej bułeczce, ewentualnie z dodatkiem majoneziku. Kelnerka, wysoka i krągła, uznała ten śmiech za obraźliwy. Myśli Monique zbiegły się z jej podejściem do stolika.

– Przepraszam, śmieję się do swoich myśli – powiedziała.

Dziewczyna miała śnieżnobiałe zęby, uśmiechnęła się, kiwnęła głową i postawiła danie na stole. – Smacznego.

Smacznego – pomyślała smutno Monique. Nie doświadczała w życiu głodu, ale kiedyś jadała byle co. Teraz, kiedy głód mogła zaspakajać w każdej kuchni, nawet tej wytwornej, uczucie wewnętrznej pustki zagościło u niej na stałe. Gryzło duszę. Tam były ścieżki prowadzące do domu, ale nie miała po co nimi iść. Tam czekał pijany Ojciec, ciągle od nowa umierająca w łóżku babka, i Matka idąca za Ojcem jak cień w jego pijackim widzie, cień samej siebie sprzed lat, tylu lat, które nie mogły już wrócić. Monique nie podobały się obrazy z własnej duszy, dlatego lubiła być w pracy, najlepiej z niej nigdy nie wychodzić, i nie wracać żadną myślą do wspomnień o domu.

Jak ja bym chciała uśmiechać się do własnych myśli – wyszeptała w talerz po pierogach. Wyszła z karczmy; na białym grysie, na skraju parkingu leżało opakowanie po prezerwatywie.

Chciałabym pozbierać swoje myśli tak, jak można zbierać błyszczące papierki po cukierkach i prezerwatywach. Co to za miłość, gdy ludzie nie potrafią doczekać się siebie i kochają się na

parkingu? – myślała z zazdrością.

Nie mogła wiedzieć, że kelnerka ze śnieżnobiałymi zębami kochała się w chłopaku z sąsiedniej wsi. Miał bogatych rodziców i jeździł terenowym autem już w średniej szkole. Wyjechał na studia, ciągle na niego czekała i udowadniała to na parkingu za każdym razem, gdy pojawiał się w okolicy. Chciała wyrwać się z historii rodziny, nie pić, posyłać do szkół czysto ubrane dzieci i malować paznokcie. Chłopak przyjeżdżał i korzystał, ale ożenił się z córką lekarzy z Torunia. Rodzinna historia dziewczyny ze śnieżnobiałymi zębami zatoczyła koło.

Monique objadła się pierogami ponad miarę. – *To piąty grzech główny* – myślała rozleniwiona. Jechała powoli, dając myślom czas na nadążenie za uciekającą jezdnią. – *Grzech* – rozmyślała. – *Kiedy ostatnio byłam w kościele? W buddyjskiej świątyni to kilka razy, ale w katolickiej? Nie pamiętam. Pójdę nad morzem. Tak, wezmę Ojca pod ramię i pójdę z nim do kościoła. Ubierze się w białą koszulę i garnitur, który miał na moim ślubie i wszystkich innych ślubach, pogrzebach i chrzcinach. Wezmę go pod rękę, ja też ubiorę się odpowiednio, założę gładką brązową sukienkę i buty na niskim obcasie, będzie mu miło.* – Wjechała do Koszalina. Późnym wieczorem miasto było piękne. Nie doceniała go jako nastolatka, za to teraz, przemierzając puste ulice, uświadomiła sobie, że lubi jego porządek i spokój. Jeździła po znanych ulicach w kółko.

Zadzwoń do Damiana – pomyślała.

– Witaj, pani wielka nieobecna – odebrał po drugim sygnale.

– Brzmisz na zadowolonego – powiedziała na przywitanie.

– Za to ty na zmęczoną. Kawa?

– Chętnie. Jeśli wpadniesz nad morze.

– Czyżbyś miała urlop? Ty na urlopie?

– Przymusowy – zaśmiała się.

Damian natychmiast spowaźniał. – Masz problemy w pracy?

– Nie, ja... – zamilkła. – Nie myślałam o tym w ten sposób. Ja... Tak, masz rację. Mam problemy w pracy. Przede wszystkim mam problem ze sobą.

– Przyjadę jutro.

– Nie przyjeżdżaj. Nie chcę. Chcę tutaj побыć z Ojcem.

– Kiedy wracasz?

– Za trzy tygodnie.

– Ależ cię wygnali. Odezdziesz się?

– Pewnie. Lubię kawę u Bliklego.

Jeździła dalej po Koszalinie, rozmyślając.

Tu się musi dobrze żyć – przypomniawszy sobie licealne lata, koleżeńskie śmiechy i wyczekiwane dyskoteki. – *Może tylko mało tu rozrywek.* – Uświadomiła sobie, że używa wytrychu, który nic nie otwiera. – *Nie chodzę do kina ani teatru, jakich rozrywek mi trzeba? Telewizja wszędzie taka sama. Tylko do lotniska daleko, ale może przestałabym już tak latać?* – wjechała na drogę w lesie, było ślisko. Jechała znacznie dłużej niż zwykle. W milczeniu, wyłączyła nawet radio, skręciła do Mielna. Po sezonie miejscowość była opustoszała. Zawróciła, skierowała się do Sarbinowa. – *Jak się tam odnajdę?* – niepokoiliła się spotkaniem z Ojcem.

Tej nocy nie odnalazła się wcale.

Powitała sztywno Ojca, cmoknęła szorstki policzek, on niezgrabnie ją uścisnął i już porwał walizkę.

– Przygotowaliśmy dla ciebie pokój – powiedział, a Monique wiedziała, że miał na myśli najlepszy z dostępnych.

– Macie jeszcze gości – stwierdziła, patrząc na parking. – To dobrze.

– Dobrze, ale wszystko mało – odparł Ojciec.

– Dlaczego za mało? – stanęła w połowie schodów.

– Nie starcza na wszystkie remonty i tym podobne. Ale o tym jutro, dzisiaj już daj spokój – otworzył drzwi dwupokojowego apartamentu.

– Dziękuję, tato – odparła Monique i powtórzyła to jeszcze pięć razy, stojąc z zamkniętymi oczami za zamkniętymi drzwiami.

Pomimo późnej pory zadzwoniła do Joanny, jeszcze zanim się rozpakowała. Zdążyła jednak postawić na stoliku koło telewizora pozytywkę. Kuzynka pojawiła się w ciągu kilkunastu minut, niosła naręczę papierów. Od wejścia mówiła.

– Nie wszystko zdążyłam tak szybko wyciągnąć, ale większość tu jest. Możemy prześledzić wydatki, inwestycje, remonty, prawie wszystko, resztę doniosę jutro. Mam ci dziś pomóc?

– Jeśli możesz. I nie chce ci się spać. – Monique spojrzała na nią, wykrzywiając komicznie twarz. – Pewnie, że masz mi pomóc! – stanęły jej przed oczami szczeniące lata, wspólnie spędzane nad jeziorem i na grzybach. – Joanna – powiedziała niepewnie – co byś powiedziała na wyprawę na grzyby?

– Pewnie! Tylko musimy poczekać na deszcz, na razie za sucho. W przyszłym tygodniu ma padać.

Patrzyły na siebie bez słowa, obydwie zadowolone. Długo siedziały nad papierami. Monique analizowała dane, rachunki, koszty; pieniądze, które zostawiła, choć wydawały się wystarczające, wcale takie nie były. Przeprowadzili remont zaledwie połowy ośrodka.

– Pierwsze pokoje są piękne, takie jak twój – mówiła Joanna. – Nowe łazienki z piękną glazurą, nowe meble i lampy, na podłogach wykładziny. Kolejne pokoje są skromniejsze. Nie wystarczyło na remont otoczenia. To znaczy zadbaliśmy o trawniki, żywopłoty i w ogóle zieleń, ale na remont boiska czy kort tenisowy nie starczyło. – Monique ziewnęła, Joanna też. Była trzecia nad ranem. – Chyba przesadziliśmy – przerwała w końcu Joanna. – Musisz odpocząć.

– Chyba tak – przeciągnęła się Monique.

Rano spotkały się zaraz po śniadaniu, kwadrans po dziewiątej.

– Zobaczmy w takim razie cennik – zaczęła Monique. Rachunki przeanalizowały w nocy. – Znamy koszty, teraz przychody. – Spędziły kolejnych kilka godzin na analizach.

Monique spotkała Ojca dopiero na obiedzie. – Tato, musimy porozmawiać.

– Wiem, córeczko, wiem.

Długo opowiadała Ojcu o swojej wizji. – Czemu mi nie powiedziałeś, że brakuje pieniędzy? Tato, pieniądze zawsze można zdobyć, nie warto oszczędzać na inwestycjach, musisz mieć naprawdę dobry ośrodek. Inaczej będzie przyjeżdżać tu biedota, a ty masz mieć gości z kasą. Musimy jeszcze zainwestować, zrobimy nowy, dokładny biznesplan. Skombinuję kasę, tato, nie martw się. Będzie dobrze.

Monique nie wiedziała, i miała się nigdy nie dowiedzieć, że długi Ojca zaczęły się w dniu, w którym zaciągnął kredyt na jej wesele. To miał być ślub wszechczasów i małżeństwo wszechczasów. Nigdy żadne osiągnięcia, pieniądze ani tytuły nie mogły mu wynagrodzić tego, że małżeństwo z Robertem nie przetrwało. I braku wnuków.

Ale teraz się nie martwił. Cieszył się obecnością córki, jej troską i zaangażowaniem. Był szczęśliwy, chociaż interes nie szedł należycie. Ojciec nie miał motywacji. Po co miał się starać, dla kogo? Matki nie było, a jego jedyna radość i duma, Monika, siedziała teraz przed nim, i to było najważniejsze. Potem znowu jej nie będzie i znów nie będzie mu się chciało.

Już po dwóch dniach zorientowała się, że Ojca przerasta prowadzenie ośrodka. Joanna nie chciała tego przyznać, w końcu wuj, nie wypada, ale też była tego zdania. Ośrodek potrzebował sprawnego zarządcy.

Monique uznała, że ma do przygotowania kolejne przedsięwzięcie biznesowe.

Nie była jeszcze świadoma, że Oktawia włamała się na kopię jej dysku, umieszczoną ze względów

bezpieczeństwa na firmowym serwerze. Już wcześniej wiedziała dużo – teraz ściągnęła poufne dane budżetowe, a przede wszystkim wykradła skonstruowany przez Monique plik, który zawierał tajne, newralgiczne dane. Taki rodzaj kalkulatora, oparty na wszystkich kosztach; były tam pensje, koszty wynajmu biur i wszystkie inne wydatki firmy oraz realne marże. Oktawia uśmiechała się, gdy pokazywała kalkulator kolegom.

– Zobaczcie, co znalazłam na sieci – powiedziała, otworzywszy notebooka na stole w barze. Byli na piwie i świetnie się bawili. Przeszli, gdy zerknęli na plik z wynagrodzeniami. – Firma aż tyle na nas zarabia? Monique tyle zarabia? Ale nas wykorzystują! – Banalne piwko zmieniło się w debatę nad osobistą krzywdą. – *Szukam roboty* – myślał prawie każdy z nich. – *Przyjmę tę propozycję, jaką ostatnio dostałem* – pomyślał jeden z handlowców, który do tego dnia nie zamierzał zmieniać pracy. Podjął natychmiastową decyzję. – *Nie wytrzymam tu już* – myślał każdy z zebranych.

Monique po powrocie z urlopu była tak zaaferowana nowym wyzwaniem, które sama sobie postawiła, że nie zauważyła nastrojów pracowników. Zresztą nigdy jej to nie obchodziło. Ludzie mieli wykonywać swoją pracę, nie musieli jej lubić. Skupiała się na planach stworzenia luksusowego ośrodka. Spędzała nad tym dużo czasu, powierzając część rutynowych zadań pracownikom. Nadzorowała je, ale bez zwykłej pedantyczności. Niezmiennie podróżowała. Znowu skupiła się na Europie, każdemu kochankowi opowiadając o fantastycznym miejscu nad polskim morzem, gdzie cisza, spokój, warunki dobre dla dzieci, a dla bezdzietnych wyodrębniona część, z dala od placu zabaw. Dla wszystkich coś fajnego. Słuchali zafascynowani. Polska? Właściwie dlaczego nie? Skoro Monique mówi, że tam fajnie, może warto spróbować? I niedrogo? To jeszcze lepiej. Kiedy trzeba rezerwować?

Monique zastosowała metodę przyciśnięcia do ściany. Mając wstępne rezerwacje, wiedziała, że ośrodek musi być gotowy na czas. Nie miała żadnych wątpliwości, że osiągnie cel. Odwołała dwa swoje wyjazdy, bo umówiona była z firmami wnętrzarskimi w Sarbinowie. Nie mogła pogodzić tych spotkań z wylotami do Paryża i Rzymu. Nie dopilnowała wszystkich szczegółów kontraktów, o które zawsze pieczołowicie dbała. Nikt inny się tym nie zajął, obydwie kontrakty nie wypaliły.

Nie wspomniała o tym Peterowi. Kontrakty jak kontrakty – jedno wychodzą, inne nie.

Monique milczała, ale Oktawia nie. Tak niechętny, przy obiedzie powiedziała koleżance: – A wiesz, dwa kontrakty przepuściliśmy. Mówię ci, megałatwe były, a ona je przegapiła. W ogóle leniwa jest, i głupia, to wszyscy wiedzą, ale te kontrakty – no słuchaj, katastrofa to była!

Do Petera informacja dotarła następnego dnia. Wezwał Monique na rozmowę.

– To jest rozmowa dyscyplinująca – pouczył ją. – Ludzie się na ciebie skarżą. Jesteś opryskliwa i arogancka, przegrałaś kontrakty w Rzymie i w Paryżu, w Belgii nie przystąpiłaś do przetargu na czas. Akurat na Belgii zależało mi najbardziej, a ty pokpiłaś sprawę. Wróciłaś z urlopu, może potrzebujesz go więcej? Chcesz jeszcze odpocząć? – głośno zapytał, w głowie miał inną diagnozę. – *Żaden urlop. Monique się wypaliła, trzeba ją wymienić. Muszę szukać alternatywy.*

Milczała. Potem na zimno przeanalizowała fakty, zebrała wszystkie dane jak koraliki i w głowie, jak w wielkim słoju, zamieszała. Wynik był jednoznaczny.

Potrzebuję zmian. Tylko co zmienić? Przecież ja tylko chcę zapomnieć, zagłuszam wspomnienia, próbuję przestać szukać mojego dziecka. Praca to miała być odskocznią od zapomnienia. Muszę coś ze sobą zrobić, bo zwariuję. – Następnego dnia Monique zadzwoniła do Petera i poprosiła o jeszcze dwa tygodnie urlopu. Nie chciał się zgodzić. O urlopie wspomniał, bo chciał pognać Monique, nie brał na poważnie takiej możliwości. Przestraszył się. – Może chce odejść? Muszę mieć plan awaryjny. Muszę poradzić sobie bez niej – powtarzał w ciszy swojego hamburskiego gabinetu. Widział przyszłość, w której nie radził sobie bez Monique. W ostatnich latach zdjęła mu z barków wszystkie problemy związane ze sprzedażą i obsługą kontraktów. Zapomniał, jak to się robi. Zajmował się polityką, strategią,

graniem w golfa i podróżowaniem po świecie – biznes robił przy okazji albo nie robił wcale. – *Kim ją zastąpić?*

Oktawia – przeszło mu przez myśl. Nie wziął pod uwagę Ryszarda, eksperta w swojej dziedzinie, zapomniał o potencjale Andrzeja i o innych, doświadczonych pracownikach. Pomyślał o mysiewłosej Oktawii, młodej i przebojowej, która dała się zauważyć wyłącznie dlatego, że mówiła zbyt dużo.

W telefonicznej rozmowie powierzył Oktawii odpowiedzialność za kilka bieżących kontraktów. Nie kazała się prosić. Wieczorami zostawała w biurze, sprawdzała faks i ogólnego maila, tam codziennie przychodziły jakieś zapytania. Wybrała jeden z przetargów i zaproponowała Peterowi, że sama przygotuje ofertę.

– Po raz pierwszy podpiszę ją swoim nazwiskiem – myślała, kiedy Peter się zgodził. – Jestem tego warta, wreszcie mnie docenią. Wreszcie ktoś zobaczy mnie, mnie, MNIE! A nie tę chudą i wredną, która nie dawała mi się rozwinąć, która była zbyt... zbyt... Oktawii zabrakło słów, charyzma nie przyszła jej przez myśl. Wiedziała, że w cieniu Monique jest nikim, ale nie rozumiała, że nigdy z tego cienia nie wyjdzie. – *Muszę się jej pozbyć* – myślała, ale nie pojmowała, że nie ma w sobie tyle światła, by samodzielnie świecić. Jak księżyc, mogła istnieć tylko wtedy, kiedy miała od kogo czerpać jasność.

Oferta przygotowana przez Oktawię była poprawna. Wygrali przetarg, bo konkurencja nie mogła spełnić jednego z warunków klienta. Oni potrafili dostarczyć taką usługę; kontrakt został wygrany. Młoda asystentka zapisała na swoim koncie pierwszy sukces.

Kiedy Monique po dwóch tygodniach wróciła znad morza, zastała Oktawię dumną. W rozmowie z szefową skromnie spuściła oczy.

– Peter polecił mi obsłużyć tych kilka kontraktów podczas twojej nieobecności.

Szefowa nie dała się nabrać. – Nie bądź taka skromna. Powinno być ci raczej wstyd, moja droga. Włamałaś się na kopię mojego dysku i wykorzystałaś mój kalkulator. Udowodnienie tego nie jest problemem. – Monique była już po wizycie w dziale IT. Prześledziła wraz z głównym informatykiem całą ścieżkę działań Oktawii i potrafiła powiedzieć, co, kiedy i ile razy zostało skopiowane z jej danych. – To są tajne dane, nie masz prawa ich znać.

Oktawia bała się.

Niepotrzebnie. Monique roześmiała się. – Wyjź – powiedziała.

Gdy została sama, powiedziała do lustra, w którym odbijała się jej wypoczęta twarz. – Nie dam się wyrzucić. Nie dam.

Jeszcze tego samego dnia wysłała Peterowi swoje wypowiedzenie. Poczuli, że się zapada. Spełniał się jego koszmar. Bał się Monique, chciał się jej pozbyć – ale nie był na to gotów. Nie miał jej kim zastąpić, i nie miał żadnego pomysłu na to, co teraz zrobić. Przyszło mu do głowy tylko jedno.

– Spakuj rzeczy i nie przychodź więcej do firmy – powiedział przez telefon. Zanim przyszedł ochroniarz, którego Peter oddelegował do patrzenia Monique na ręce, była już spakowana. Nie wysłała pożegnalnego maila. Przeszła po biurze, pożegnała się ze wszystkimi, ominęła tylko biurko Oktawii. Kadrowa zawołała jeszcze: – Pani Moniko, samochód! – ale Monique wzruszyła ramionami. – Oddam, jak się będzie kończyła umowa. – Nie dała nikomu więcej dojść do słowa, nie odbierała telefonu oprócz tego jednego, na który czekała – od Ojca. Dzwonił z wiadomością, że dostali kredyt, który zgodnie z kalkulacją miał im pozwolić na zrobienie w ośrodku małego SPA.

Odejście Monique było ciosem dla korporacji. Peter czuł się niewyraźnie na spotkaniu służbowym z przełożonym.

– To był nasz najlepszy pracownik – mówił prezes bez emocji.

– Zgadza się, ale czas przeszedł jest właściwy – bronił się Peter.

Prezes nie zamierzał słuchać wyjaśnień. – Znajdź rozwiązanie.

Peter postanowił wykorzystać Oktawię. Powierzył jej kilka kontraktów – dała radę. – *Może nią obsadzę wakat?* – myślał. Poświęcił Oktawii sporo czasu, pojechał z nią na kilka spotkań i zafundował trzy szkolenia, co wzbudziło falę niechęci i wobec niego, i Oktawii. Szkoleń w firmie nie było od lat, zawsze na nie skąpił, tłumacząc, że „kto chce i tak się nauczy”. Więc ludzie się uczyli, a potem odchodzili tam, gdzie im za tę wiedzę lepiej płacono. Oktawia zaczęła latać po Europie, Azja była pod opieką Petera. Próbował trzymać w ręku wszystkie sznurki, ale wymykały mu się z rąk. Monique nawiązała już relację z kolegami z dalekowschodnich biur. To byli ludzie, którzy nie lubili nagłych zmian. Peter podesłał im Monique, a potem Peter ją zabrał. Nie chcieli zatem ufać Peterowi. – *Jaką niespodziankę nam znowu przygotuje?* – komentowali. Peter nie miał pojęcia, że Monique była na uprzywilejowanej pozycji – jej azjatyccy kochankowie opowiedzieli jej wiele rzeczy, których nie mógł wiedzieć przeciętny Europejczyk. Dlatego też w azjatyckich biurach Monique zaczęła być akceptowana, chociaż cały czas miała poczucie, że ta kultura jest zbyt stara i skomplikowana, aby Europejczyk mógł ją zrozumieć. Cały czas zdarzało jej się też mylić kulturę chińską i japońską, co mogło mieć fatalne skutki. Monique była świadoma tych zagrożeń, Peter w ogóle ich nie przeczuwał. Nie próbował nawet zastanawiać się nad mentalnymi różnicami. Azjaci nie próbowali udawać, że zamierzają go zaakceptować. Peter zastosował najwygodniejszy z wybiegów. – *Najlepiej będzie, jeśli nie będę przeszkadzał* – pomyślał. W praktyce to było kompletne wyłączenie się z bieżących spraw i pozostawienie ich swojemu biegowi. Peter po prostu skapitulował, chociaż nie miał odwagi się do tego przyznać, nawet przed samym sobą. – *Muszę skupić się na Europie* – mawiał. Wykorzystywał Oktawię. Miała wyniki, szła do przodu. Oktawia wykorzystywała Petera. – *Jeszcze ze dwa lata na nim pociągnę, potem będę musiała go podkopać i wywalić. Totalnie się gość wypalił* – myślała.

Oktawia wykonywała pracę Monique za jedną czwartą wynagrodzenia. Nie potrafiła tego ocenić, więc uznała te pieniądze za ogromne. Imponowały jej służbowe wyjazdy i możliwość pokrzykiwania na pracowników w przeszklonych biurach. Była inteligentna, ale nie była pracowita, tak jak Monique. Lubiła się zabawić, pójść na piwko i do kina. Z sukcesem kończyła prace rozpoczęte przez Monique, zamykała sprawy i dopinała kontrakty – ale nie miała nowych projektów. Monique poszukiwała pomysłów, ślęcząc nocami w Internecie, Oktawia nie miała takiego zamiaru. Zresztą, była sprytna – nie twórcza. A Monique tworzyła idee, była wizjonerska. Monique miała charyzmę, magnetyczną osobowość, Oktawia była powszednia. Trywialna aż do banału. I rozzuchwalona szybką karierą.

Ona, która niedawno ukończyła studia, a cztery lata temu była jeszcze stażystką, poważnie myślała o międzynarodowym stanowisku Petera.

Peter, zajęty azjatyckimi potyczkami, początkowo oceniał wyłącznie jej wyniki. Potem, gdy pozwolił Azji toczyć się własnym tempem – zaczął przyglądać jej się bliżej. Jemu prezes też zaczął przyglądać się bliżej.

– *Co ta dziewczyna wygaduje?* – zadawał sobie coraz częściej pytanie Peter, kiedy dowiadywał się o dziwnych komentarzach, które Oktawia rozsiewała po biurach Europy.

– *Czemu on odpuścił? Czyżby miał dość?* – zadawał sobie pytanie prezes, śledząc ciągłą obecność Petera w biurze, brak międzykontynentalnych podróży i nieumiejętność udzielenia natychmiastowej odpowiedzi w azjatyckich kwestiach.

Po pół roku skończyły się projekty rozpoczęte przez Monique. Oktawia nie miała nowych. Klienci nie przychodzili sami – Monique nigdy na to nie czekała. Sama ich wynajdywała, wymyślała ich potrzeby, a potem uświadamiała im, że je mają. Oktawia postępowała według szablonu. Odpowiadała na zapytania klientów. Kolejne pół roku Oktawia spędziła więc na wyszukiwaniu wymówek i tłumaczeniu, że winne są okoliczności, a ona jest bez zarzutu. Coraz więcej tych nieoficjalnych komentarzy trafiało do uszu Petera. A Oktawia rozzuchwalała się.

– Och, gdyby tylko Peter na czas zaaprobował warunki dla tego klienta! – opowiadała w kuchni. – Przecież to był kontrakt marzenie! Koszty niewielkie, tylko kasę brać! Tyle kontraktów mi ten Peter zawala, on ostatnio chyba niewiele robi...

Ludzie słuchali, dodawali, powtarzali.

– Chciałbym usłyszeć twoje wytłumaczenie. – Pewnego dnia Peter nieoczekiwanie poprosił Oktawię do swojego gabinetu. Zaprosił ją przez sekretarkę, chociaż z Monique zawsze załatwiał sprawy bezpośrednio. Miał sprawę – chwycił za telefon. Z Oktawią usztywnił kontakty.

– Peter, wszystkie sprawy toczą się zgodnie z planem. Jedyne, co nie działa – to czas. Żaden z klientów nie zrezygnował z umowy, wszyscy jednak przesuwają ich podpisanie. Prawnicy czepiają się detali, sam wiesz, jak jest – wzruszyła ramionami.

– Nie, nie wiem – patrzył wprost na nią swoimi rybimi oczami, Oktawię przeszły dreszcze. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Oktawia, od pół roku ani razu nie zrealizowałaś planu. W całej Europie skarżą się, że jesteś arogancka i krytykujesz wszystkie pomysły. To nie byłoby złe, ale ty nie wnosisz pomysłów własnych. To jest właśnie różnica między tobą a Monique – po raz pierwszy od miesiący wymówił to imię. – Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie podpisałem dokumentów na czas? – zapytał wprost. Oktawia poczuła, że właśnie wróciła na swoje miejsce. Gęsi, która nie zostanie łabędziem.

Bez słowa podpisała wypowiedzenie. Peter zamierzał od razu pochwalić się prezesowi, miał już plan. – To wszystko wina Oktawii, oczywiście. Ryszard z Polski zajmie się Europą Wschodnią, Marianne z Paryża jest znakomitą kandydatką na kraje zachodnie. Można się zastanowić jeszcze nad Skandynawią: powinna podlegać pod Ryszarda czy może stworzyć trzeci region? Jest w Norwegii taka dziewczyna... – Peter odtwarzał w myślach przećwiczoną wcześniej przemowę. Chwycił wypowiedzenie Oktawii, sięgnął po teczkę z materiałami na temat nowego podziału Europy i poszedł do prezesa. Akurat odwiedził hamburskie biuro z dwudniową wizytą – zapowiedzianą wprawdzie, ale znacznie dłuższą niż zwykle. Peter włączył projektor i opowiedział o swojej wizji.

– Kiedy byłeś ostatnio na urlopie? – zapytał zniecierpliwiony prezes, pochylając się nad dokumentem, który właśnie wniosła sekretarka. Pokiwał głową, podpisując go.

– Dawno, nie mam na to czasu – roześmiał się Peter.

– To będziesz musiał teraz go wykorzystać – powiedział prezes i dał Peterowi do podpisania wypowiedzenie z pracy.

– Od dziś jesteś na urlopie. Ochrona pomoże ci zabrać twoje osobiste rzeczy.

Peter siedział w sali konferencyjnej, projektor mrucał nad jego głową; rolety przepuszczały resztki dziennego światła. Patrzył na stół konferencyjny z wielu modułów, miękko wchodzących w swoje kształty. Wszystko było tak zaprojektowane, żeby siedzieć tu jak najdłużej. Opływowe stoły zatrzymywały w swoich objęciach. Szara wykładzina z elektrycznie zielonym podłużnym wzorem miała powodować, żeby nikt nie chciał wychodzić poza trawiasty pasek. Tu było miękko, przytulnie, tu mieli zostać. Tu Peter chciał zostać.

Pomyślał o swojej rodzinie we Frankfurcie. Żona już miała kogoś, dzieci przylatywały do Hamburga raz na miesiąc. Nie miał wtedy o czym z nimi rozmawiać. Dwunastolatka zaczęła się już malować, a piętnastolatek wolał siedzieć w necie niż gadać ze starym. Wspólne rozrywki kończyły się tak, że Peter zostawiał dzieci w kręgielni albo w kinie, dawał im kasę, a potem przyjeżdżał je odebrać. Skąd zatem Peter mógł wiedzieć, że syn ćpa już od dwóch lat, a córka, która właśnie miała pierwszą miesiączkę, jako szesnastolatka urodzi pierwsze dziecko. Pierwszy raz pójdzie z klientem już za rok, namówiona przez brata, któremu ciągle będzie brakować forsy na herę. Peter pomyślał o białych ścianach swojego mieszkania. Nie należało do niego; było firmy. Nie był z nim związany – meble pochodziły z IKEI,

jarzeniowe oświetlenie też, a przestarzały sprzęt RTV wymagał wymiany. – To nie moje mieszkanie – rozmyślał – ale gdzie jest moje? Gdzie mam się wyprowadzić?

Były takie chwile, w których Peter marzył o Monique. Wyobrażał sobie, że chwyta jej spoconą dłoń i ciągnie w najciemniejszy kąt hamburskiego biura. Wyobrażał sobie, co mogliby tam robić – tam, i w innych biurach, i w jego mieszkaniu, i w hotelach całej Europy. Nie miał na to odwagi. – Seks w pracy – prychnął nawet teraz. – A jednak Monique ciągle wracała do niego w myślach. Nachodziło go pytanie: – Co by powiedziała na to Monique? Co by zrobiła? – Nigdy nie potrafił znaleźć na nie odpowiedzi. Nie był w stanie rozgryźć Monique. Jak do wielu rzeczy w życiu, tak i do tego bał się przyznać: – że Monique przewyższała go pod wieloma względami; była wizjonerką, która odciskała swoim talentem piętno na nim i całym otoczeniu. Bał się Monique i tęsknił za Monique. Teraz miał już dużo czasu, by o tym rozmyślać.

Peter siedział w sali konferencyjnej do wczesnojesiennego zmierzchu. Ochroniarz w końcu chrząknął, a potem lekko szturchnął Petera w ramię. Ten spakował się i wyszedł z biura. Nie odwrócił się, ale wiedział, że jeszcze przez wiele lat będzie spoglądał wstecz.

25

– Mam urlop, tato – powiedziała Monique na powitanie. Ojciec pokiwał głową. Od razu pomyślał, że przyjechała tu na stałe. Nie ucieszył się. Nie umiał z nią rozmawiać i nie chciał z nią codziennie pracować. Miał próbkę podczas poprzedniej wizyty – wtrącała się we wszystko. Z Joanną konszachtowały, całymi nocami naradzały się – i po co? – Przeciwno mnie! – denerwował się. – Powinienem być jej wdzięczny – myślał w chwilach spokoju. – To dzięki niej mam ten ośrodek.

Powinien, ale nie potrafił.

– Joanna, wspaniale! – Monique komentowała zmiany, jakie kuzynka zdołała wprowadzić w ciągu kilku tygodni. – To wygląda po prostu wspaniale! Pierwsze wrażenie – perfekcja. Drugie – trochę gorzej.

– Wiem, nie wszystko zdołałam jeszcze zrobić – westchnęła kuzynka. – Monika, mam dylemat. – Zanim Monique jej wysłuchała, zdała sobie sprawę, że wraca do poprzedniego imienia. Monique została w Warszawie.

– Powtórz proszę, zapatrzyłam się na żywopłot. – Joanna pomyślała, że Monika nie o roślinach rozmyślała. – Pewnie kiedyś mi o tym opowie. – Joanna była w błędzie. Monika nigdy o tym nie opowiedziała. Po prostu dlatego, że dotyczyło to innej osoby. Jakiejś Monique.

– Chciałabym z tobą przedyskutować jeszcze remont tych dwóch apartamentów. W kosztach się mieścimy, ale... – dyskutowały długo, siedziały w biurze do drugiej nad ranem. Ojciec przysłuchiwał się z boku i pomyślał – a może to dobrze, że wróciła?

Pierwszy sezon był trudny. Bardzo trudny. Monika zastanawiała się, z czego spłaci kredyt. Do niedawna uważała go za mały, ale to było tylko zachwianie proporcji. Zarabiała bardzo dużo, wydawała symbolicznie, oszczędności więc rosły. Teraz sprawy stanęły na głowie – zarabiali bardzo mało, ledwo pokrywali koszty w sezonie, poza sezonem musieli dokładać. Koszty były wysokie. Utrzymanie ośrodka, obsługa, kredyt. Mieli sporo kłopotów – na przykład personel był leniwy. Pokojowa sprzątała wyłącznie wtedy, kiedy poprosili o to goście. – Odkurzacze stoi w holu – usłyszała kiedyś Monika burknięcie recepcjonistki. Akurat przechodziła korytarzem, dziewczyna nawet nie podniosła wzroku, dlatego jej nie zauważyła.

– Zaraz przyjdzie pokojowa – powiedziała Monika i nawet nie skomentowała zachowania recepcjonistki. Tego samego dnia zwołała zebranie personelu. Tłumaczyła oczywistości.

– My teraz obsługujemy gościa lub kiepsko obsługujemy gościa, a nasz cel to znakomicie obsłużyć gościa – mówiła. Zarządziła sprzątanie pokoi apartamentowych codziennie, pokoi zwykłych – raz w tygodniu, sprzątanie korytarzy z morskiego piasku – dwa razy dziennie. Tylko jeden z budynków, kolonijny, pokojowe mogły sprzątać na życzenie. – Musimy dbać o klienta, zabiegać o jego zadowolenie. Komu się nie podoba, będzie musiał odejść – zakończyła zebranie. Bała się, że odejdzie dużo osób.

Dokładnie tak się stało. Z pięciu pokojowych dwie odeszły od razu. Monika odpowiedziała głośno: – Życzę paniom dużo sukcesów w innych miejscach. U nas będziemy cieszyć się, że goście do nas

przyjeżdżają i czegoś od nas chcą. – Brzmiało pięknie, ale były takie dni, w których Monika i Joanna same chwyciły za odkurzacz. Monika wtedy nuciła pod nosem *Kołysankę*.

Innym razem usłyszała odpowiedź sekretarki, skierowaną do klienta: – Nie, proszę pana, nie wymieniamy ręczników.

– Dlaczego nie wymieniamy ręczników? – zapytała potem.

– Jak to dlaczego? W hotelach się wymienia! U nas niech goście se sami przywożą! Przecież to kosztuje, pralnia, wożenie, trzeba oszczędzać!

W cenniku na następny rok Monika uwzględniła dodatkową opłatę za wymianę ręczników w cenie apartamentu.

– Każdy gość z apartamentu będzie miał ręczniki zmieniane zawsze, kiedy sobie tego zażyczy – powiedziała na jednym z zebrań przed rozpoczęciem następnego sezonu. Z pierwszego składu personelu zostało trzydzieści procent. Pozostali gderali. – Jakieś nowobogackie pomysły – szeptały sprzątaczkę. – Co to za wydziwianie, całodobowa recepcja – utyskiwały recepcjonistki. – Też mi coś, codziennie świeże owoce – marudził kierowca, który musiał cały swój czas pracy wykorzystywać na pracę. Byli jednak też tacy, którzy uwierzyli wysokiej kobiecie w za ciasnych butach. Była dziwna, jakby z innego świata, a jednak była ich. Pracowała tak ciężko jak oni, nieraz chwyciła ścierkę albo mopa i szorowała podłogi lub myła gary w kuchni. Długo w nocy świeciło się u niej światło. Ciągle miała jakieś pomysły, ale już po pierwszym roku goście zaczęli przyjeżdżać.

– Całe szczęście, że chociaż z kuchnią nie mamy problemów – powiedziała Monika któregoś wieczora. Była tak zmęczona, że nawet nie miała sił na narzekanie. Joanna też nie, więc tylko kiwnęła głową. Rzeczywiście, trafił im się szef kuchni. Młody i wykształcony, a przy tym otwarty umysł. Kiedy Monika zasugerowała, że powinni mieć nie tylko stołówkę, ale także restaurację – zafrasował się. A po dwóch dniach powiedział: – Da się zrobić. Mamy na górze puste pomieszczenie, miała być kawiarnia, ale zrobimy restaurację. Tylko wejście trzeba będzie przebudować. Goście z zewnątrz nie mogą przechodzić przez stołówkę. No i będę potrzebował więcej obsługi... – po tygodniu był już gotowy plan. Monika martwiła się o pieniądze, mogła teraz liczyć tylko na siebie, ale udało się relatywnie niewielkim kosztem. Na razie gotowali w jednej kuchni, zatrudnili tylko dwie dodatkowe osoby, kelnera i barmana, w razie potrzeby zawsze ktoś z kuchni pomagał. Już po miesiącu było wiadomo, że pomysł chwycił. Wszystkie ośrodki w Sarbinowie miały tylko stołówki. Były bary, ciastkarnie, lodziarnie i budki z hot-dogami, ale nie było prawdziwej restauracji. Serwowali lekkie, śródziemnomorskie menu, dzięki któremu w następnym sezonie mogli doinwestować restaurację.

Czasami Monika gubiła się w oczekiwaniach gości. – Za mało tu spotkań towarzyskich, imprez, jakaś dyskoteka by się przydała – mówiło młode małżeństwo, które przyjechało zużytą skodą. – Tutaj spać nie można, ciągle tylko muzyka i potańcówki! – skarżyła się matka dwuletnich bliźniaków. Monika i na to znalazła sposób. Imprez robili coraz więcej, a wszystkie głośne odbywały się tylko w zamkniętej sali przy włączonej klimatyzacji. Otwarcie okien roznosiłoby dźwięk na całą okolicę.

Uczyła się hotelarstwa na własnej skórze, boleśnie, po szesnaście godzin dziennie. Nie udało się otworzyć SPA w pierwszym sezonie. W drugim ruszyło tylko częściowo – pieniędzy wystarczyło na wykończenie kilku jacuzzi, sauny, i gabinetów masażu. Nie dokończyli ruskiej bani, i innych zaplanowanych atrakcji, ale Monika wierzyła, że dopnie swego. Za rok, dwa, pięć. Ale uda się.

– Jak to wszystko pozapinać? – Monika nieustająco liczyła koszty. – Muszę zawiesić spłatę kredytu. W tym sezonie nie dam rady płacić bankowi. Że też nie studiowałam hotelarstwa – marszczyła brwi. A jednak całe szczęście, że go nie studiowała. Nauczyłaby się prowadzić ośrodek, ale nie potrafiła robić biznesplanów ani rozmawiać ze smutnymi panami z banku.

Na spotkanie w banku wcześniej umówiła się telefonicznie. Ubrała się tak, jak kiedyś do pracy. Wzięła

ze sobą grubą teczkę z dokumentami.

– Zabezpieczeniem wziętego przeze mnie kredytu była umowa o pracę – perorowała. – To zabezpieczenie jest nieaktualne. Mamy kilka możliwości – nie dała dojść do słowa przedstawicielowi banku. Albo postawicie państwo kredyt w stan wymagalności, co będzie dla nas oznaczało bankructwo i niemożność spłaty kredytu, albo zechcecie przyjąć inne zabezpieczenie.

Handlowiec, z którym rozmawiała, zgodnie z jej przewidywaniami zawołał przełożonego. Monika dwie i pół godziny opowiadała o planowanej przyszłości ośrodka. – Czegokolwiek bym nie opowiedziała, i tak musicie panowie to zobaczyć – zakończyła. Dwa dni później panowie w krawatach dokładnie zwiedzili ośrodek. Potem przez trzy tygodnie studiowali księgi, nieustająco prosząc o kolejne dokumenty. Po miesiącu zaprosili Monikę na kolejne spotkanie.

– Nie udzielimy pani dodatkowego kredytu – powiedział najstarszy rangą. Monika się uśmiechnęła.

Wcale o to nie prosiłam – pomyślała.

– Niemniej, nie zażądamy natychmiastowej spłaty kredytu, a nawet odroczy my kilka rat, aż do następnego sezonu turystycznego, pod warunkiem zwiększenia oprocentowania. Proponujemy pani...

Monika chwyciła notatnik i zaczęła chować notatki. Wstała, obciągnęła wolnym ruchem spódnicę, i dopiero wtedy podniosła głowę. Spojrzała przedstawicielowi banku prosto w oczy.

– To wykluczone – powiedziała. – Doskonale panowie wiecie, że dostanę kredyt na spłatę waszego zobowiązania w każdym dobrym banku. Ten ośrodek będzie rentowny i widać to z każdego jednego dokumentu. Jeśli nie obniżycie mi oprocentowania kredytu, trudno – kontynuowała, opierając się dwiema rękami o biurko dyrektora oddziału, już z torebką na ramieniu. – Spłacę każdą ustaloną ratę, bez jednego dnia opóźnienia, a wkrótce spłacę cały kredyt, jedną transzą, przenosząc go do innego banku. Do widzenia. – Spodziewała się ich telefonu następnego dnia, ale od razu dogonił ją jeden z młodszych bankowców.

– Przepraszam, zechce pani wrócić jeszcze na chwilę?

Monika bez słowa wróciła do gabinetu. Nie usiadła. Zaproponowali odroczenie spłaty o osiem miesięcy, odsetki za ten czas doliczone do kolejnych rat.

– Nie panowie. Ustalmy, że te osiem miesięcy będzie bez odsetek.

Dyrektora oddziału zatkało. Zastanawiał się, zagryzł wargi, ale ostatecznie kiwnął głową. – O przygotowaniu aneksu do umowy powiadomimy panią telefonicznie.

– Dziękuję. – Monika wyszła. Dopiero gdy wyjechała już za Koszalin, na zalesionej trasie do Mielna i Sarbinowa, pozwoliła sobie rozluźnić mięśnie. – Yes, yes, yes! – powiedziała do wstecznego lusterka.

Tak naprawdę Monika miała pieniądze na spłatę tych rat, ale wolała mieć rezerwę, taki żelazny zapas.

Gdyby coś się wydarzyło – myślała. – *Żeby jednak się nie wydarzyło...* – zaklinała rzeczywistość. Jeszcze tego samego wieczora napisała maile do swoich byłych kochanków. – *W sumie opłacało się być dziwką* – powiedziała cichutko. Po raz pierwszy użyła tego słowa. Nigdy tak o sobie nie chciała myśleć. – *Ale tak przecież było* – myślała. – *Byłam dziwką.*

W ciągu tygodnia dwóch zadeklarowało przyjazd latem. Potem przekonała następnych. Zleciła zrobienie strony internetowej – sama też pracowała nad nią kilka tygodni, po kilka godzin dziennie. Miała już prawie obłożony wakacyjny grafik, a jeszcze nie skończył się grudzień. – *Oby tak dalej, oby tak dalej* – zaklinała.

Monika robiła wszystko, była wszechobecna i wszystkowiedząca, i wszechchrzącząca. Tylko dla Ojca nie miała czasu.

– Co mi z tego ośrodka? – myślał Ojciec. – Tyle że mam gdzie mieszkać. Nic mi tu nie wolno, nic nie robię.

– Po co tu jestem? – rozmyślała Joanna. – Wykonała niewdzięczną robotę w pierwszych miesiącach,

a teraz Monika przejęła wszystkie stery.

Wreszcie jestem u siebie – myślała Monika. – Znalazłam swoje miejsce.

Siadała na mokrym piachu, na nieprzemakalnej kurtce, i rozmawiała z morzem tak, jak chciałyby rozmawiać z Adasiem. Pewnego dnia poczuła, że Adaś odchodzi. Może dlatego, że głęboko na wydmię, tam, gdzie nie wolno wchodzić pod karą administracyjną, i gdzie zimą nikt tego nie pilnował, wykopała niewielki dół. Dołek, w który włożyła kartkę z pożegnaniem. Z wyznaniem miłości, tęsknoty, rozpacz; opisała swój ból, tak jak potrafiła. Potem zasypała piaskiem i zaznaczyła dużym kamieniem. Nie napisała na piasku „Adaś”. Ten grób miał być tylko dla niej.

EPILOG

Był środek zimy, trzy lata po tym, jak ośrodek udało się wyprowadzić na prostą. Monika mieszkała w Sarbinowie już pięć lat. Czasami, rzadko, jeździła do Warszawy. Nie sprzedała mieszkania, wynajmowała je, ale właśnie stało puste. Ostatni wynajmujący wyprowadził się, a Monika jeszcze nie znalazła nikogo nowego. W Sarbinowie nauczyła się, że dobrze jest wychodzić do ludzi. Na spacer, do sklepu, z domu, gdziekolwiek. Wychodziła więc i w Warszawie. Podczas tego pobytu spotkała się z dwiema koleżankami, które ledwo pamiętały ją ze studiów, ale potrzebowała kogokolwiek do pogadania. Któregoś dnia spotkała Teresę – usiadły w Bliklem, jej niegdysiejsza teściowa bardzo posunęła się w latach. Była już babcią trojga wnucząt, sama je wychowywała. Nie miały o czym rozmawiać. Monika zaprosiła ją i całą rodzinę do swojego ośrodka. Opisywała go z dumą. Teresa uznała, że musi to być miejsce niezwykle, skoro jej nieśmiała pierwsza synowa z takim żarem o nim mówi. – *Skąd ona zna tyle trudnych słów?* – zastanawiała się.

Latem przyjechali do ośrodka „Monika”, Robert ze swoją drugą żoną, w przededniu rozwodu, z trojgiem dzieci oraz Teresa, która nosiła wdowie szaty. Powinno być jej smutno, ale brak w jej życiu nie był dotkliwy. Potem przez kilka lat Robert przyjeżdżał już bez dzieci, z kolejną narzeczoną, a potem trzecią żoną. Demonstrował, jakim jest fajnym facetem, który utrzymuje kontakty ze swoimi byłymi – tylko po prostu jakoś się nie ułożyło. Dzieciom też się nie składało, bo zapominał na nie płacić, ale to nie było zmartwienie Moniki. Teresa potem przyjeżdżała sama, zawsze późną jesienią. – Niech się tanio popławię w luksusie – mówiła koleżankom, niby żartując ze słowa „tanio”.

Monika spotkała Ryszarda, starszego już pana, i jeszcze kilka osób z firmy; niewiele jej te rozmowy dały, trochę tylko odrywała się od problemów ośrodka, który stawał się hotelem z renomą. Po tygodniu postanowiła wracać. Nie miała żadnego celu, przyjechała do Warszawy, bo chciała odpocząć. Odbierając w przeddzień wyjazdu natarczywie dzwoniący telefon, była przekonana, że to któryś z klientów nie może dodzwonić się pod stacjonarny numer. Bez namysłu chwyciła za komórkę.

To był Peter.

- Nie zmieniałaś numeru – zaczął błyskotliwie.
- Witaj, nie miałam powodu – odparła niechętnie.
- Chciałbym się spotkać.
- Bezpośredni jesteś. Po co?
- Nie przez telefon.

Monika zgodziła się spotkać z nim następnego dnia. Wybrała Bliklego, miała blisko, niech on się dostosuje. Dalej był aryjskim śledziem o mętnych oczach, może tylko brzuch miał większy. Ona miała kurze łapki, ale nie przybyło jej ani grama. Peter zaproponował jej pracę. Przeszedł do konkurencji, i potrzebował kogoś do poprowadzenia międzynarodowych spraw.

– Żartujesz sobie – wyśmiała go. – Szukasz jelenia do zapieprzania po szesnaście godzin na dobę, a nie

pracownika. Nie ma mowy, nie wróć już do tego. Mam swoje miejsce, znalazłam spokój. Jestem u siebie.

– Ja też proponuję ci u siebie. To moja własna firma. Konkurencja, ale *in spe*. Dopiero ją tworzę.

Zaproponuję ci udziały w firmie. Powiedzmy, dwadzieścia procent.

– Czterdzieści – odpowiedziała odruchowo, zanim zdążyła to przemyśleć.

– Monique, nie przesadzaj – zaśmiał się. – Trzydzieści.

– I jeszcze pięć – odpowiedziała Monique, która w tej rozmowie także była u siebie.

Ustalenie warunków zajęło im znacznie mniej czasu, niż można było się spodziewać. Powrót Monique do Warszawy też zajął jej mniej czasu, niż przypuszczała. Wróciła do dawnego życia siłą odruchu. Wakacje zawsze spędzała w Sarbinowie. Na ten czas ośrodek „Monika” przypominał laboratorium. Sterylnie czysty, spełniający oczekiwania gości bez żadnej zwłoki jak pięciogwiazdkowy hotel. Wtedy Monika omawiała z Joanną wszystkie bieżące sprawy, aż któregoś dnia ustaliły, na wniosek Joanny, że potrzebny im jest jakiś doświadczony zarządca hotelowy. Zatrudniły managera, a Ojciec odetchnął. Bawił się z dziećmi Joanny, i z dziećmi Moniki, bo przecież zawsze przyjeżdżała z całą rodziną. Często wpadał także Damian z drugą żoną. Był ojcem chrzestnym średniej córki Moniki, a jego żona czasami bywała zazdrosna, ale nigdy go nie zdradziła. Peter wprawdzie mówił czasami, że chciałby pozwiedzać także inne miejsca, pojechać na urlop tam, gdzie pogoda jest murowana, ale to było ot, takie sobie gadanie. Kiedy oświadczał się Monique, wiedział doskonale, że wprawdzie ona jest tylko biedną wiochą z Polski, ale najtwardszym managerem, jakiego spotkał. Dom też traktowała jak miejsce do zarządzania i wysłała im z tego trójka dzieci, dobrze prosperująca firma i świetne kontakty z rodziną. Moniki, bo Peter swoją stracił, kiedy się w niej zakochał. Podczas narad w hamburskim biurze i podczas wpatrywania się w biały sufit w firmowym mieszkaniu. Jego niemieccy koledzy kiwali głowami – tak, tak, Polki to dobre kucharki, a Peter śmiał się z ich głupoty i jeszcze bardziej z min, kiedy spotykali Monique po raz pierwszy.

Kiedy Peter się pochylał, wyglądał na starszego. Monika dostrzegła to zaraz po zaręczynach i lubiła jego rzadniejące, prawie białe włosy. Traktowała to jako słabość swojego twardego męża. Kiedy pracowali w korporacji, Peter nie pochylał głowy. Traktował wszystkich z wysoka, nikt nie miał szansy spojrzenia ponad nim. A w domu, przy jednym biurku, gdy obmyślali nowe pomysły – dostrzegła długie cienie wokół ust i uśmiechy zmarszczone w kącikach oczu. Na policzkach widziała popękane naczynka, które czerwieniały i podsiniały skórę pod oczami. Cienkie, mało widoczne *en face* brwi, z góry były grube, krzaczaste i niepokojące, jak u starca. Ogólnie szczupły, stał się dla niej pociągający. Nie seksowny – pociągający od pociągłej twarzy. Był ciągle przystojny, wyglądał jednak staro i nieproporcjonalnie, i był pociągający. Przecież to logiczne, prawda?

Pewnego dnia Peter wyciągnął z szuflady kwadratowe pudełko.

– Co to? – zapytał, uruchamiając fałszywą *Kołysankę*.

– To? – Monika zapatrzyła się. – To moja przeszłość. Nie otwieraj, bo jeszcze wylezie na wierzch.

– Jak to się nazywa? Po polsku? – dopytywał się Peter.

– Pozytywka – odruchowo odpowiedziała Monika.

– Pozytywnie? – spojrzał na nią przekornie.

– Tak, wszystko jest pozytywnie – cmoknęła go w policzek i zabrała z rąk pudełko.

Nie słuchałam jej od wykopania grobu na plaży – pomyślała. – *Może powinnam ją tam zanieść?*

Monika przyjeżdżała do Ojca tak często, jak to było możliwe. Często wtedy chodziła nad morze. Ojciec był już schorowany, rzadko kiedy towarzyszył jej w spacerach, chociaż bardzo to lubiła. Milczeli wtedy zgodnie, bo nigdy nie nauczyli się rozmawiać, ale wspólne milczenie sprawiało im przyjemność, pomnożoną przez morski pył i dodaną przez liczbę ławek, na których Ojciec przysiadł dla odpoczynku.

Pewnego razu Monika nie przyjechała sama. Patrzyła w milczeniu, jak po latach niewidzenia rodzice nieśmiało podeszli do siebie, Ojciec trzymając w ręku laskę, Matka o kilka centymetrów niższa, ale szersza. Stanęli koło siebie niezgrabnie, jak dwoje nastolatków na pierwszej w życiu wiejskiej zabawie.

Jestem swatką – pomyślała Monika z rozbawieniem.

Nie lubiła chodzić nad morze sama. Wtedy odwiedzał ją Adaś, siadał zawsze smutny koło niej i nic nie mówił. Bała się jego odwiedzin. Bała się myśli, że jest czemuś winna, że szuka i doświadcza szczęścia, chociaż powinna skupić się na nienawiści. Nie chciała już nienawidzić. Chciała po prostu, zwyczajnie żyć, szukać swoich okruchów szczęścia, choćby to były tylko śmieci strącone niechcący z szufelki Pana Boga.

I chciała od czasu do czasu słuchać *Kołysanki*, która stała się wyjątkowa dzięki fałszywej oktawie.

Jedyna w swoim rodzaju. Pozytywna. Pozytywka.

Polecamy również książkę
Agnieszki Olejnik

*A potem przyszła
wiosna*

Październik

Mrok gęstniał z minuty na minutę, noc zapadała zdecydowanie zbyt szybko jak na tę porę roku. Nigdy nie lubiłam jeździć po mieście o zmierzchu – na kilkanaście minut stawałam się wtedy zupełnie ślepa.

Znowu musiałam się zatrzymać. Cholera, nie mam czasu na korki. Niech ktoś rozpedzi to pieprzone zbiegowisko. Stoją i się gapią. Po chwili dał się słyszeć sygnał karetki, potem w lusterku wstecznym zauważyłam kogut policji. A więc to wypadek. Super, lepiej być nie mogło. Wybrałam numer Niny.

– Ninka, stoję w korku, kurwa, nie zdążę.

– Nie ma opcji. Musisz.

– Ale nie zdążę, słyszysz?! Wypadek był. Co mam zrobić, przefrunąć? Wjechać w zwłoki?

– Dobra, dzwonię do nich, może przesuną nagranie, o ile będzie wolne studio. Gdzieś ty była do tej pory?

– No gdzie byłam! Zdjęcia się przedłużyły, kręciliśmy chyba tysiąc dubli.

– Pogadamy później – ucięła. – Jedź jak najszybciej.

Samochód przede mną ruszył i powlókł się kilkanaście metrów. Miałam ochotę wyc.

Wpadłam do radia z wypiekami na policzkach. Zapomniałam, czego właściwie ma dotyczyć ta rozmowa. Dziennikarz kilka razy nerwowo przełknął ślinę, na szyi wystąpiły mu czerwone plamy. Przypominał mi jakiegoś ptaka, może indyka. Zanim mikrofony zaczęły rejestrować, rzucił jeszcze mięsem raz i drugi. Dopiero potem był w stanie naciągnąć na twarz uprzejmy grymas.

Udając wyluzowanych, oboje jednocześnie nabraliśmy powietrza.

– Witamy w studiu Polę Gajdę.

Uśmiech, bo wtedy mam bardziej aksamitny głos. Nie przełykać głośno, nie cmoknąć, nie sapać. Dobrze.

– Pani Polu, proszę zaspokoić ciekawość naszych słuchaczy: co czeka nas w nowym sezonie *Wakacji za barem*? Czy Monika wreszcie się zakocha?

Uwielbiałam takie pytania. Dziennikarz wiedział doskonale, że nie wolno mi zdradzić ani słowa ze scenariusza na nowy sezon – już pomijając fakt, że znałam tylko dwa pierwsze odcinki, więc i tak niewiele mogłabym powiedzieć. Lawirowałam, mówiłam o głupstwach, uśmiechałam się, bo ten głos. Musiałam brzmieć ciepło, seksownie, musiałam wytrzymać. Jeszcze kilka pytań: o plany, o stylistkę, którą zmieniałam, o wakacje na Sycylii i zgubione sześć kilogramów. Czy mam anoreksję? Nie,

oczywiście że nie, uwielbiam jeść! Dużo ćwiczę. Jest cudownie, czuję się świetnie w swoim nowym ciele. Składałam się teraz z samych mięśni. Zdrowie i pozytywna energia.

W oczach redaktora widziałam, że mi nie wierzy. On doskonale wiedział, że wieczorem nie będę w stanie przełknąć ani kęsa.

Po nagraniu byłam umówiona z trenerem, ćwiczyłam aż do mdłości. Kiedy wreszcie dotarłam do domu, moje ruchy były spowolnione, jakby oblepiała mnie jakaś gęsta substancja. Wsunęłam klucz do zamka. Ucieszyłam się, że Grzegorza jeszcze nie ma, chciałam poprawić makijaż, odświeżyć się i przygotować coś seksownego na kolację. Wzięłam szybki prysznic, musnęłam lekko perfumami płatki uszu, założyłam jedwabną koszulkę. Błękitną. Plastry mozzarelli ułożyłam na półmisku z pomidorami i bazylią, skropiłam oliwą; pokroiłam bagietkę w skośne kromki. Do tego szynka zwinięta w ruloniki, ozdobiona oliwkami. Wino na stole. Przetarłam kieliszki. Byłam gotowa.

Obudził mnie zgrzyt klucza w zamku. Świece, które zapaliłam do kolacji, dawno się wypaliły. Grzegorz wszedł do pokoju, nie włączając światła. Widziałam jego sylwetkę w niebieskawej poświacie telewizora.

– Gdzie byłeś? – zapytałam.

– Siłownia, potem impreza u Oskara. Wiesz, tego producenta. Kroci się nowa rola.

Szczerze mówiąc, nie pamiętałam żadnego Oskara. Miałam gdzieś Oskara. Liczyłam na to, że zwyczajnie zjemy kolację. To znaczy, że ty zjesz, kochanie, a ja będę patrzeć na twoje wargi. Na twój podbródek. Na twoje dłonie, kiedy unosisz widelec do ust, na ciebie. Bo jestem w tobie zakochana i tylko ciebie jestem głodna.



Pamiętałam taki wakacyjny dzień, kiedy próbowaliśmy z Pawłem, moim pierwszym chłopakiem, łapać słońce w dłonie. Leżeliśmy na ciepłym piasku i obejmowaliśmy ognistą kulę; między palcami robiło się wtedy pomarańczowo i nie wiedzieć czemu myślałam, że dokładnie tak musi widzieć świat dziecko w łonie matki. Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, czy taki maluch cokolwiek widzi. Ale ten kolor krył w sobie jakąś pierwotną siłę i coś na kształt wspomnienia z tych pierwszych, najwcześniejszych chwil.

Przypomniało mi się to, kiedy rankiem jechałam na zdjęcia i znów stałam w korku. Słońce raziło mnie w oczy, a kiedy zasłoniłam je dłonią, żeby nie marszczyć czoła, ujrzałam ten sam kolor. Ciało od środka. Życie. Początek.



Sześć razy powtarzaliśmy ujęcie z pocałunkiem. Karol musiał jeść poprzedniego dnia coś z czosnkiem, bo jego oddech był trudny do zniesienia. Wreszcie udało nam się zrobić wszystko tak, jak chciał reżyser. Ja znudzona, on napalony. „Dobrze. Teraz widzę, że jej pragniesz”. Pierdu, pierdu. Jeszcze raz, z innej kamery. I jeszcze. Kawa. Scena śmierci starego Józefa. Rozpłakałam się dopiero przy trzecim podejściu, zupełnie nie mogłam się skupić. Kilkakrotnie wybuchalam nerwowym śmiechem, więc reżyser zaklął raz i drugi. Karol szepnął mi do ucha, że podobno moja postać ma umrzeć. Nie będę już potrzebna, pora rozejrzeć się za nową rolą. Sratatata. Bez Moniki ten serial nie będzie miał sensu. Nie mogą mnie uśmiercić.

Późnym popołudniem kosmetyczka, masaż, solarium i pływalnia. Cięłam ramionami wodę z takim zapalem, jakby moje życie zależało od tego, ile długości basenu zdołam przepłynąć. Sześć, osiem,

dwanaście. Dosłownie czułam, jak tkanka tłuszczowa na moich udach rozpuszcza się i znika. Razem z nią ulatywał ze mnie smutek (właściwie dlaczego byłam smutna?) i stres, niewiarygodny, krępujący ruchy. Taki, od którego nie można było w pełni ruszać głową ani nabrać powietrza.

Po pływaniu nie chciało mi się układać włosów. I tak wyglądałam fatalnie, trochę rozmazał mi się makijaż. Było już ciemno, nikt mnie nie powinien zobaczyć. Podsuszyłam tylko splątane kędziory i pobiegłam na parking. Zanim dopadłam do auta, zorientowałam się, że to był błąd. W oczy błysnął mi flesz, raz i drugi.

– Spieprzaj! – wykrzyczałam. – Daj mi święty spokój!

Cholerny paparazzo, znowu mnie znalazł. Znałam go, rozpoznałam – skórzana kurtka, czerwony motocykl, spod kasku wystawały długie jasne włosy zebrane w kucyk. Gdyby nie potężna sylwetka, można by pomyśleć, że to kobieta. Nienawidziłam tej gnidy. W ubiegłym miesiącu sfilmował nas na zakupach, kiedy pokłóciliśmy się o kolor koszuli czy jakiś tam krawat. Potem cała Polska mogła zobaczyć moje łzy, bo rozbeczałam się, kiedy mój mężczyzna nazwał mnie małomiasteczkową pindą.

Kiedy dotarłam pod dom, już z parkingu dostrzegłam ciemne okna. Grzegorza znowu nie było. Pewnie Oskar, impreza, siłownia czy co tam jeszcze. Ze zdziwieniem odkryłam, że mam to gdzieś. Chciałam tylko paść na łóżko i zasnąć. I nie obudzić się już nigdy.

Spałam niespokojnie. Kiedy otworzyłam oczy, nie potrafiłam sobie przypomnieć snu, ale doskonale pamiętałam smutek, który w nim przeżywałam. Czy to nie dziwne, że we śnie czujemy tak samo prawdziwie, jak na jawie?

Kiedyś śniło mi się, że bardzo kocham jakiegoś nieistniejącego faceta. Rano pamiętałam tylko jego płową czuprynę, jasne oczy oraz niewyobrażalną miłość, czułość i ogrom szczęścia, bo on także mnie kochał. Przez cały dzień byłam wtedy chora z tęsknoty. Wieczorem upiłam się cierpkim czerwonym winem, od którego drętwiały mi wargi. Przygryzałam je prawie do krwi. Może po to, żeby choć trochę pocierpieć fizycznie, bo ból ciała wydawał mi się łatwiejszy do zniesienia niż ból duszy. Byłam wtedy sama po rozstaniu z Jakubem, to był początek mojej kariery, siedziałam w pustym mieszkanku odziedziczonym po ciotce i tęskniłam za wymagowanym mężczyzną. Po tej butelczynie, ale jeszcze zanim strasznie rozbolała mnie głowa, wytłumaczyłam sobie, że wielka miłość to właśnie złudzenie. Człowiek, którego się kocha, jest zawsze takim sennym marzeniem. W pewnym momencie się budzimy i jeszcze przez chwilę tęsknimy za widziadłem, bo było takie ładne, nawet jeśli nieprawdziwe. Ale w końcu dochodzimy do siebie. Jawa zawsze zwycięży.

Dlaczego przypominało mi się to właśnie teraz?

Spałam za długo, więc wszystko musiałam potem robić w pośpiechu. Zarzuciłam na siebie dres, niedbale przecesałam włosy, związałam je w luźny węzeł na karku. Coś mi się nie podobało w spojrzeniach ludzi. W piekarni, kiedy poszłam po bułki dla Grześka. I na małym targowisku, gdzie jak zwykle kupiłam świeże warzywa na koktajl. Coś mi się bardzo nie podobało, te oczy były niedobre, w niektórych dostrzegłam źle skrywaną satysfakcję, w innych – jawne współczucie. Aż tak źle wyglądałam? Fryzura? Miałam plamę na tyłku albo liść na głowie? A może cholerny paparazzo zdążył już gdzieś opchnąć moje zdjęcia?

Przy stoisku ze swojskim mięsiwem mignęła mi twarz mężczyzny, którego ostatnio widywałam w różnych miejscach. Albo może tylko mi się wydawało. Żyłam w takim pośpiechu, że sama już nie wiedziałam, co zdarzyło się naprawdę, a o czym tylko pomyślałam. Ten facet miał specyficzną fryzurę, niesymetryczną, jakby zaczesywał sobie wszystkie włosy na jedną stronę twarzy. Na początku sądziłam, że to jeden z cholernych krwiopijców, i spodziewałam się, że lada moment wyciągnie zza pazuchy aparat albo telefon. Ale nie, zawsze tylko patrzył. Teraz też.

Wróciłam do domu, kilkanaście ruchów szczotką, pianka i grube wałki na włosy, potem przygotowałam

śniadanie. Grzegorz wrócił nad ranem; wiedziałam, że zaraz wstanie, bo przecież zwykle szykował się do wyjścia jeszcze dłużej niż ja.

Po przebudzeniu skierował się prosto do łazienki. Nie do kuchni, do swojej kobiety, czyli do mnie, żeby objąć mnie w pasie, tak jak robił to w reklamie pewnej kawy, której nie dało się pić, bo smakowała jak płynne gówno. Zamiast tego wszedł pod prysznic i przez kilka minut polewał się wodą. Kiedyś lubiłam mu przeszkadzać podczas kąpieli, wślizgiwałam się do kabiny i kochaliśmy się powoli. Teraz rzadko mieliśmy na to czas. Wszystko się zmieniło, ja grałam w *Wakacjach za barem* i w *Niewidzialnej*, on dostał rolę w *Gliniarzu*, do tego reklamy, talk-show, imprezy promocyjne, oboje żyliśmy w biegu, a jeśli już mieliśmy chwilę, to więcej czasu spędzaliśmy patrząc w lustro niż na siebie nawzajem. Żał mi było tych pierwszych miesięcy. Byliśmy zakochani, pełni zapału, wiary, ambitni i bardzo, bardzo naiwni. Teraz została z tego tylko miłość, ale była jakaś... Szukałam przymiotnika. Chora? Rachityczna?

Chyba raczej zmęczona, odpowiedziałam samej sobie. Nasza miłość znalazła się na skraju wyczerpania. Potrzebowaliśmy wakacji. Od pracy, od szalonego tempa takiego życia i od tego, kim się staliśmy.

Kiedy Grzegorz usiadł naprzeciwko mnie przy stole, dopijałam właśnie koktajl z zielonych warzyw.

– Chyba wczoraj zabalowałaś – zauważyłam. – Masz podpuchnięte oczy.

Zerwał się i prędko poszedł do kuchni po żelową maseczkę, która zawsze chłodziła się w lodówce. Wrócił do stołu, posmarował bułkę masłem i białym serkiem light, nalał kawy, a potem nałożył kompres i jadł tak, z tymi śmiesznymi niebieskimi poduszkami na oczach. Wyglądało to komicznie, ale zdołałam tylko o tym pomyśleć, nie uśmiechnęłam się. Właściwie dlaczego nie miałam siły się uśmiechnąć?

– Gdzie byłęś?

– Ksawery zaprosił nas po zdjęciach.

Ksawery to projektant mody. Ważna szyszka w naszym świecie. Powinnam była zapytać, dokąd poszli: do domu czy do lokalu. Bo jeśli do domu, to jak mieszka taki wielki projektant? Musiał mieć odjechaną, designerską chatę. Jeszcze niedawno by mnie to interesowało, żałowałabym, że nie poszłam tam razem z nimi, a tymczasem siedziałam przy stole, popijając jadownicę zieloną jarzynową berbeluchę, i nie miałam ochoty pytać o nic. Jedyne, czego naprawdę w tym momencie pragnęłam, to położyć się skulona jak embrion na naszym wielkim łóżku i żeby Grzesiek położył się przy mnie. Żeby mnie objął bardzo, bardzo ciasno. Tylko tyle.

Tymczasem podniosłam się, odstawiłam szklankę do zmywarki, po czym poszłam do łazienki i mocno wyszorowałam zęby. Pomyślałam, że piję za dużo kawy, nie podobał mi się odcień mojego szkliwa. Może powinnam całkiem odstawić kawę i przerzucić się na wodę. Ewentualnie świeży sok z owoców. Tak, to byłoby dobre. Zastąpiłoby posiłek.

Nałożyłam makijaż, a potem długo zastanawiałam się nad wyborem ciuchów. Ostatecznie zdecydowałam się na popielatą sukienkę z czerwonym węzłem wzdłuż bocznej szwu. Dostałam ją od Mony Lux po talk-show, w którym chwaliłam projekty z jej wiosennej kolekcji. Była śliczna. Sukienka, nie Mona. Zdjęłam wałki, ułożyłam włosy. Czerwona szminka, srebrne kolczyki w kształcie łez. Może jeszcze cieniutka srebrna bransoletka. Stałam bokiem, wciągnęłam brzuch. Nie, nie musiałam tego robić. Już nie. Czasy, kiedy musiałam, odeszły na zawsze. Teraz byłam szczupła. Już nigdy nie będę grała ról wiejskich dziewcząt szukających pracy w wielkim mieście. Stałam na wadze tylko dla przyjemności, bo doskonale wiedziałam, że ważę czterdzieści osiem kilo. Przyjemność była tym większa, że wyświetliły się cyfry 4 i 7. Świetnie. Jeśli jeszcze wyeliminuję kawę, a zastąpię ją sokami, to oprócz idealnej sylwetki będę miała idealne zęby.

Wróciłam do pokoju, by zajrzeć do kalendarza. Musiałam wygospodarować czas na wybielanie, może w przyszłym tygodniu. Niewykonalne? Zobaczmy. W poniedziałek zdjęcia, nagranie w telewizji, potem

wywiad dla „Gwiazdy”. Wtorek – zdjęcia, siłownia, basen, spotkanie z Moną. To ostatnie najchętniej bym wykreśliła, bo nie lubię tej napuszonej mały, ale zdawałam sobie sprawę, że tego się nie da zrobić, Mona była zbyt ważna w środowisku. Środa – zdjęcia, lunch z Niną, potem sesja dla „Francuskiego Szyku”, miałam pozować w jakichś nowych żakietach, spodziewałam się, że coś dostanę. Poza tym Karol mówił o jakimś evencie w środę, tylko nie mogłam sobie przypomnieć, co to było i gdzie można dostać zaproszenia. Wspominał o giftach, zresztą my z Grześkiem już dawno ustaliliśmy, że trzeba chodzić nawet tam, gdzie nic nie dają. Taka praca – jeśli człowiek chce istnieć, to musi bywać. W czwartek poza zdjęciami miałam pilates, basen, kosmetyczkę, chirurga w sprawie piersi. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie przesunąć piersi o tydzień, w końcu radziłam sobie z push-upami, a zębów ukryć się nie da. Nie miałam pojęcia, co zrobić.

– Kurwa mać, znowu używałaś mojego ręcznika! – dobiegł mnie głos z łazienki.

Może tak. Może odruchowo wytarłam dłonie. Poszłam do Grześka, próbowałam się przytulić. Odsunął mnie ze złością.

– Wiesz, jak tego nie znoszę – powiedział tonem naburmuszonego dziecka, a potem wysunął lustro, włączył kinkiet i przestałam istnieć, liczyło się tylko jego odbicie.

Był taki piękny. Miał mocną, męską szczękę z dołkiem w brodzie. Czarne włosy, granatowy zarost, ciemną cerę południowca. I do tego, zupełnie nie na miejscu, jasne niebieskie oczy. Kochałam go. Mogłabym całować jego stopy.

– Gapisz się – dodał jeszcze, a wtedy wyszłam z łazienki.

Spojrzałam na zegar i szybko chwyciłam torebkę. Jasna cholera, reżyser będzie megawkurzony. Znowu się spóźnię na zdjęcia.

Kiedy wpadłam jak bomba w zgromadzoną ekipę, wszyscy umilkli. Chyba właśnie o mnie rozmawiali. Zerknęłam na reżysera, ale na jego twarzy nie widziałam gniewu. Różne inne rzeczy – owszem, głównie poczucie wyższości, ale do tego miałam czas przywyknąć. Najwyraźniej nie był tak wściekły, jak się spodziewałam.

Szybka zmiana ubrania, bo tę scenę grałam w łóżku, w skąpej koszulce, potem usiadłam i cierpliwie znosiłam zabiegi makijażystki. Nikt nie zapytał, dlaczego spóźniłam się o czterdzieści minut, nikt w ogóle nic nie mówił. Julia, która grała moją siostrę i za chwilę miała się nade mną pastwić w scenie kłótni o faceta, patrzyła z dziwną łagodnością. O co chodzi? Ci ludzie dziś rano na targowisku, w piekarni, a teraz tutaj... Oni wiedzieli coś, o czym ja nie miałam pojęcia. Wstałam za późno, nawet nie włączyłam komputera. Pewnie nie tylko paparazzo wrzucił fotkę, ale jakiś pismak dodał do niej kompromitujący tekst. To nic, nie zamierzałam zniżyć się do tego, żeby zapytać.

Scenę łóżkową robiliśmy ponad godzinę. Karol raz wpadł do pokoju zbyt gwałtownie, potem dwa razy wszedł za wolno. Reżyser to świr, stwierdziłam to chyba po raz setny. Jakie miało, do cholery, znaczenie, czy Karol wpadnie, czy wejdzie? Tak czy siak, musiał mnie zastać we łzach po kłótni z siostrą. Kłótnia poszła nam rewelacyjnie, ale to „wpadanie” za nic w świecie nie chciało się udać.

Wreszcie Karol wpadł w odpowiedni sposób. Wtedy okazało się, że ja nie płaczę tak, jak trzeba. Pięć powtórek, zanim zadowoliliam reżysera. Potem pocałunki, które osuszą moje łzy. Trzy powtórki, bo nie całowaliśmy się wystarczająco namiętnie. Potem jeszcze dwie, bo nie wzniosłam oczu do nieba. To znaczy wzniosłam, ale inaczej niż chciał reżyser. Przecież nie kocham Karola, jestem z nim tylko dla kasy. Muszę wnieść te oczy tak, aby to było widać. Nienawidziłam tej roboty.

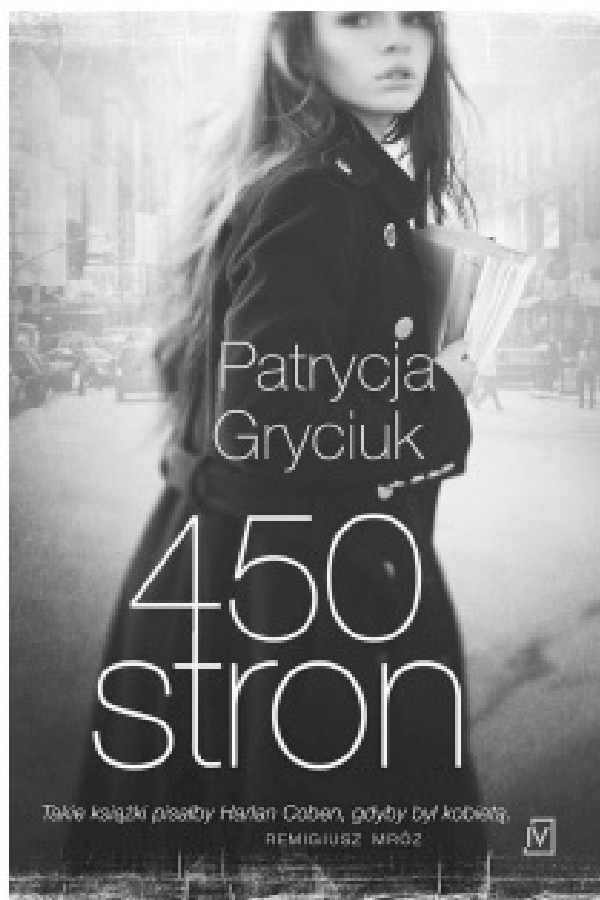
Chciałam grać w teatrze, gdzie nikt nie mógłby mi powiedzieć: powtórka, zrób to inaczej. Grałabym prawdziwie, tak jak bym czuła.

Nie, poprawka: chciałam już przestać grać. Moje marzenia się spełniły, ale ja już nie pragnęłam tego, co stanowiło ich treść. Teraz wystarczyłoby mi siedzieć w domu i patrzeć na Grzegorza. I żeby on

siedział w domu i na mnie patrzył. Tylko o tym marzyłam. Albo inaczej – tego potrzebowałam. Marzeń nie miałam wcale.

[...]

**Ktoś musi zginąć,
żeby o tej książce zrobiło się głośno...**

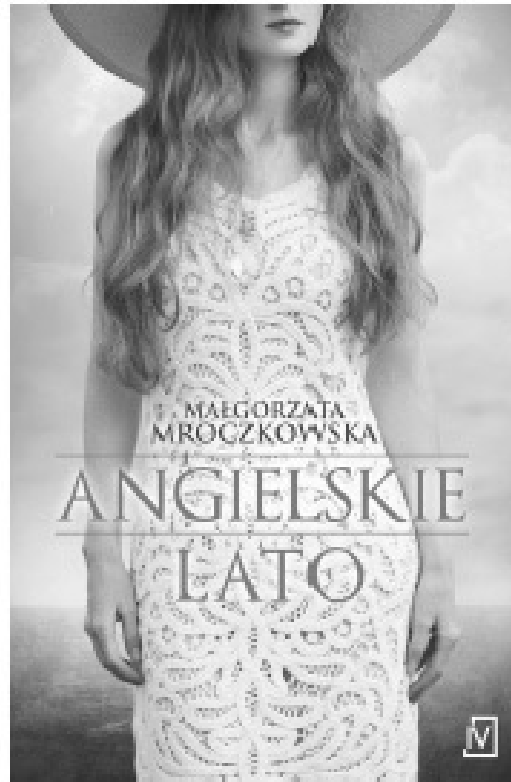


W świecie, w którym wszystko jest na sprzedaż, skrajne i drastyczne posunięcia marketingowe nie dziwią już nikogo. Ale czy ktokolwiek zdecydowałby się na zabójstwo, aby promować nową książkę?

Wiktoria Moreau to królowa kryminału, która w przeddzień wyczekiwanej przez miliony czytelników premiery najnowszej książki zostaje posądzona o zniesławienie. Zamiast cieszyć się ze spotkań z wielbicielami, uczestniczy w procesie sądowym i policyjnym śledztwie w sprawie serii morderstw popełnianych według fabuły powieści jednego z jej największych konkurentów.

**Nieznane i fascynujące
kobiece oblicze polskiego kryminału!**

Życie pełne jest
niespodziewanych zbiegów okoliczności...



Anna wyjechała z Polski dwadzieścia lat temu. Mieszka w Londynie. Ma męża Anglika, przy boku którego prowadzi spokojne, ustatkowane życie. Pewnego dnia odbiera telefon od dawnej przyjaciółki z Krakowa szukającej wakacyjnej pracy dla swojego syna. Wojtek właśnie dostał się na uniwersytet i chce zarobić na studia. Anna postanawia zatrudnić chłopaka do pomocy w remoncie starego domu odziedziczonego przez jej męża. I choć Wojtek przylatuje do Anglii razem ze swoją dziewczyną, życie napisze dla całej trójki zupełnie inny, zaskakujący scenariusz.

Angielskie lato to przepiękna i wzruszająca opowieść o skrywanym tęsknotach i niespodziankach, które oferuje nam los.

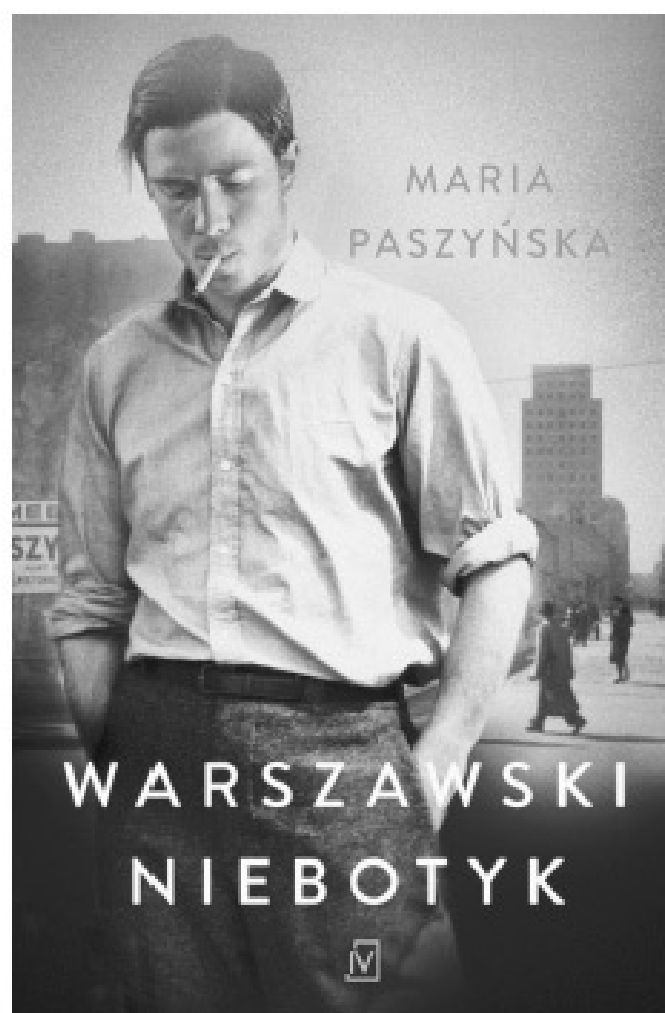
„Tak dumny i zarozumiały, że wszyscy wprost znieść go nie mogli” (pani Bennet o panu Darcym, „Duma i uprzedzenie”).



To miała być kolejna, stworzona z rozmachem ekranizacja dzieła Jane Austen. Gwiazdorska obsada, gigantyczna produkcja i oczywiście najważniejsze: epicki romans. Pan Darcy nie zdążył jednak wywołać rumieńca na twarzy Elizabeth Bennet...

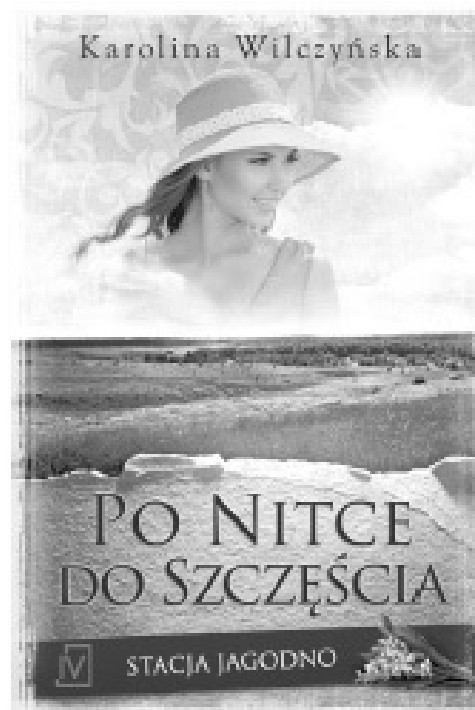
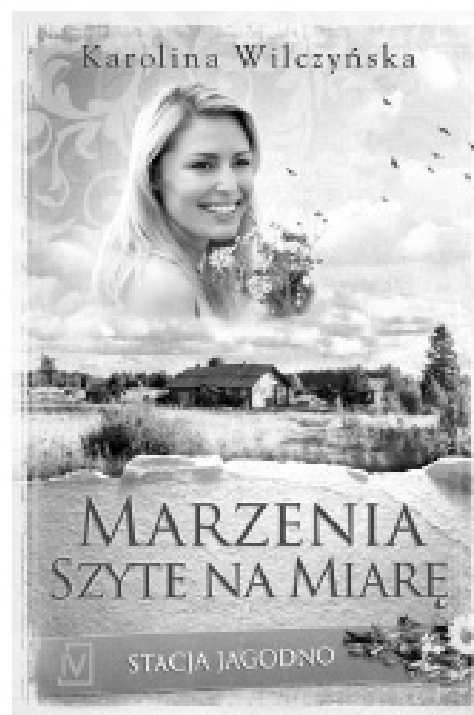
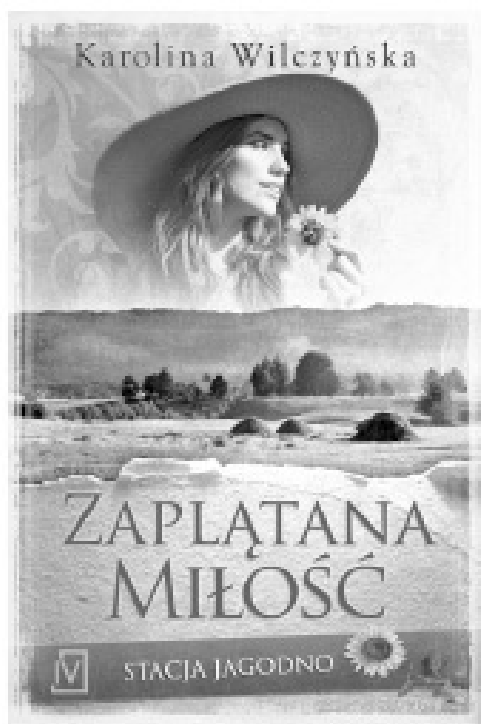
Po romantycznej aurze *Dumy i uprzedzenia* pozostaje tylko piękna okolica i urokliwy dworek. Produkcja filmu zostaje wstrzymana. Jednak prawdziwa gra dopiero się zaczyna: śledztwo w sprawie ewentualnego zabójstwa i sekrety gwiazd inicjują zabawną komedię intryg. Bohaterowie spiskują, knują i robią wszystko, by kompromitujące fakty z ich życia nie ujrzały światła dziennego.

Niespodziewane zwroty akcji, błyskotliwe dialogi i atmosfera hollywoodzkiego skandalu tworzą wybuchową literacką mieszankę. *Pan Darcy nie żyje* to soczysta opowieść, nie tylko dla fanów Jane Austen!



Warszawski niebotyk to epicka, niezwykle poruszająca opowieść o losach pięciu młodych mężczyzn, którzy przyjaźnią się, uczą, pracują i kochają z pasją, z właściwym młodym ludziom poczuciem wszechmocy i nieśmiertelności. Spotykamy ich późną jesienią 1933 roku, w przededniu rozejścia się ich życiowych dróg. W chwili gdy świat stoi przed nimi otworem, gdy są przekonani, że mogą osiągnąć wszystko, czego zapragną, stojąc na ziemi dosięgnąć nieba. Miłość postrzegają jako piękną przygodę, ślepi na niebezpieczeństwa. W ciągu kilku kolejnych miesięcy życie weryfikuje ich sposób myślenia, prowadząc ku dojrzałości, na którą nie zawsze chcą się zgodzić, a która jest nieunikniona.

Zatrzymaj się na chwilę i poczuj klimat urokliwej miejscowości w Górach Świętokrzyskich. Tutaj czas płynie zupełnie inaczej.



SPIS TREŚCI

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)
[13](#)
[14](#)
[15](#)
[16](#)
[17](#)
[18](#)
[19](#)
[20](#)
[21](#)
[22](#)
[23](#)
[24](#)
[25](#)

[EPILOG](#)

[Polecamy również](#)